

De II. 1

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 139.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1875.

SERYA V.

Sierpień.

TOM III. — ZESZYT VIII.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Główny w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

Ukończono druk dnia 30 lipca 1875 r.

T R E Ś Ć.

stron.

<p>I. SZTUKI PIĘKNE. Przegląd krytyczny dziejów szkoły sztuk pięknych w Krakowie, (1818—1873). Skreślił Władysław Łuszczkiewicz.</p>	181
<p>II. LITERATURA. Przyzrynek do studyj nad podaniem o Twardowskim. Napisał Ernest Swieżawski.</p>	205
<p>Tragedya zebacza z 1552 roku. Przez ks. Wł. Siarkowskiego.</p>	291
<p>III. KRONIKA ZAGRANICZNA, naukowa, literacka i artystyczna.—Wilhelm Machaut, Truwer XIV wieku: Księga Voir-Dit, wierszowany jego pamiętnik.—Wystawa rzezb: Młodość, Gloria Victis, Dziewica Orleańska.—Rzeźby religijne i rodzajowe. Wprowadzony żywioł galski: Brennus z winogradem.—Młody Gal z gałązką jemioly.—Nasi rzeźbiarze. Pomnik Teofila Gautier, dłuta Cypryana Godebskiego.—Zbiór prawnych zwyczajów u południowych Słowian, p. Bogisioza.—Studia słowiańskie p. Leger. Rozbiór „Zemsty za mur graniczny.“—Hortensya Cornu.—Rodzina alzackich emigrantów, na statym lądzie Australii.—Teatr berliński w ciągu dwóch lat ostatnich. Dramat, „Miłość za miłość.“—Teatr francuzki: „Babunia,” komedya p. Cadol.—„Wieża Babel” oratoryum Rubinsteina.—„Las” symfonia muzyczna pani Granval.—„Miłość afrykańska,” opera komiczna p. Paladithe, libretto Legouvego.—Literatura i Historia p. Littré.—„Andresina, Kobięta bez Boga,” powieść p. des Essarts.—Młody Brown, powieść Murraya.</p>	226
<p>IV. HISTORIA. Dawna rzeczpospolita Dubrownicka, zarys jej dziejów urzędzenia i piśmiennictwa. Przez Kazimierza Pułaskiego. (Dokończenie).</p>	257
<p>V. BIOGRAFIA. Filip Kallimach. Przez H. Zeissberga, Z niemieckiego przełożył K. P.</p>	271
<p>VI. AKADEMIA UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE.</p>	286
<p>VII. KORRESPONDENCYA. Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.</p>	294
<p>VIII. PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO. Pisma Towarzystwa ekonomistów austryackich. Kwestya waluty. Referat D-ra Teodora Hertzki. Wiedeń, u Manza, 1875, str. 60. Przez F. Z.</p>	295
<p>Ostatnie ohwile księcia wojewody (Panie Kochanku). Z papierów po Glince spisał J. I. Kraszewski. Warszawa 1875. Nakład Gebethnera i Wolffa. W drukarni J. Jaworskiego, (w 12-oc str. 195) Przez K. Wł. W.</p>	303
<p>Jedlnia, w niej kościół i akta obelnego prawa, przez ks. Józefa Gackiego. Radom. W drukarni Jana Kantego Trzebińskiego, 1874 r. (w 8-oc str. 278). Przez R.</p>	310

(Dalszy ciąg na trzeciej stronie okładki).

De II 1
PRZEGLĄD KRYTYCZNY

DZIEJÓW SZKOŁY SZTUK PIĘKNYCH

W KRAKOWIE (1818—1873).

SKREŚLIŁ

Wł. Łuszczkiewicz.

O ile ważną jest dla historyka sztuki północnej epoka, gdy się ona wyswobadza z więzów bizantynizmu; o ile z całą skrętnością śledzą dziś badacze najmniejszy objaw swobodniejszego jej rozwoju i wynajdują imiona mistrzów co pierwsi umieli być samemi sobą; to niemniej ważnemi są chwile ostatnie zeszłego wieku i początków XIX-ego. Geneza bowiem dzisiejszego pojęcia sztuk pięknych, epoka w której otrząsa się malarstwo, rzeźba i architektura północnej i zachodniej Europy z przesądów włoskiego szkolarstwa XVIII-go wieku, obchodzić musi każdego, kogo obchodzi rozwiązanie zagadki nie małej, jaką jest tak nagły wzrost sztuki ostatnich czasów. Winkelmann, Mengs, Dawid, Carstens i cały ruch artystów niemieckich w Rzymie w owych czasach, stanowią dziś wdzięczne pole dla badacza dziejów sztuki. Najdrobniejsze, napozór nic nieznaczące okoliczności, towarzyszące rodzącemu się romantyzmowi plastyki, urastają do znaczenia dzisiejszego, podnoszą się imiona nieznane artystów, którzy w skromności ducha pracując, otworzyli bramy nowemu odrodzeniu się sztuki.

Każdy naród rozpoczyna tu nanowo dzieje swój dzisiejszej sztuki; jakże bowiem i my daleko odeszliśmy od tych pojęć, w jakie ujęty ostatnie dziesiątki lat zeszłego wieku sztukę zostającą w usługach dworów. W miejsce obrazów mglistych, o typie jednym człowieka z gładkiem ciałem, bez duszy i kości, natury drobnej buduarowej, widzianej przez nieczyste szkło, utworów zimnych, niezrozumiałych, treścią napuszoną, bezduszną, a nawet nieloiczną, stoimy dziś w obec utworów malarstwa i rzeźby pełnych niewymuszonej prawdy i energii, obcujemy z postaciami obrazów i posągów, jako z indywidualiami pełnemi życia, a zachowując cześć dla wszystkiego co wzniosłego i pięknego pozostawiła przeszłość, umiemy znów być samemi sobą. Rosnąca uniwersalność wykształcenia znalazła i u nas wyraz w malarstwie historycznym i gieniusz narodowy powstaje na tém polu. Chcemy mówić o Janie Matejce.

Wykazanie jaką rolę w tém przeobrażeniu sztuki, odegrały szkoły i akademie sztuk pięknych, będzie zadaniem przyszłego historyka sztuki; co do nas zdaje nam się, że pisząc dzieje krakowskiej szkoły, wyświadczymy przysługę temu, któryby o naszych usiłowaniach chciał

Tom III. Sierpień 1875.



kiedyś pisać odszukując genezy Matejki. Kreśląc ten przegląd dzieł szkoły krakowskiej, mamy nadzieję, że zachęci praca ta drugich do napisania historii warszawskich i wileńskich szkół sztuk pięknych.

Jeżeli prawdą jest iż sztuki piękne są zwierciadłem, w którym się odbija społeczeństwo; to z drugiej strony jest niezawodnym, iż nie zawsze dorasta ono do tego, aby mieć sztuki plastyczne. Wymagają one przede wszystkim zdrowego ustroju narodowego, jasno stawiających się idei, swobody myśli nie krępowanej panującym sentymentalizmem i bogactwa materyalnego. Pewnego stopnia zadowolenie, wiara w siebie, daje siłę twórczości w plastyce, jasność wyrażenia i formę swobodną a godną. Na tle uczuć mglistych może się rodzić pewien rodzaj poezyi, ale rzeźby i obrazy nie mogą mieć charakteru artystycznego; bo gdzie łzami przepełnione oko a uczucie marzy o lepszej przyszłości, tam powstają widziadła poetyczne przymglone, ale nie obrazy i rzeźby realną piękną odziane szatą.

W takim położeniu nie ma potrzeby wielkiej sztuki, wystarczy i zadowolni najuboższa, najbliższa jej szata: uczuciu wystarczy zbiorami pamiętek i wspomnienia.

Taki stan społeczeństwa naszego w drugim dziesiątku naszego stolecia, a nie ubóstwo same materyalne kraju, były powodem, że cały ten ruch sztuki ogromny, porywający we Francyi i Rzymie, do nas a szczególnie do Krakowa nie doszedł, i lata na to jeszcze czekać trzeba było. Piękność świata realnego nie przemawia do nas, jeszcze tém mniej myśleć o odzianiu jej szatą ideału; najpiękniejsze widoki okolic miasta Krakowa nie umieją inaczey natchnąć Wężyka jak wspomnieniami, unika on spojrzenia oko w oko przyrodzie tej, a w miejsce plastyki żywej daje nudny liryzm. Bohaterowie dramatów owoczesnych w pieśniach historycznych Niemcewicza, mająż jakiegokolwiek piętno realnej piękności? Sam autor Sybilli z zamkniętymi na świat oczyma, umie znaleźć w głębi duszy swój, tylko obrazy wewnętrznego życia, umie tylko marzyć.

A jednak tych mglistych marzeń, na tle przeszłości osnutych, był przedstawicielem w malarstwie owych czasów w Krakowie, Michał Stachowicz. Moglibyśmy dziś zaprzeczyć mu tytułu artysty, bo nie pojmował zupełnie warunków formy; nie można go przyczepić do żadnego kierunku artystycznego tych czasów w których żył: możemy twierdzić, że nie umiał ani rysować, ani malować, jednak był on wiernym odbiciem społeczeństwa, w którym się znajdował. Przedstawiciel malarstwa cechowego, który zasłyszał o wielkich imionach malarzy świata, posiadał ten dar, który i u chłopka się zdarza: zaznaczania farbami tego, co w rozmarzonej imaginacyi dawało niejakiemu przypomnienie kształtów natury. Posiadał on tylko odrobinę tej sztuki co w oddźwięku rzemieślnictwa włoskiego doszło do jego czasu; trochę poczucia układu linii w obrazach religijnych, będących najczęściej kopią z rycin dokonaną. O dążnościach szkoły Dawida nie zasłyszał

nigdy, a tém mniej o usiłowaniach odrodzenia się sztuki. Był to jeden z tych cechowych malarzy, co nauczył się robić dekoracyjne pejzaże a na ich tle ustawiać figury ludzkie jako stafaż. Natura nie robiła na nim wrażenia, nie zapalała go piękność linii, majestat światłocienia i kolorytu przyrody; miał on swoje sposoby pojmowania malarstwa, które mu zawsze wystarczały.

Najwznieślijszy umysł, najpoetyczniej marząca dusza Woronicza znajduje téż w Stachowiczu stosownego malarza do ozdobienia ścian pałacu biskupiego w Krakowie, jak gdyby przysłowie francuzkie *les extremes se touchent* miało się sprawdzić.

Biskup dyktuje sceny malarzom, to rzecz zwykła w dziejach sztuki, gdy wspólne im są przymioty wielkości; a wieszcz narodowy postępujący się rzemieślniczą ręką dla przeprowadzenia swoich pomysłów, mógł się ukazać tylko w okolicznościach jak nasze. Ale cóż? jak przepętnione uczuciem pobożnym serce pierwszych chrześcian wymaga od malarstwa znaku tylko, symbolu, bo resztę dojrzało okiem duszy; tak dla Woronicza wystarczającym był malarz. Obrazy ścienne pałacu biskupiego nie są téż ani byłyby, gdyby je ogień ocalał, zdolne wywołać wrażenia w naszym społeczeństwie, bo brak im potęgi sztuki rzeczywistej, a klucz do odgadnięcia jasnych dla Woronicza znaków, kreślonych przez Stachowicza zaginął: obrazy jego potrzebują dziś dla nas podpisów, co oznaczają. Czuł to sam biskup poeta, zostawiając pokoleniom poetyczny opis tych malowań ¹⁾. Stachowicz ma jedną zasługę, to jest że służył dobrze swój epoce, a malował to co było na sercu; nowych dróg sztuce nie nadał i nie odznacza się ani formą pomysłu, bo myśl jego rozpieczętował, skupić wszystkiego w obrazie do jednego celu nie umie; ani dramatycznością lub życiem postaci, bo te stanowią zwykle ciężbę główek nad sobą, ani rysunkiem figur i kolorytem, gdyż to wszystko u niego dziecinne, na jeden sposób oddane. Chwałę go ze scen chłopskich: jego wesela mają tryskać ogniem i werwą, ależ jeżeli to prawda, że umie chwycić naturę chłopka krakowskiego, to patrzy na swój wzór tak zdaleka, że wszystko co jest osobowością, ginie, a pozostaje szata powierzchowna z gruba ociosana.

A jak poezya tych epok w których malarz nasz występował, nie zostawiła w spuściznie ani jednej nowej myśli, tak po Stachowiczu została tylko tradycja wielkości, której my dziś dopatrzeć się nie możemy. Artysta nie pójdzie do obrazów jego po radę, może jedynie badacz dziejów kultury zastanowi się nad niemi, aby skreślić epokę tak mało mającą poczucia do sztuki rzeczywistej.

Współcześni malarze cechowi krakowscy mieli przedstawiciela w Gutowskim Wojciechu, zmarłym 1814 roku, który malował kościoły, przedłużając pojęcie niemieckiego *zopfu*, które odziedziczył po swym nauczycielu Molitorze. Nie da się on porównać z Andrzejem Radwań-

¹⁾ Kraków i jego okolice, Grabowskiego, edyoya pierwaza.

skim, którego prace jakąkolwiek posiadały oryginalność pędzla. Dominik Estreicher należał już do dawniejszej epoki.

Nie można tu pominąć dyrektora obserwatorium krakowskiego Józefa Łęskiego, nie była mu obcą znajomość prawideł sztuki, które nabył za pobyt w Paryżu; w duszy jego odzywał się często klasycyzm Dawida; ale jako artysta występował zbyt mało i to głównie rysując ilustracje, że na szali sztuki Krakowa zaważyć wiele nie mógł.

Cóż powiedzieć o ruchu na polu rzeźby w Krakowie, nad to, iż zejść musiało do rzędu rzemiosła. Najwyższém zadaniem kującego nagrobki było przedstawić niewiastę płaczącą, trawestowane gieniusze z pochodnią według rycin zeszłego wieku; inna rzeźba nie istniała. Przekopiowanie biustu, odlanie z gipsu, rzeźba rzeźbą zadziwiająca, ale głównie ograniczano się do popiersi pośmiertnych „tak dokładnych iż je każdy poznawał.” Jedyńm rzeźbiarzem długi czas był Galli, który modelował muzę do pomnika Kopernika w kościele Św. Anny. Ież nie zyskiwał pochwał prosty chłopek Jan Brożek z Lipowca za swoje roboty snycerskie, wszakże portret tego sławnego naówczas artysty malowany przez prof. Józefa Brodowskiego zawieszonym został w szkole sztuk pięknych, gdzie dotąd się przechowuje. Rzeźba w ojcystém mieście Wita Stwosza nie wyrobiła sobie jeszcze prawa obywatelstwa; zadawałnialy publiczność gipsowe koszyki z owocami, malowane *ad vivum* i tym podobne.

Dodać do obrazu tego musimy, że wyrocznią dla wszystkich tych pseudo artystów była książka in folio, zawierająca naukę rysunku, z poszanowaniem podawana sobie, której tytuł: *Das durch Theorie erfundene Practic oder gründlich verfasste Regeln* etc. etc. w trzech częściach, przez Jana Daniela Preisslera w r. 1780 wydana w Norymberdze. Po sąd o niej odsyłamy czytelnika do tablic w niej umieszczonych.

O architekturze powiem, co wystarczyć powinno, że tak książdz Sierakowski, jak Szczepan Humbert Francuz, ten ostatni z powołania budowniczy, chętnie ofiarowywali i to bezpłatnie projekta na przebudowanie facyat, kamienie, jeżeli te były staroświeckie, to jest nie *barocco*. Tutaj w całej obszerności stosowano prawa o porządkach architektonicznych.

Taki był stan rzeczy na polu sztuki, gdy się zjawiają w Krakowie nowi artyści; jeden z nich przybywa ze sławą malarza portretów jako uczeń Lampiego i Smuglewicza, to Józef Peszka, drugi ma być wielkim i płodnym rysownikiem, a jest uczniem akademii wiedeńskiej, kształcony tamże kosztem księżnej marszałkowej Lubomirskiej: to Józef Brodowski mianowany professorem rysunku w liceum św. Anny.

Odtąd poczynają się dzieje szkoły sztuk pięknych.

I.

1818 — 1831.

Chwilę, w której statut urządzający Rzeczpospolitą krakowską w roku 1818 zaprowadził przy uniwersytecie Jagiellońskim posady

professorów rysunku, malarstwa i rzeźby, uważać należy za datę założenia Szkoły sztuk pięknych krakowskiej. Po raz-to bowiem pierwszy młodzież obdarzona miłością piękną, miała sposobność po za cechem malarskim lub prywatną nauką, znaleźć podstawę rzeczywistego wykształcenia pod okiem professorów utrzymywanych kosztem rządu. Brak jasnego i dzisiaj jeszcze u nas pojęcia o zadaniu szkoły sztuk pięknych, mógł jedynie odnieść jęj początek w dawniejsze nieco czasy. Są bowiem tacy co go widzą w epoce zeszłego wieku, gdy uniwersytet Jagielloński bierze w opiekę cech malarski, lub później, gdy za czasów Kołłątaja przybywa Dominik Estreicher dla nauczania w szkołach średnich, lub w końcu nareszcie gdy za czasów rządu austriackiego zaprowadzono rysunek po gimnazyach. Podniesienie słabęj korporacyi cechowej do znaczenia jakoby akademii, świadczyć może o dobrych chęciach uniwersytetu, ale nie o myśli wprowadzenia nauki sztuki na dobre tory; zaś nauczanie rysunku w gimnazyum jest czémś, ale niekoniecznie kształceniem pokolenia artystów, nie jest bowiem każdy rysujący artystą, jak umiejący pisać kaligraficznie literatem lub uczonym.

Jakie powody kierowały tymi, którzy uznali potrzebę onych posad przy uniwersytecie? wywołałaż je rzeczywista miłość sztuki lub więcję chęć pomieszczenia tutaj odznaczających się talentami professorów, czy przyjscia w pomoc młodzieży; nie umiemy stanowczo twierdzić. Zasługę przyznają w tém professorowi gimnazyum ś. Anny Józefowi Brodowskiemu, zarówno jak professorom uniwersytetu: Feliksowi Radwańskiemu i Józefowi Łęskiemu: miłość do sztuki tym ostatnim nie była obcą.

Zaprowadzanie nauki sztuk pięknych przy uniwersytecie jest właściwością krajów, które nieposiadając dla nich w przeszłości zakładów osobnych, chciały zaradzić potrzebie może mniej stosownym ale łatwym kosztem. Wyjątkowe położenie kraju po wojnach Napoleońskich pragnęło gwałtem nawiązać tradycję opieki nad sztuką Stanisławowskich czasów. W Wilnie, a następnie w Warszawie istnieją już dawniej przy uniwersytetach posady professorów malarstwa, rzeźby i architektury; tam Smuglewicz, Rustem, Gurewicz, Jelski; tu Bacciarelli, Blank, i Maliński kształcą młodzież w sztukach pięknych. Ubożuchna rodząca się sztuka, musiała się zniwelować do uniwersyteckich zajęć, strzedz się wybryków fantazyi, artystycznych marzeń a przyjąc kierunek zimnych umiejętności. Trudno tęż jęj wzbić się wyżej po nad cześć, jaką słusznie ma kraj dla potęgi słowa, obok Brodzińskich i Osińskich w uniwersytecie Warszawskim, jakichże trzeba było professorów malarstwa, rzeźby i architektury, aby zapewnić w gmachu uniwersyteckim dla sztuki szacunek.

Utworzenie posad powyższych przy uniwersytecie Krakowskim było naśladownictwem Warszawy i Wilna; nie mogło małe miasto postawić się wyżej, utworzyć samodzielnej szkoły sztuk pięknych. Na to nie było funduszów, ani nie wywoływała tęż potrzeby chwila wzniesionych uczuć a spokojnego tryumfowania społeczności

krakowskięj. Statut wyżęj wzmiankowany, wypracowany przez komisyą organizacyjną dla uniwersytetu, w paragrafie 17 wstępu, wypowiada cel i nazwę szkoły. Opiewa on: „dla rozszerzenia nauki sztuk pięknych, dołączoną została do uniwersytetu akademія sztuk pięknych.” Tytuł ten jak zobaczymy, trochę za wspaniały, odpowiadać zdaje się paragrafowi 4-mu wewnętrznego urządzenia uniwersytetu, który uważa korporacyą professorów uniwersytetu „jako ciało uczące i naukowe“ a może wedle § 5 tegoż urządzenia „przybierać do swego grona uczonych i utrzymywać stosunki z innymi korporacyami naukowemi.” Professorowie więc szkoły sztuk pięknych przy uniwersytecie odpowiadać mieli akademii sztuk wedle ówczesnych pojęć; jak zobaczymy z przywileju tego nie korzystali i nikogo do grona swego nie przyjęli od pierwszego zawiązku.

Słusznieęj zapewne jak w uniwersytecie Warszawskim, sztuki piękne zajęły w uniwersytecie Krakowskim stanowisko niezależne od wydziałów innych; bo jeżeli tam należały one do wydziału literackiego, tutaj tworzyły osobną szkołę pod zwierzchnictwem rektora uniwersytetu. Statut też organizujący daje professorom wszelką władzę w prowadzeniu szkoły, skoro mówi w § 18 wstępu: „każdy z dwóch professorów dawać będzie sześć lekcyj tygodniowo, teoryi sztuk (wykłady nauk pomocniczych) a oddzielnie lekcyę rysunku i malarstwa” a § 19 wyjaśnia i określa bliżej ich zajęcie tylko w tych słowach: „uniwersytet wyznaczy miejsce dla akademii sztuk, składające się z wielkiej sali i przyległego pokoju, w którym professorowie kolejno obowiązani będą znajdować się w przedpołudniowych godzinach od 8-ęj do 12-ęj, dla kierowania pracą uczniów i wspierania ich radami.”

Mniejęj szczęśliwe pole dane jest nauce rzeźbiarstwa; statut wspomina o nauczycielu rzeźby (§ 23) mówiąc o nauczycielach języków żyjących, jazdy konnej, pływania i tańca (sic); równa go co do godzin obowiązków z nimi: „taki sam obowiązek (to jest cztery godziny na tydzień) włożony będzie na profesora rzeźbiarstwa, który dawać będzie lekcyę w miejscu przeznaczoném na akademię sztuk pięknych pod dozorem jęj professorów.” Statut nakoniec odpowiadając na zarzuty przeciwników, że nie posiadamy zbioru obrazów tak koniecznych wedle zapatrywań się miłośników swego czasu uprasza (§ 20) duchowieństwo i mieszkańców Krakowa i okolic, o udzielenie lub pożyczenie obrazów w celu pomieszczenia ich do kopiowania w sali akademii sztuk pięknych.

Na pierwsze urządzenie szkoły tej, budżet uniwersytetu z roku 1817/18 przeznacza jako nadzwyczajny wydatek złp. 2,000 a 1,400 złp. rocznie na wydatki naukowe, stale co rok pobierać się mające.

Przyznać potrzeba zdrowy rozum projektujących, że postawili tak ogólny zarys szkoły pozostawiając zarządzenie wewnętrzne przyszłym professorom; mieli mieć oni tyle swobody, ile dozwalały środki pieniężne, a nie były one zbyt małe na owe czasy, gdy wystarczyć musiały i w dzisiejszych czasach na cele o wiele szerszych zakresów.

Całkowity budżet szkoły na rok 1817/18 wynosił 11,000 złp., z tych 8,000 złp. dla dwóch profesorów rysunku i malarstwa, nauczyciel rzeźby pobierał 1,000 złp., dozorca 600 złp. a w końcu owe 1,400 złp. na wydatki szkolne. Powiadamy więc że jak na Kraków, szkółka ta była niezłe zaopatrzoną, tém więcéj, gdy za owe 2,000 złp. sprowadzono z Warszawy piękne odlewy gipsowe antyków jużto posągów jak Laokoona, Gładyatora, Wenerę, już popiersi i biustów.

Cała przyszłość szkoły zależała od pierwszych profesorów, którzy mieli zająć się jéj wewnętrzném urządzeniem, wygotować plan nauki i rozdzielić między sobą pracę. Trzeba było rzeczywiście nie tylko artyści obdarzonego łątwością wykonania, praktyka jak nazywają, ale głębiej myślącego, o wysokim wykształceniu artystyczném, aby mógł wywiązać się z poleconego mu zadania zarządzenia szkołą, pełnienia jéj na tory, jakich wymagała już odradzająca się po świecie sztuka. Na nieszczęście nominowani przez senat Rzeczypospolitéj nowi profesorowie, nie posiadali tych warunków, a przynosili prócz tego, jeden z nich pojęcia malarstwa z czasów Stanisława Augusta, drugi liche teorye wiedeńskiej szkoły sztuk pięknych!

Cały przewrót wyobrażeń w sztuce wywołany po świecie przez sławnego Ludwika Dawida, który otwierając nowe drogi w pojęciu piękna zwrotem ku arcydziełom starożytnéj rzeźby i natury, tworzy klasycyzm w malarstwie, nie doszedł jeszcze do wiedzy tych pierwszych profesorów szkoły. To dobrze że nie spotkali się z jéj smutnemi następstwami; ależ Girodet, Gros i Guerin otworzyli już wtedy swoje pracownie. Gros, kolorysta i miłośnik zacięty realizmu, tworzy generację eklektyków, złożoną z ludzi zdolnych, marzących ciągle o malarstwie, które może łączyć w sobie wszystkie wyobrażenia sztuki nie kłócąc ich ze sobą. Uczniowie Girodeta dotrwają w klasycyzmie Dawidowskim do końca, gdy Guerin uczuciowy, łagodny, wyprowadzi ze swéj pracowni takie potęgi romantyzmu jak Gericault i Delacroix. Nasi profesorowie nie zasłyszeli słów Gericaulta, że natura jest źródłem nieprzebraném natchnień, że pędzel zyskuje, kiedy nie jest wszędzie równie gładkim a koloryt jest potężnym środkiem wyrażenia. Nierównie obcym był dla nich współczesny ruch sztuki w Rzymie, był to raczej jéj szturm, w którym występowały też same elementa co w literaturze w walce przeciw starym formom zużytym.

Rysunki Carstensa, którego tu za przodownika należy uważać, nie zawsze poprawne, odzywają się duszą na wystawie jego prac w roku 1795. Koch maluje sceny z Dantego i Ossyana, Wagner i Lorsch należą do pierwszych pejzażystów; na czele malarzy Niemców stoją Carstens i Thorwaldsen, którzy duszą i ciałem studyują na nowo starożytność klasyczną. Element religijny jeszcze nie wszedł na widownię sztuki, ale Eschyles, Dante, Ossyan, Szekspir pożyczają treść obrazom.

Połączonemi siłami Overbecka, Schnorra, Veita powstają freski w Casa Bartoldiana w roku 1815, w Villa Massimi 1817, które uważać musimy jako kamień węgielny odrodzonéj niemieckéj sztuki.

Kornelius zdobywcze rzymskie przenosi do Monachium.

Peszka Józef i Brodowski mieli być fundatorami krakowskiej szkoły sztuk pięknych, bo oni to byli tymi szczęśliwymi, którym posady professorskie w nowo zarządzonej szkole przyznano. Nauczycielem rzeźbiarstwa został jakiś Riedlinger. O wyborze stosowniejszym nie można było myśleć w Krakowie, który innych artystów malarzy, jak zwano portretowych, nie miał.

Peszka osiadły od niedawna w Krakowie, przywoził z Litwy sławę malarza; Brodowski okazywał wysoką łatwość w rysunku i jako professor gimnazjum zadziwiał współczesnych „obfitością rzutów” to jest, że potrafił narysować kródką tysiące głów na godzinę jako wzory dla uczniów.

Jeżeli do przeprowadzenia dzieła organizacji potrzeba umysłów zgodnych, zdolnych do porozumienia się; jeżeli szkoła sztuk pięknych wymaga przeprowadzenia w nauce mniej więcej zbliżonych zapatrywań profesorów: to w tym składzie rzeczy wybór przewodników krakowskiej szkoły był najnieszczęśliwszym. Nie mogło być przeciwieństw większych w charakterze osobistym, w pojęciu sztuki i nauczania jak między Peszką a Brodowskim. Przypatrzmyż im się bliżej.

Józef Peszka Krakowianin należał do liczby artystów, którzy wyuczywszy się malarstwa w kraju, poza jego granicę nie wydalali się. Jeździł on tylko za pracą do Petersburga. Był to zacny, poczciwy i pracowity człowiek, kochający swój zawód, ale w żadnym razie nie artysta samodzielny, torujący nowe drogi w sztuce. Jak skała fantazyi, tak skała pędzla były u niego bardzo skąpe, nie dążył do nowego, ani go porywała natura i jój cuda. Obcą mu była sztuka klassyczna: szedł ślepo za wzorami swoich nauczycieli: Smuglewicza, którego ciągle miał na ustach i Lampiego ojca będąc ich skromnym odbłaskiem.

Główném zadaniem jego pędzla miały być portrety, ale są one jako pojęcie indywidualności, słabe, bezduszne, z tą dobrodusnością wyrazu i wymuszonej miękkiej słodyczy, któremi malarz zarówno obdarza męża stanu jak tkliwą niewiastę. Płynność malowania i gładkość pędzla, przy delikatnej a mglistej karnacji, wedle jednej zawsze rutyny dokonane, zastępują miejsce prawdy i potęgi w oddaniu indywidualności. Drobnosć uczucia szła u Peszki w parze z niepewnością form, kolorytu i światłocienia, nie kłopotał się o blask i siłę kolorytu, o powierzchnię malowanych przedmiotów natury, jakoby one wszystkie równie gładkie były.

Jeżeli tak obok malarza pozująca żywa natura nie może wywołać współuczucia pędzla, tém mniej to uczynić zdoła świat fantazyi. Peszka, za daleko odsunął się od Smuglewicza: pojęcia jego o obrazach historycznych stoją niżj krytyki, a pokazują nie tylko brak wyższych pojęć sztuki, ale pierwszych elementarnych zasad rysunków figur i perspektywy: śladu indywidualności postaci już tu niewiadać.

Jeżeli w Smuglewiczu jest wysoka łatwość w rzuceniu postaci na płótno, w urządzeniu obrazu wyrobiony gust, to w obrazach pseudo-

historycznych Peszki, żadnego urządzenia obrazu, żadnej fantazyi twórczej niema, są tylko teatralne lalki ustawiane bezmyślnie a gładkim oddane pędzlem.

Względnie Stachowicza, Peszka był artystą wyższym przez swoje portrety, należał do rodziny malarzy europejskich Lampiego ojca i Grassiego, ale tym nigdy niedorównał w talencie.

Takim był pierwszy professor teoryi sztuki i praktyki w Krakowskiej szkole.

Józef Brodowski imiennik professora Warszawskiej szkoły, rodem i pojęciami był tém, co nazywali wówczas w Krakowie ogromnym talentem, to jest śmiałym, bezmyślnym rysownikiem i malarzem. Zdolności wrodzone w rodzaju Orłowskiego, łatwość szkicowania kredą wszystkiego co miał przed oczyma, a jednak bez ścisłości obserwacyi, skrzywiło w nim trochę nabytej wiedzy przez księżną marszałkową Izabellę Lubomirską; pojęcia form nadzwyczaj słabe, modelowanie zastąpione szeregiem jakichś kręsek, oto charakter rysunków jego, które mu służyły za wzór do malowania: bał się stanąć z pędzlem przed naturą. Wykształcenie jego artystyczne stało na równi z lekkomyślnością wykonania, obcym mu był klasycyzm zbyt mało poetyczny, aby do romantyzmu mieć pretensyą. Sława tego malarza nie przeszła też po zagranicę Krakowa, pozostało po nim trochę portretów i Herkules w zbiorach szkoły sztuk pięknych, obraz Św. Piotra odbierającego klucze od Chrystusa w ołtarzu wielkim kościoła tegoż świętego w Krakowie, i te kilkadziesiąt rysunków, zatraczonych zabytków architektury Krakowa, których wykonanie do zasług należy mu policzyć. Ważność zabytków przeszłości miała tylko pamiątkowe znaczenie u Brodowskiego zarówno jak u współczesnych. Pracowitym nie można nazwać tego drugiego professora szkoły sztuk pięknych.

Jak widzimy, obaj professorowie nie należeli do wyższych artystycznych indywidualności, trudno też któremukolwiek z nich przyznać wyższość; kierunek jaki przyjęły sztuki po świecie był im zupełnie obcy. Zamknięci w ciasnych szrankach rutyny malarskiej, nieposiadający wyższego wykształcenia, mogliż nakreślić program nauki, której celu sami jasno nie widzieli. Tylko wyższość rzeczywista jednego z nich, mogłabyła wzbudzić poszanowanie dla zasad jego w nauczaniu i nadać kierunek wychowaniu artystów, w okolicznościach jak nasze mogło tylko zgodne zapatrywanie się obu przydać do tego; téj zgody między Peszką i Brodowskim nie było: obaj chcieli mieć równe znaczenie professorskie.

Długą i trudną jest nauka sztuki, od której i największej zdolności niewolno się dziś odsuwać, jeżeli chce dojść do najwyższych celów. To zadanie stawiają sobie szkoły sztuk pięknych, a prowadząc przez wszystkie stopnie praktyki coraz wyższe, kształtując jego rozum, uczucie poetyczne, fantazyą zarówno jak oko i rękę, puszczają tak wy-

chowanego w świat szeroki i każą mu tam dopełniać swęj wiedzy. Nato praca i najgorliwszego profesora, ale jednego wystarczyć nie zawse może. Ztąd do przeprowadzenia systematycznego nauki potrzeba licznych profesorów w każdej szkole lub akademii sztuk pięknych. Jako instytucja publiczna ma z całém uszanowaniem jednostek, przeprowadzić zasadę wspólności nauki, tak zwanych kursów lub klass coraz wyżej usposabiających. Studya specyalne, tak zwane dziś „meister-schule” są najwyższym szczeblem szkolnej nauki.

Zadaniem organizatorów miał być rozdział pracy między profesorów i rozkład nauki, a na przeszkodzie w zaprojektowaniu tego, stanęła niezgoda, a może więcej nieświadomość. Prywatną domową lekcję rysunku i malarstwa jaką zwykli byli obdzielać amatorów, przenieśli obaj profesorowie w nowo urządzony gmach szkolny, a zapomniawszy o wyższym celu szkoły, zamknęli się każdy z nich z osobnym kółkiem swych prozelitów, to jest uczniów. Nawet piękny zbiór odlewów gipsowych z antyków, nie podał myśli urzędzenia przynajmniej nauki rysunku w właściwy akademicki sposób; starożytna sztuka weszła w mury Krakowa, niepostrzeżona, niezrozumiana, nie umiała wzbudzić nawet w profesorach zapału, tém mniej kierunku wskazać w nauce.

Professor Peszka poprzestawał w nięj na wprawieniu ręki w kopjowanie rysowanych wzorów, do czego służyły własne jego rysunki, sztychy lub litografie. Chodziło mu tutaj o to jedynie, żeby uczniowie popisać się mogli przed rodzicami jak ładnie rysują. Szczęśliwy kto przekopjował tuszem księcia Józefa Poniatowskiego na koniu skaczącego do Elstery lub popiersie Kochanowskiego, Konarskiego, w sposób lekki, rozdmuchany, kredką czarną, czerwoną lub żółtą. Portret z natury krédką na tonowym papierze, stanowił dalsze przejście dla niektórych uczniów, a dopełniało nauki przekopjowanie olejno któregoś obrazu ze zbiorów szkolnych. Na tém schodziły lata uczniom Peszki.

U Brodowskiego, kopjowano podobnie, tylko śmiałość rzucenia rysunku była najwyższą zasługą; głowy i figury kupowane od uczniów akademii Wiedeńskiej służyły za wzór ich uczniom; niektórzy posuwali się do malarstwa kopjując co się trafiło, co pożyczycy można było. I tutaj właściwych wspólnych studjów nie było, ale amatorska zabawka. Dodajmy że zapowiedziane w Statucie wykłady teoryi, prawie nigdy nie praktykowały się na seryo w szkole tych dwóch profesorów.

Mam przed oczyma prace studenckie utalentowanego ucznia Peszki z tych pierwszych lat szkoły, Stanisława Wysockiego, znanego powszechnie inżyniera, zgasłego w Warszawie przed kilką laty. Gdyby nie przekonanie że professor ten nie lubił zastępować pracą swoją usterek ucznia, sądziłbym że roboty te kredką i olejne są dziełem Peszki. Taż sama pobieżność w zrozumieniu kształtu i naciąganie do pewnego konwencyonalizmu; ten sam słodki, dobroduszny wyraz twarzy w portretach jasno okazują, że Peszka najwięcej mógł nauczyć tego co sam umiał: szerszego poglądu dać nie umiał.

Twierdzą niektórzy, że znakomity malarz Piotr Michałowski zawdzięczał pierwsze początki nauki Brodowskiemu Józefowi, że ta werwa z jaką malował konie dostała się artyście w spadku po nauczycielu. Byłby to jedyny uczeń, który umiał z jego konturów pobieżnych, mało akcentowanych, powziąć świadomość o energii kształtów jaką się prace Michałowskiego odznaczać zawsze będą. Jan Głowacki lubił się zawsze przyznawać że był uczniem Gizińskiego profesora rysunków w Liceum Św. Anny.

Gdyby założenie choć tak małej szkoły sztuk pięknych w Krakowie było wynikiem rozbudzonej miłości do sztuki, która urosła już do stanowiska potrzeby ducha, byłyby się niezawodnie pokazały korzyści jej moralne i realne.

Szkoła tworząc ognisko artystycznej wiedzy, wyższej bezzaprzeczenia nad tę, jaką mogło mieć społeczeństwo miasta, nie umiała już od pierwszej chwili przedstawić jasnego pojęcia, czém jest rzeczywiście sztuka. Toż samo rękodzieło malarskie i snycerskie jakie widziano po za szkołą, przybiera tutaj tylko szlachetniejsze stanowisko; że malarz jest twórcą dzieł wzniosłych, poetycznych a dążnością ku idealnemu pięknu, różnić się od tych, którymi kieruje ręka nie duch, szkoła wypowiedzieć nie umie. Sąd też o dziełach sztuki bliskiej założenia szkoły epoki jest błachym a częstokroć śmiesznym, a można było żądać, aby w niewielkiem miasteczku łatwo rozeszły się pojęcia artystyczne profesorów. Na nieszczęście nie mieli oni sami jasnój o nich wiedzy; gdy professor Brodowski śmie wystawić zgorszonej publiczności Krakowa obraz nagiego modelu pod tytułem „Herkulesa zabijającego Hydrę lerneńską“ gdy Peszka maluje swój obraz założenia rzeczywopolitéj Krakowskiej, publiczność traci czasem tę małą wiedzę jaką jej dał Stachowicz. Zrozumiano tylko że sztuka jest czémś oderwaném wymagającém znawstwa. Znawstwo też tu stoi na wysokości profesorów, zasada się na rzucaniu słów bezmyślnych, a przedewszystkiém ciemności i napuszystości stylu. Oto co piszą o obrazie owego Herkulesa profesora Brodowskiego „Herkules p. Brodowskiego ma wiele prawdy (sic), co się tyczy anatomii, wysilenie się mordercy nad poczwarą widać doskonale w twarzy i muszkułach i to jest oryginałem. Postać zaś całego ciała jest kopją z natury Herkulesa północnego, a zatóm jeżeli jakiejś podpada krytyce, wina jest oryginału a nie artysty...¹⁾.

Tenże sam recenzent pisze o malowaniach w sali Jagiellońskiej w Collegium majus: „Stachowicz w całej piękności geniusz rozwinął; obrazy te kojarząc nas z przeszłością, do słodkich prowadzą westchnień i stając się niejako balsamem na ukojenie bolesnych cierpień“ a dalej: „znawca uzna tu w szczegółach obfitość wyobraźni (bo wszystko jest oryginalne) układu czyli kompozycyi, konturów osób i struktur nie wyszukana naturalność, draperyów i perspektywy doskonałość. Miłośnik całego ogółu w każdym obrazie dostrzeże harmonijną natural-

¹⁾ Pszczółka Krakowska rok 1821.

ność cizby natłoku ludzi; charaktery tak całkowitej postawy jak i twarzy historycznych rozmaitego stopnia aż do prostego ludu, bez żadnego pożyczania jednych od drugich, z łatwością do podziwienia wykonane...¹⁾

Sąd więc o utworach malarstwa nie zmienił się pod wpływem szkoły i był on ten sam co przed laty dwoma, gdy piszą o rysunku młodego Stattlera według gliadiatora Borghezich, który nadesłał z Rzymu: „we względzie obszerności (sic) wielkiego posągu zachował proporcję na mniejszą nieco skalę w swoim rysunku, i działaniu muszkułów umiał nadać ruch i życie. Rok dopiero znajduje się w Rzymie a już nam przysłał Adama z kaplicy Syxta“.

Na obudzenie rzeczywistego pojęcia sztuki nie płynął nawet pobyt w Krakowie „kawalera Thorwaldsena“ on jednak pokazywał co jest dziełem sztuki w Krakowie; i dzieła Stwosza zaćmiły jego baczne oko, ale nie nauczyły Krakowian na co zapatrywać się mają. Jeśli tych kilku professorów nieumiało zaważyć w sędzie o sztuce, to jednak przyznać potrzeba, że założenie szkoły wpłynęło na rozdział w pracy malarzkiej; malarz portretowy lub ścienny: wyraz ten posługiwało do oznaczenia artysty lub rękodzielnika. W szkole jak twierdzono uczono na portretowych, w cechu pozostali malarze dekoracyjni; ci ostatni malowali jeszcze obrazy do kościołów. Malarstwo portretowe podniesione do wyższej godności, stało się przystępnem dla zamożniejszej młodzieży przez założenie szkoły, i aby być malarzem niepotrzeba było terminować u majstra i kołysać mu dzieci, jak to bywało do tej chwili. Nie jest to zasługą pierwszych professorów szkoły, ale tych mężów, co pomyśleli pierwsi o jej założeniu w Krakowie. Odtąd młodzież szlachecka wykształcona w szkołach, dobrze wychowana, počęła się u nas w Krakowie oddawać malarstwu i rzeźbie, a przytém co uboższe a gnieźdzące się dotąd w cechu, gdy okazało wyższą zdolność, mogło znaleźć naukę w szkole.

Wierzonoż że nauka ta w kraju zdolną jest do wytworzenia artystów? myliłby się każdy któryby tak chciał twierdzić: wiary tej niebyło nawet między professorami. Brodowski w artykule pod tytułem szumnym „Myśl o założeniu Towarzystwa sztuk pięknych“ sam pisze w r. 1822, iż gdyby nie brakło obrazów do kopijowania, to doprowadzić będzie można wtenczas do pewnego stopnia doskonałości młodzież w sztuce tak, iż ta „z łatwością kiedyś będzie mogła ćwiczyć się (sic) po zagranicznych akademiach“...²⁾ Na inném miejscu piszą w r. 1821 o szkole z powodu wystawy robót uczniów,... „z tém wszystkiém spodziewać się należy, że z czasem wzniesie się szkoła tak, że z tej sionki udawszy się zagranicę, trafią do przedpokojów i dalszych apartamentów. Już do tego przetorował im drogę młody Statler“...³⁾

1) Pszczółka Krakowska, lipiec 1821 k. 190. 2) Tamże 1822.

3) Tamże r. 1821 k. 145.

Wiary w skutek nauczania w krajowej szkole nie mieli sami nauczający, nie miała jęj publiczność, bo nie znali celu sztuki, a zagranica przedstawiała im gotowe rezultaty usiłowań, których tam jak twierdzono z łatwością nabyć było można. Urządzenie szkoły, brak wzorów wywoływało też czasami ostre zdanie w pismach publicznych, ale nikomu na myśl nawet nie przychodziło kusić się o poprawienie złęgo. Zarzuty przeciw szkole pokazały się w r. 1821 w Gazecie krakowskiej, obrońca jęj w inném piśmie stara się przekonać czytelników, że zakład ten nie może się nazywać szkołą, bo szkoła, pisze on „to dom obszerny z salą okrągłą, z góry oświeconą, w której na podstawie żywy model w posturze przez nauczyciela ustawionęj stoi a uczniowie w okoł siedzą sposobiący się do malarstwa z papierém i okówkiem, drudzy za niemi do snycerstwa z gliną na tablicy i dłutkami. Nauczyciele obchodzą wszystkich i poprawiają...” dalej opowiada autor, jak widziałyby tam ciekawe zbiory antyków i obrazów... ale tutaj w Krakowie daleko do tego...” Naiwne to pojęcie akademii sztuk pięknych za granicą, mogło być przy małych środkach być w krakowskiej szkole urzeczywistnioném.

O użyciu modelu żywego nikt tu jednak nie pomyślał, bo jak twierdzimy byliśmy jeszcze w sztuce w epoce Stanisława Augusta i po za nią nie przetarło się jeszcze światło postępu. Były to czasy w których nieumiano odróżnić nauki sztuki od rysowania i malowania: kto malował był malarzem, zarówno kopista jak twórca oryginalnych pomysłów pędzla.

Polem popisu szkoły były wystawy urządane przy końcu roku, dają nam one miarę nauki szkolnej, raczej pokazują że nieumiano jęj odróżnić od amatorskiej zabawy, bo napróżno w relacjach owoczesnych szukamy wspomnienia o jakowych studiach. Stały antyki w odlewach gipsowych a poprzestawano na rysunku z rysowanymi wedle antyków głów i figur, które zakupywano do uczniów akademii wiedeńskiej: toż samo było i co do modelu żywego. Zresztą obchodzono się bez wykładów prespektywy, boć wolno było samemu profesorowi Peszce robić tu błędy nie do darowania dzisiejszemu uczniowi.

Czytamy w opisie wystaw z r. 1821 i 1822 o rysunkach panien Konopczanek prywatnie u profesora Brodowskiego uczących się, których prace „wzbudzają podziwienie;“ o bitwie pod Samossierą rysowanej tuszem przez Jana Głowackiego; jakiś Wasilewski wystawił winogrona olejno malowane i inne owoce, podług sławnej pani Feydeau i nocną sztukę (?). Panna Józefa Szopowicz nazwaną jest: rzadkiej wolności w rysunku, osobliwie landszaftów, a p. Jan Biżański od najpierwszych zagranicznych artystów nie odstępuije w sposobie tuszowania; robi też próby litografowania.... Tenże recenzent odnośnie do rzeźby pisze o sławnych popiersiach senatora Grodzickiego i s. p. hrabiego Stadnickiego tak dokładnych „iż ich każdy poznawał“ a roboty Teodora Stachowicza dały dowód (płaskorzeźba), że dłutem się-

gnie ojca (sic)... co ma znaczyć, że dorówna pracom malarskim Michała Stachowicza.

Moglibyśmy wiele przytoczyć dowodów z pism peryodycznych krakowskich, jak aż do roku 1830 zadowolonym był ogół publiczności z tych wystaw szkolnych, a zatem i nauczania, jak cieszone się landszaftami, które robili uczniowie; o tém że to są kopije nie nie uczące, wiedzieli tylko ci do których światło sztuki z zagranicy trafiło. Jedyne zarządu wina, że z tego smutnego stanu szkoły nie wyprowadził dodaniem wyższych naukowych sił. Próżno usiłuje wprowadzić jakowys ład kurator generalny zakładów naukowych Józef Załuski; w r. 1826 rzeczy stały niezmiennie aż do r. 1831 to jest do śmierci profesora Peszki. Kurator Załuski mianował tylko nauczyciela anatomii artystycznej oraz perspektywy Jana Nepom. Briańskiego, który właśnie z Wiednia powrócił, gdzie się kształcił w akademii sztuk pięknych.

Cały ten pierwszy okres szkoły od roku 1818 do 1831 nie przyniósł tych rezultatów, jakich się od szkoły, dosyć dobrze jak naówczas uposażonej, spodziewać można było. Młodzież zamożniejsza opuszczała szkołę szukając gdzieindziej rzetelnej nauki, bo wiedziała, iż tutaj po za kopijowanie lichych dzieł dalej nie zajdzie; pozostawało co uboższe i cisnęło się pod protekcją panów professorów. Stały w szkole odlewy antyków, mógł być na zawołanie model żywy, były przyrządy rysunków akademickich, ale z tego nicumiano korzystać i wolano bawić się kredą lub pędzlem. O studyum nagięł figury, była tylko wtedy mowa, gdy zjeżdża do Krakowa jaki „Herkules północny” taki Franck lub Lebenier, bo wtedy kosztem rządu pozuje w szkole dla professorów Brodowskiego i Schmelzera; Peszka nigdy się tém nie zajmował: to było przeciwne naturze jego talentu.

Jedynym uczniem tego ostatniego był Józef Kurowski, który mu pewną przyniósł sławę; znanemi w Krakowie są artyści Cholewicz i Nidźwiecki również jego uczniowie; professor Wojnamowski biegły rysownik starożytności krakowskiej przyniósł się wcześniej od Peszki do Warszawskiej szkoły sztuk pięknych. Byłyż te pierwsze lata szkoły bez korzyści dla rozwoju sztuki w Krakowie? nie przyniosłyż one choćby żdźbła do tego wieńca jaki uwiła sobie szkoła w dzisiejszym jej zamierzonym rozwoju? Nic bowiem nie ginie w naturze, nic nie ginie w jej obrazie to jest w sztuce, więc i pierwsza epoka sztuki przyniosła coś w rezultacie. Tém jest obudzenie pewnego życia artystycznego przez wyprowadzenia sztuki z cehu, przez odrobinę wprowadzonej wiedzy artystycznej, a co najwięcej przez obudzenie zamiłowania do obrazów narodowej treści. Odtąd młodzieniec bez wstydu jaki przynosiło cechowe malarstwo, oddawać się mógł artystycznemu już zawodowi w Krakowie.

II.

1831 — 1850.

Świat sztuki, zarówno jak poezyi słowa powstaje w młodzień-
czych nowych kształtach i poczyną porywać serca i dusze społeczeń-
stwa, przemawiając formami jasnemi dla ogółu, czerpanemi na nowo
ze źródeł wiedzy, z przyrody i arcydzieł przeszłości. Romantyzm w ca-
łej wykwita pełni, kiedy się poczyną druga epoka Krakowskiej szkoły
sztuk pięknych. Walka klasyków z romantykami zwycięsko przepro-
wadzona przez wieszczka nieśmiertelnego w Warszawie, głuchym od-
głosem dochodzi dopiero do starego grodu, co przespał, przedrzymał
chwilę walki na polu sztuk plastycznych, był, jak widzieliśmy równie
obcym wszelkiemu postępowi formy i ducha. Nic też nieuchodzi bez-
karnie, więc i ta druga faza szkoły ciągnąca się do roku 1850, będzie
musiała być epoką ciężkich prób i usiłowañ; poruszy też same zadania,
z których szczęśliwego rozwiązania już powszechnie świat korzystał.
Chwile szkoły od roku 1830 do 1850 przedstawić muszą na podstawie
klassycyzmu rodzący się romantyzm, jeżeli chcemy mieć prawo do
własnej rodzimój sztuki, bo jednemi drogami dąży ona do doskonało-
ści, jakkolwiek tło narodowe może być inne.

Szkoły narodowe francuzka i niemiecka występują w malarstwie
na widownią świata, pozostawiając w tyle tych, co siedząc u źródła
artystycznej wiedzy, nie umieli w zdobyczy wieków widzieć wzorów od-
rodzenia się. Mówimy tu o Włochach nowożytnych. Artysta co
miał w Krakowie torować drogi ku odrodzeniu się sztuk pięknych był
nowo mianowany zastępcą profesora po śmierci Peszki, pan Wojciech
Korneli Stattler Krakowianin. Epokę drugą szkoły świata nazwać
można, jak niżej zobaczymy epoką profesora Stattlera, a słusznie za-
razem czasem niewoli w Instytucie technicznym.

Słusznie przewidywać należało w chwili założenia szkoły w Uni-
wersytecie, że posady sztuki dotyczące, nie potrafią uzyskać u zarządu
równiej przynajmniej z innymi opieki. Ale ażeby znalazła się opieka
rozumna, znająca potrzeby i wymagania sztuki, potrzeba było aby
choć trochę znalazło się w niej miłości połączonej ze znawstwem. Te-
go szczęścia nie zyskała szkoła w radzie Uniwersyteckiej, ani u rekto-
rów pierwszych. Wszakże mogła nie być obojętną władzy, dezorgani-
zacja szkoły wynikała ze złego rozkładu pracy professorskiej. Pier-
wszym rektorem który zwrócił baczną uwagę na niedostatki moralne
szkoły był zastępcą nauce i Uniwersytetowi a niedosyć uznany dotąd
D-r Alojzy Estrejcher. Syn artysty malarza nie mógł być obojętnym
wzdem nieładu w szkole; uczony, podróżujący często po stolicach Eu-
ropy miał dobre pojęcia, czém sztuka urosła w te czasy.

Zwiększenie liczby profesorów szkoły i wprowadzenie porządku
w prowadzeniu nauki miało być podstawą téj zamierzonej reorgani-
zacji; obie sprawy niewymagające powiększania budżetu szkoły; bo to
wychodziło z zakresu władzy rektora.

Ponieważ statut dozwalał przyjęcia do grona profesorów artystów utalentowanych, przeto rektor Estrejcher powołał na profesorów nadzwyczajnych honorowych Jana Nepomucena Głowackiego i Józefa Sontaga nauczyciela rysunków, jednego z Liceum św. Anny, drugiego z Liceum św. Barbary w Krakowie. Głowacki odznaczył się już wtedy jako peizażysta, wróciwszy z Wiednia gdzie się kształcił; Sontag drezdeńczyk niemiec był portrecistą niezłym, a głównie litografią się trudnił: pierwszy u nas rysował na kamieniu. Nie mieli oni pełnić obowiązków nauczycielskich w szkole, gdyż posady te były bezpłatne, ale powiększać grono w razie sądu konkursowego, lub dla wygotowania projektów odnośnych do szkoły.

Właśnie chodziło teraz rektorowi Estrejcherowi o podobny projekt statutu wewnętrznego zarządzającego, tę instytucją, a nieposiadając wiedzy coby należało na ulepszenie w rozkładzie nauk zaprowadzić, zażądał od wszystkich profesorów wskazówek odpowiednich. Było obyczajem wtedy składać podobne myśli na piśmie, a być może że drogę tę uważano za jedynie prowadzącą do celu tam, gdzie niemożna przypuszczać zgodnego porozumienia się na zebraniu wspólném.

Rada wielka Uniwersytetu wezwała w roku 1831 z dnia 21 czerwca i z daty 17 kwietnia 1832 r. a więc po dwakroć profesorów szkoły do złożenia projektów.

Znamy dwa z nich tylko, to jest profesorów Brodowskiego i Statlera, zdaje mi się że w owe czasy nie żył już professor rzeźby Józef Schmelzer wiedeńczyk, który po Riedlingerze objął posadę. Znając pojęcia Brodowskiego, łatwo domyśleć się, że projekt nie odstąpił od nich daleko, zresztą nie jest to projekt urządzenia szkoły, ale raczej ogólnikowy program, co i z czego w szkole téj uczyć. W żadne wyznaczenie wiary artystycznej nie wdając się professor ten, każe rysować ze wzoru Rafaela Mengsa (zapewne mowa tu o Morghenii co sztychował antykowe głowy i figury znakomicie); co do wyrazów twarzy z Chodowieckiego (!) a gdyby jego dzieł nie było, można nabyć, radzi, zastąpić go litografiami Boilla ówczesnego artysty paryżkiego. Co do głów cieniowanych, mają służyć rysunki z Rafaela Urbino (czyje?).

Z gipsu, mają uczniowie rysować „sławnych filozofów, cesarzy rzymskich; osteologii i mitologii uczyć się z figury Fischera (sic) a powtarzać to z pamięci, następnie z natury przy lampie modelu i *poprawiać* go wedle antyków. Wspomina o draperyach, o szkicach kompozycji, o wykładzie perspektywy i historii świętej.

To wszystko miało być projektem organizacyi szkoły, światłem dla rektora mającego najlepszą wolę zaprowadzenia systemu w samowolnym dotąd nauczaniu. Ale od Brodowskiego więcej żądać nie było można, gdy brakło mu jak wspominaliśmy, stosunków ze sztuką po świecie.

Miał je nowy zastępca professor malarstwa pan Wojciech Korneli Stattler, który świeżo powrócił z Rzymu, gdzie bawił od roku 1819 a może nawet wcześniej tam się udał. Była to nadzieja miasta, ten

młodzieniec obdarzony zdolnością, w stolicy nieśmiertelnej sztuki, uczący się u najpierwszych mistrzów, a otoczony opieką najwznieściejszych postaci swego czasu. Każda nowa praca jego, choćby studencka nawet, nadesłana do rodzinnego miasta, wzbudzała wysokie dla imienia Stattlera poszanowanie; nierozumiano ich, ale przeczuwano więcej, że mają prowadzić do wzniosłego celu.

Pozostawił nam obecnie w Warszawie żyjący czcigodny profesor miłą pamiątkę stosunków swoich z artystami i miłośnikami sztuki w Rzymie, w tych szacownych notatkach ogłoszonych w *Kłosach* na rok 1874, zatytułowanych: „Wspomnienia niedawnej przeszłości.” Są one żywem odbiciem postaci osób, z którymi zetknął się artysta; ale nie każdy czytający dostrzeże wśród anegdotycznych szczegółów, jakimi trudy dobijał się autor artykułów świadomości sztuki. Uczeń Lampiego, Peszki a nawet Brodowskiego, przeniósł się do Rzymu nie będąc przygotowanym do tego co go tam czekać miało. W pośród tyłu arcydzieł przeszłości, tyłu rozpoczętych dopiero dróg odrodzenia, przy świetnej jeszcze reprezentacji szkoły Dawidowskiej przez genialnego Camucciniego i akademików francuzkich bawiących w Rzymie z jednej, a z drugiej strony usiłowańach kolonii niemieckiej w kierunku romantycznym, musiał młody umysł pragnący światła sztuki, rzucić się na to wszystko, nie wiedząc czego się trzymać.

Zapalony zwolennik wielkiego stylu Camucciniego, studujący posagi starożytne, rozczytujący się w pracach Winkelmana, dochodzi za głosem Grafonarego i niemieckich odrodzicieli sztuki do przekonania, że cała wielkość sztuki leży w prawdzie formy i ducha, że w sobie natchnień, w naturze otaczającej kształtów i kolorytu do odziania myśli obrazu szukać należy.

Stosunki późniejsze z kolonią poetów polskich w Rzymie, w owe czasy, które tak wiernie opisuje znakomity nasz poeta Odyniec w listach drukowanych w piśmie warszawskim *Kronika Rodzima*, otworzyły do reszty Stattlerowi świat poezji romantycznej, który miał przenieść do malarstwa. Z tego urósł wielbiciel doskonałości rzeźby starożytnej, czciciel malarzy włoskich epoki odrodzenia i ich arcydzieł niezrównanych; poeta szukający w głębi duszy obrazów, ale z niedosyć jasnym pojęciem różnicy między poezją słowa a plastyki, jedynym słowem wyszedł artysta ogromnie wyrobiony, późniejszy autor „Machabeuszów” które to dzieło będzie zawsze świadectwem odrodzenia się sztuki w kraju naszym na tle wysoce poważnym i należeć musi do dziejów sztuki.

Ramy niniejszej rozprawy nie pozwalają mi bliżej określić cech artystycznych, jakimi odznaczały się prace nowego profesora szkoły; powiemy tylko, że naturą ich być musiało, że ogółu publiczności Krakowskiej zadowolnić nie umiały, ale dla szczegółowych umysłów były one pociechą wielką.

Projekt do urządzenia Akademii sztuk pięknych w Krakowie, w dopełnieniu reskryptu Wielkiej Rady Uniwersytetu, na wezwanie

J.W. Rektora Aloizego Estreichera, przez Wojciecha Kornelego Stultera; taki jest tytuł broszury wydanej u Czecha, 1832 roku. Myśli więc jego znane być mogą publiczności, pozwolę sobie jednak podnieść kilka o nich uwag i streścić je pokrótce.

Są rzeczy dzisiaj powszechnie znane, które powtarzać byłoby śmiesznością; ale miały one swoje czasy, w których były nowością, były pierwszy raz wypowiedziane dla nieświadomych. Porównanie twórczości artystycznej z twórczością poety, wskazanie poetyczności jako celu sztuki, jak to uczynił na wstępie rzeczonyj broszury, stawiało poraz pierwszy w Krakowie malarstwo jako wynik natchnień wzniosłych, a pojmowano je dotąd jako rzecz wykonania. Ostrój też poddaje krytyce cały owoczesny systemat nauczania w krakowskiej szkole, i wstępując surowo przeciw kopiowaniu niedołączonych obrazów, stawia za jedyną możebną drogę przy braku zasobów artyzmu, studyum natury „bo tą drogą szli wielcy mistrze.”

W rozwinięciu dalszém projektu autor widocznie nie ma na myśli zorganizowania szkoły, ale przeprowadzenie więcej swoich zasad nauczania. W ogólnych zarysach skreśla sposób wykształcenia artysty na podstawie studyów z natury, w rozkład nauki i pracy professor-skiej nie wdaje się i o tém zapomina.

W zasadzie chce on, aby każdy z uczniów szukał we wzorach natury środków wykonania tak, jak gdyby sztuka dopiéro rodzić się miała, a praca pokoleń nie była znaną. Akademią dzieli na 3 klasy, żąda aby do pierwszej z nich przechodzili uczniowie po ukończeniu liceum, zupełnie poświęceni sztuce.

W klasie tej pierwszej rozpoczynają kopiować kontury głów i części ciała, dalej przedmioty z natury rysować mają ołówkiem, badając zasady cieniowania. Zaraz potem przechodzą do malowania tej samej martwej natury, a uczeń „nabędzie władzy wykonywania ręką, cokolwiek myśl jego utworzy i jęj podyktuje” (kar. 15).

W klasie drugiej uczeń przechodzi do rysowania głów z antyków, rekomenduje do tego professor głowy Jowisza Otricoli i Aleksandra W., jako świeżo z całą dokładnością odlane staraniem jego na oryginałach w Rzymie; poczem przechodzi do malowania żywej natury, głowy starca brodatego, w śród czego professor ma sposobność mówienia o duszy malującej się w twarzy człowieka. Wykład anatomii dopełni wiedzy uczniów, a zakończy rysowanie żywego człowieka w nagiej postaci. Wyszędłszy z tej klasy, zdaniem autora „portrecistą staje się uczeń.”

W ostatniej klasie uczniowie przez użycie tego portretu głów i całych figur, dochodzą do prób własnych kompozycji a dopełniają wiedzy wykłady o poezyi i historii sztuki.

W projekcie widać reprezentanta romantyzmu, ale sam projekt jest znów więcej programem nauki, niż określeniem, coby należało robić, ażeby w szkole zaprowadzić porządek nauczania, rozdział pracy między professorów i porządkny kierunek studyów.

Z uwag professorskich nie korzystał też już więcej Aloizy Estreicher, przeprowadziwszy reformę o tyle, iż zarząd szkoły czyli dyrekcją utworzył właściwszą, przeznaczając jednego z profesorów wydziału filozoficznego na stałego dyrektora szkoły, usunął się. Statut urządzający szkołę jest dziełem smutném, zsywaném z tych różnych programów; podpisał go komisarz rządowy przy instytucjach naukowych, w chwili kiedy o wyniesieniu już szkoły z uniwersytetu zapadła stanowcza uchwała.

Statut z daty 17 października 1833 roku składa się z 20 artykułów: artykuł 1-y opiewa, że szkołę składają nauczyciele wyższego rysunku (Brodowski), malarstwa (Stattler), jako też nauczyciel niższego rysunku przy technice (sic). Artykuł 4-y daje plan nauk dla każdego z tych nauczycieli. Nauczyciel rysunku niższego ¹⁾ mający obowiązek uczenia w Liceum św. Barbary, ma uczyć rysunku geometrycznego, rysunku sprzętów w kopiach i z natury tak w konturach jak i cieniowane, zarówno jak i części ciała ludzkiego i nauka o proporcjach ciała „wedle reguł powszechnie przez wszystkie akademie przyjętych, miar posągów greckich a przez wielu autorów opisanych.”

Nauczyciel wyższego rysunku ma uczyć, jak rysować figury człowieka w częściach i całości, tak w konturach jak szczegółowém cieniowaniu z wyjaśnieniem „anatomiczném i za pomocą nauk perspektywy i optyki (sic)” to wszystko najprzód ze wzorów sztychowanych, potem z odlewów gipsowych, a w końcu z modelu żywego *plei męzkiej*, a w zimie przy lampach. W końcu uczniowie rysować mają draperye na lalce ułożone.

Nauczyciel malarstwa przeprowadzi uczniów do malowania przez kopiowanie z obrazów, a w braku wzorów poda za wzór naturę martwą, tłumacząc uczniom zasady użycia farb olejnych. Potem składać z tego mają obrazki, co poprowadzi ich do malowania krajobrazów z natury. Następnie stanie za wzór żywa natura całkowitego człowieka lub części, co „ma nauczyć portretowania.” Zamknie się naukę obrazem z dwóch osób złożonym i poda drogę do kompozycji. W ciągu roku wyłoży professor zasady anatomii, perspektywy, optyki; zarówno jak wiadomości o chemicznym składzie farb.

Sesye professorskie, miały się wedle statutu tego odbywać co miesiąc a uczniowie pracować codziennie od 8 do 12 godziny; obowiązkiem asystenta było utrzymywać spokój między uczniami i czuwać nad całością wzorów.

Statut przepisuje w końcu skład sądu konkursowego o nagrodę lub stopień i imię artysty albo w końcu o posadę profesora w szkole. Do sądu tego wchodzi profesorowie rysunku wyższego, malarstwa, komisarz naukowy, dwaj uproszeni znawcy, dziekan wydziału filozoficznego i jeden z profesorów tegoż.

Takię treści pismo przesyła Hübner owoczesny komisarz naukowy profesorowi Brodowskiemu i Stattlerowi do zastosowania się.

1) Jan Nepomucen Bizański.

Rzeźbiarstwo nie doczekało się reorganizacji, bo skasowaną właśnie wtedy była ta posada po zaszczytnej śmierci profesora Józefa Schmelzera w roku 1832.

Nie mogłem znaleźć w aktach uniwersyteckich daty powołania tego profesora, któremu zdolności osobistych odmówić nie można. Znalazłem tylko ślad, że w r. 1829 pod datą 21 maja wzywano jego poprzednika do powrotu z Wiednia; zdaje się przeto że Wiedeńczyk Józef Schmelzer był początkowo zastępcą Riedlingera.

Kierunek nauczania Schmelzera nie był odmiennym od kolegów swoich, kopiowano i odlewano z gipsu, biust był ostatnim wyrazem nauki. Lauvasson, Wawrzecki, Galli młodszy, który jakiś czas zastępował profesora i dzisiejszy profesor rzeźbiarstwa p. Henryk Kossowski byli uczniami jego.

Sławnym w dziejach szkoły jest konkurs na opróżnioną posadę profesora, należy to jednak do tych zaściankowych anegdot, które w poważnej pracy nie wspominają się. Antoni Schimser ze szkoły wiedeńskiej i Tatarkiewicz ubiegali się o palmę zwyciężką, a gdy ostatniego uznał sąd, senat skasował posadę i obu pogodził.

Tak stały rzeczy, gdy w roku 1833 zjechała do Krakowa komisya od trzech opiekuńczych dworów, delegowana do reorganizacji Rzeczypospolitej, a głównie jej instytucji naukowych. Nieuszy bacznego oka komisji niesnaski w gronie profesorów sztuk pięknych, i bądź że chciała uniwersytet od nich uwolnić lub też stosowniejsze zdaniem swém wynaleźć pomieszczenie, postanowiła znieść szkołę przy uniwersytecie, a profesorów jej przenieść do zamierzonego dopiero instytutu technicznego. Reskrypt komisji reorganizacyjnej z d. 1 września 1833 r. D. G. S. między innymi opiewa: „oprócz nauczyciela rysunku w szkole techniczej i w Liceum ustanowioną być ma osobna szkoła malarska i wyższego rysunku (sic) z dwoma profesorami. Nauczyciele szkoły malarstwa i wyższego rysunku obowiązani są uczyć co tydzień godzin 12 bezpłatnie a każdemu służyć będzie wolny przystęp do tego instytutu... podpisano Pfliegel, Forstenberg, Tegoborski.

Nie jasne pojęcie o zakładach technicznych, tém więcej o zakładzie który nieistniał jeszcze w Krakowie, mogło podać tak zgubny zamiar; jeżeli bowiem jak wykazaliśmy powyżej, szkoła sztuk pięknych nie znajdowała w uniwersytecie odpowiedniego miejsca, tém mniej stosowném być mogło tworzenie jej w instytucie, tak odrębne mającym stanowisko, a niemal wprost przeciwne sztukom pięknym. Rektor uniwersytetu reprezentował też tak wysoką władzę, iż rzeczywisty miłośnik sztuki na tém stanowisku mógł wykołatać nieraz opiekę szkole, opieka ta skończyłaby się musiała, gdy na naczelników szkoły dyrektor niższej instytucji był przeznaczonym. Nastąpiło też to w zupełności we dwa lata później w r. 1835.

Jakkolwiek reskryptem owym zamiar rektora Alojzego Estreichera został sparalizowany, niemniej jednak uniwersytet zajmował się szkołą i nie spieszył się z jej wygnaniem. Snać sztuki piękne nabywały w Krakowie prawa obywatelstwa, sejm daje fundusz profesorowi

rysunku w giminazyum Janowi Głowackiemu dla kształcenia się zagranicą w malarstwie, znany artysta a dziś wysłużony pełen sławy professor warszawskiej szkoły sztuk pięknych Rafał Hadziewicz osiada w Krakowie wracając z Paryża, a Krakowianin Piotr Michałowski świecci sławą rysownika po za domem. Uniwersytet zarządza też w r. 1834 konkurs na obsadzenie posady profesora malarstwa, którą prof. Stattler dotąd zastępczo zajmował.

Zadanie konkursowe stanowiło wówczas wykazanie się świadectwami i odbycie próby artystycznej wprawy i bogactwa fantazyi. Trzej ubiegający się kandydaci p.: Stattler, Hadziewicz i Bizański mieli odmalować w 6 godzinach pół figury nagiego człowieka z natury i zrobić szkice kompozycyjną. Konkurs ten w swoim czasie wywołał wiele hałasu, jak twierdzą, zdanie delegowanych do sądu przechylało się na stronę Hadziewicza, rzecz cała przenieść się miała następnie do senatu, a tam uznano professorem Wojciecha Stattlera. Nie wchodząc, o ile owe mniemania słusznemi są lub nie, to pewno że posada ta należała się właśnie autorowi projektu reorganizacji szkoły, o którym wyżej pisaliśmy; on jeden mógł pokierować młodzieżą, wychować ją w kierunku rzeczywistego artyzmu. Prof. Hadziewicz przyniósł z sobą wszelkie warunki malarstwa historycznego francuzkiego co do techniki, pędzla koloryt świetny, płynne malowanie, pełne efektu; były to zawczesne doskonałości: przeznaczeniem sztuki w Krakowie było dobijać się wprawdzie tych zasług ale przeszedłszy przez trudy. Tę drogę trudów pracy własnej narodowej na polu sztuki stworzył niezawodnie prof. Stattler, a swoim systemem napozór suchym i nudnym przeprowadził odrodzenie sztuki krakowskiej. Oto dlaczego nieubliżając wysokiemu talentowi prof. Hadziewicza, uważam wybór prof. Stattlera na nauczyciela malarstwa, jako ręką Opatrzności nad szkołą polską kierowany. Z Hadziewiczem na czele szkoła krakowska, może więcćj wydałaby artystów przed rokiem 1840, ale czy jój owoce byłyby tak dojrzałe, bałbym się twierdzić stanowczo; to jednak pewno, że on jeden mógł prześlancować malarstwo francuzkie na ziemię naszą. Sztuka nie rodzi się formą doskonałą ale naprzód świecci myślą, okrytą w nieodłączną szatę; myśl plastyczna dojrzewa, gdy liście formy dopiero się rozwijają: biada gdykwiat wyrośnie, a woń jeszcze nie spoteźniała, wtedy sztuka jest igraszką pędzla lub dłuta.

Nominacya rzeczywistego profesora malarstwa w osobie Stattlera, nie zmieniła zresztą w niczém stanu wewnętrznego szkoły, minęły czasy w których dobra wola mogła wyzyskiwać dla szkoły wyższą opiekę; czasy to były panowania komisarzy przy instytucjach naukowych, owego ministerjum oświecenia, które nie rade podwładnym dozwalało głosu, choćby doradczego. To pewna iż w gronie uczniów nastąpił rozbrat, obozy dwa zwolenników professorów Stattlera i Brodowskiego dały się widzieć i odróżnić, pierwsi i drudzy spoglądali na siebie z zaciętością godną lepszej sprawy. Rzemiosło jednak które dawało chleb, u jednych, a wymarzony ale nieureczywistniony artyzm

drugich, nie mogły zadowolnić wymagań rozbudzonej poezją romantyczną imaginacji społeczeństwa. Czasy to były wielkich poetów naszych.

Przeszkody z jakimi spotkał się professor Stattler u wstępu do szkoły, zwiększyć się jeszcze miały przeniesieniem szkoły a raczej dwóch już jęj tylko professorów do tak nazwanej techniki. Postawienia nauki sztuk pięknych pod kierunek dyrektora tęg ostatniej, zlanie professorów niegdyś uniwersyteckich z gronem które w końcu miało na celu kształcenie realne nie dosyć jeszcze jasno określone, przeszkody te musiało wywołać. Ale taka była wola komissyi reorganizacyjnej, więc dłużej zostawać szkoła sztuk pięknych w uniwersytecie nie mogła. Przeniesienie to nastąpiło r. 1835, a zaznaczyło się ubytkiem liczby uczniów, do czego przyczyniły się również okoliczności polityczne powszechnie znane. Prof. Stattler stracił wtedy kilku z takich, którzy bliżej sercem ku temu co wzniosłe zapowiadali godnych przedstawicieli usiłowań jego. Dość wspomnieć tu Felicjana Łobeskiego autora obrazu „Jeremiasza w jarzmie“ znanego z litografii, który umarł we Lwowie około 1855 r. pozostawiwszy piękne prace literackie na polu sztuki.

Jeżeli skromnym było pomieszczenie szkoły sztuk pięknych w gmachu przy ulicy Grodzkiej, własnym, to w technice było stokroć smutniejszym. W trzech salkach na drugiem piętrze w gmachu na Gołębiej ulicy, niegdyś koszarach, gnieździć się musieli ze zbiorami szkoły professorowie rysunku i malarstwa. Scisk i hałas nieodłączny od szkoły wydziałowej rzemieślniczej, która obok kursów właściwych techniki w tymże gmachu się mieściła, nie odpowiadał w zupełności potrzebie sztuki, do tego sale źle oświetlone, wąskie, niskie a puste nie mogły usposabiać do pracy. Smutniejszym jeszcze było zasiadanie professorów sztuki na sessjach w sprawach instytutu dyscyplinarnych, bo zgromadzenie professorów tych nie istniało więcej dla siebie; źle nie mogło iść dalej. Kommissarz rządowy Hübner zażądał tęg pod d. 27 maja 1835 roku od dyrektora techniki Kosickiego, projektu do urządzenia szkoły i wskazał statut rady wielkiej z r. 1833.

Niemożna wiele żądać od ludzi, którym wszystko dane prócz wzniosłości ducha miłości do sztuki; mogą oni nie na jednem polu być czynni pożytecznie, krzotać się gorliwie, ale do organizatorów instytucyi sztuki nie dorosli. W ciasnym kółku rzemieślniczych wyobrażeń o sztuce pozostawieni, nie umieją wnieść się po nad przepisy porządku. Tak było odnośnie do pierwszego dyrektora techniki, był nim Ludwik Kosicki, niegdyś professor Liceum św. Barbary w Krakowie, znany filolog. Niemając jasnego pojęcia o technice, gromadził on pod swą władzę wszystko co się dało: drukarnią, litografią, warsztaty stolarski i tokarski, muzykę, szkołę wydziałową i handlową.

Wydać się to dziś może śmiesznem ale tak było: malarstwo było u Kosickiego równie dobrém jak inne rękodzieła, dla niego tęg łatwą była odpowiedź na żądanie komissarza rządowego. Ludzie tego rodzaju wyszukują sobie doradców swęj miary, którzy przy tęg sposo-

бноści radzą dla siebie; usłużny doradca podyktował projekt urządzenia wewnętrznego szkoły w ten sposób, iż wilk był syty i owca cała jak to mówią. Statut ten najlepiej świadczy o ciasnym pojęciu nauki sztuki u wielu artystów tego czasu. Wedle projektu tego przygotowanie pierwsze do nauki sztuki odbywa się w szkole wydziałowej i kursach dwu pierwszych techniki. Wystarczyć ma na to professor rysunku technicznego, który przez to staje się zarazem professorem szkoły sztuk pięknych. Wedle projektu na kursie I i II szkoły technicznej ma być wykładana teoria perspektywy, anatomii artystycznej, teoria światłocieni i proporcji ciała ludzkiego; było to zdaniem projektującego dostatecznym dla tych, którzyby mając chęć oddania się sztuce o technikę zawadzili, ależ wszyscy uczniowie techniki artystami być nie mieli! Wprawdzie projekt przypuszcza i z innych zakładów uczniów do malarstwa lub rysunku wyższego, byleby skończyli 4-ą klasę Licealną lub 1-y kurs techniki, ale to z łaski tylko.

Professorowi malarstwa przydzielono w tym projekcie, który w dalszym ciągu jest powtórzeniem statutu z r. 1833, wykłady historii sztuki, i historii kostiumów, sprzętów, użycia broni i obyczajów (sic).

Do sądu konkursowego o posadę należeć mają: professor architektury w technice, professor rysunku w gimnazjum św. Anny i trzej professorowie niższego i wyższego rysunku malarstwa w szkole sztuk pięknych, pod przewodnictwem dyrektora techniki.

Cóż smutniejszego jak zmuszanie ucznia do szukania początków nauki sztuki w szkole technicznej, a jednak tak być miało; projekt ów zatwierdzonym został: inna rzecz czy się przyjąć mógł i jakkolwiek wydać owoce. Pisać o kierunku w wychowaniu pokolenia artystów w tej epoce szkoły, kiedy żywiły ją składające w żaden sposób złać się z sobą nie mogły, jest rzeczą niemożliwą. Szkoła jako instytucja wspólnych usiłowań ku jednemu celowi przestała istnieć już dawno; wolno też nam tylko wskazać jak ten lub ów professor zajmował uczniów swoich, zamknięty w salach przeznaczonych mu do nauki.

Katedry niższego i wyższego rysunku nie miały i nie mogły mieć przeznaczenia dostarczania przygotowanych uczniów professorowi malarstwa; system nauczania rysunku był tak tutaj na przeszkodzie jak zupełna nieświadomość nauczających o celu nauki. Rozdanie wzorów litografowanych uczniom bez wyboru, szerokie teorie o pomiarach czyli proporcjach głowy w sześciu położeniach, trochę ważnych szczególniejszemu tajemnic użycia krédki i wiszora: wszystko to więcej ogłupiało jak wznosiło umysł przygotowując do zawodu artystycznego. A jednak takich artystów z sali rysunkowej Instytutu technicznego wychodzić musiało wielu, skoro dyrektor techniki zarządza w roku 1840 wystawę rękodzielniczą i sztuki i rozdaje nagrody, a nawet patenta na artystów.

Zdolność do kopywania rysunków nie jest zawsze oznaką talentu artystycznego, jeżeli celem artyzmu jest tworzenie obrazów, niemożliwe też i najsumienniejsze kopywanie zaprowadzić dalej jak do rękodzielności. Jeżeli dotego uczeń ślęczy dnie całe nad kładzeniem kropek

i krósek a zapomina nawet o przedmiocie, który ma przed oczyma i jego ogólnym rysunku, możnaż nazwać, że uczy się artystycznego piśma? badawczość będąca podstawą sztuki wyrabia się w uczeniu tą drogą idącym? Lata też mijają przy takiej nauce, co w końcu prowadzi najdalej do zakładu litograficznego. Dyrektor Kosicki stał przy tym sposobie nauczania rysunku; profesora Stattlera pojęć rozumieć nie mógł, jak nie rozumiał czem sztuka i dokąd rzeczywistość jej nauka prowadzić miała. Chętnie też znajdowały się fundusze na zakupno lichych wzorów głów Julliena, a brakło pieniędzy na żywe modele dla sali profesora Stattlera.

Najmniej dawała oznak życia sala profesora Brodowskiego, brak uczniów stał temu na przeszkodzie, a więcej jeszcze ociężałość, która z wiekiem przyszła u niego. Kopjowano po staremu obrazy galerję szkolne stanowiące, lub rysunki owe aktów akademickich wiedeńskich. Z papierów w archiwum Uniwersytetu przechowanych widać, że miał zamiar Brodowski urządzić rysunek z antyków przy oświetleniu wieczorném, podobno i to nawet przyszło do skutku.

Szkoła Brodowskiego gasta powoli, w ostatnich latach swoich liczba uczniów ograniczyła się do pięciu; najcelniejszy między niemi Siefert zastępował profesora słabego, który też w roku 1838 przeniesionym zostaje na stan spoczynku, a posada zwinęta, jako bezpotrzebna w obec usiłowań profesora rysunków w technice. Jakoż professor techniki Bizański objął sale antyków i tam kilku ze swych umieścił uczniów. Brodowski należał do ludzi obdarzonych wrodzonymi zdolnościami, ale zanadto mało posiadał wyższego uczucia i wykształcenia artystycznego, żeby mógł być kierownikiem młodzieży. Bezmyślna wprawa w śmiały rysunek, przy pewnej pogardzie prawdy natury, obojętność na piękność linii i pewien niepokój duszy, były powodem rzucania się jego w różne malarstwa rodzaje, w żadnym z nich nie potrafił wyrobić sobie jakiegokolwiek znaczenia.

Obraz Chrystusa oddającego klucze św. Piotrowi w kościele krakowskim, św. Piotra którym zastąpił podobnej treści obraz Czechowicza, Herkules zabijający hydrę i kilka portretów w zbiorach szkoły sztuk pięknych, świadczą że obcym był zupełnie ruchowi sztuki europejskiej swego czasu. Zasługą jego na dziś jest to, że umiał skrętnie pobierać rysunki z przeznaczonych na zburzenie zabytków budownictwa dawnego Krakowa, że patrzył na życie ludu i dawał słabe obrazy przeszłości. Miano go za dzielnego rysownika swego czasu, dziś możemy tylko twierdzić, że był śmiałym a uczył lekkomyślności w sztuce.

(Dokończenie nastąpi).

PRZYCZYNEK
DO STUDYÓW NAD PODANIEM
O TWARDOWSKIM.

NAPISAŁ

Ernest Swieżawski.

Zajmując się zbadaniem i określeniem wzajemnego wpływu i zobopólnego przetwarzania się wyobrażeń pogańskich i chrześcijańskich, w tak zwanęj literaturze kopalnej czyli ludowej, przyszedłem z kolei rzeczy do ustalenia bytu, zakresu i formy literackiej, (że tak powiem), endosmozy między legendami o N. Maryi Pannie, a podaniami lechicko-pogańskimi o Marzannie. W ciągu téj pracy znalazłem takie wskazówki szerzenia się czci Matki Boskiej w XII-tém stóleciu, iż łatwo nastęczał się domysł, że dopiero w wspomnianém stóleciu powyższa część nad Wisłą i Wartą na dobre, nietyłe może nawet rozprzestrzeniła się, sił nabrała, ile rozpoczęła.

Wprawdzie pieśń „Bogarodzica” ma przyznawany byt wcześniej-szy; wszelako u kronikarza z pierwszej połowy XII wieku (Gallus, ks. II, rozdz. 28) znajdujemy dowód, że dopiero w wyprawie na Kołobrzeg Bolesława III, poraz pierwszy odprawiono *Officium sanctae Mariae* i odtąd nadal tego nabożeństwa niezaniechano.

Do tego świadectwa przybyły mi z kroniki Wincentego (ed. Bielowski II, s. 406, 414) szczegóły, dowodzące co najmniej wielkiego uwielbienia w XII wieku dla N. Maryi Panny. Tak np. przy wzmiance o zapadnięciu się w ściek w Erfurcie, dowódców wyprawy niemieckiej w r. 1185, kronikarz zauważa, iż to się stało „za tajemniczym bóstwem zrządzeniem.” Poniższy zwrot do Kazimierza II, wyjaśnia kogo tém bóstwem być rozumié: „Zważ Kazimierzu, coś winien *Stwórco i Matce Jego*, którym nietyłe obronić cię, ile *rozstawić* tém cudem się podobało.” Moznaby nawet wnosić z tego „rozpromienienia” (irradiare) chwały Kazimierza przez cud ów, że Bogarodzica wywdzięczała się jakoby tym sposobem za cześć sobie świadczoną w rodzie Krzywoustego. Ród ten słynął niejako, promieniał chwałą czcicieli Maryi, Matki Bożej.

Tenże kronikarz dalej nam donosi, że gdy Włodzimierz Jarosławicz dopuścił się gwałtu na kobietach i dzieciach w Haliczu „w dzień Wniebowzięcia Matki Boskiej”... „z *téjto przyczyny* ów sprawca zbrodni został wygnany przez Kazimierza.” Tu znowu ubliżenie N. Maryi Pannie ściąga kaźń z ręki potomka pierwszego Jój czciciela w Polsce.

Zauważmy téż, że sam Krzywousty założył kościół pod wezwaniem Panny Maryi w Sieciechowie (Monumenta Bielow. II, s. 518); jego wdowa wielkie czyni ofiary Maryi Dziewicy i św. Janowi (ibid. I, XXVI, n. 1). Aleksander biskup płocki pod témże wezwaniem funduje świątynię w Płocku (ibid. II, s. 335) i w Czerwińsku w r. 1124 (Lelewel, Pol. W. Śred. II, s. 460, n. 36), Mieszko III w r. 1145 w Łędzie (Cod. Rzyszcz. et Mucz. I, n. 1), Dunin przyjaciel Krzywoustego na Szlązku dwa: jeden na Górcie sobotniój w r. 1108, drugi we Wrocławiu w r. 1139 (Mosbach Piotr syn Włodzimierza, str. 3, 5); trzeci podobno on także w Czerwińsku, istniejący już w r. 1155 (Cod. Rzyszcz. I, 8); czwarty w Sulejowie, uposażony w r. 1150 i 1176¹⁾ przez Kazimierza II (Cod. Rzyszcz. I, 57, 11); piąty w Strzelnie, którego tablica konsekracyjna ma wizerunek ś. Anny, przynajmniej Matki, jeżeli nie samej Wielbionej Dziewicy Maryi, i napis: „Ciebie jakoś życzyła tym darem, Piotr czci”²⁾. Dalej probostwa w Mstowie i pod Kaliszem ś. Wawrzeńca miał ten Piotr Hugo, dwumienny syn Włodzimierza, Dunin założyć i zbudować, dopełniając cyfry siedmiu klasztorów, które na pokutę miał wznieść i uposażyć (Biel. I. s. I. II., 520).

Zważywszy, że z siedmiu tych fundacji, większość odnosi się do wstawienia imienia Matki Boskiej, przekonywamy się, że i Dunin do téj samej patronki się zwracał, co dostojny jego przyjaciel i krewny. Okoliczność ta zwiększając prawdopodobieństwo naszej hipotezy, że szczególnie w XII wieku, Bogarodzica zaczęła przychodzić do wysokiego uznania w Polsce, otwiera zarazem drogę do wykrycia czasu powstania opowieści o Twardowskim, przez analizę składowych jej części.

Ta analiza znajduje punkt wyjścia w fakcie zauważonym przez W. A. Maciejowskiego. Mówi on w swém „Piśmiennictwie polskiém” (II, 233), że lud *anachronicznie* opowiadał, jakoby Godzinki do Matki Boskiej, Kantyczki, które na cześć Maryi i Jezusa ułożył, wybawiły Twardowskiego od śmierci, aczkolwiek już na kilka wieków przedtem znano te pieśni. (W istocie jak to z Gallusa podaliśmy, już Bolesław Krzywousty na wyprawie pod Kołobrzegiem „postanowił” *Officium S. Mariae*). Badacz wspomniany uważał, że lud pomieszał dwie bardzo odległe od siebie epoki. Pomimo jednak że zacytował odnośny ustęp z Gallusa, przecie sądził że raczej przygoda Kacpra Twardowskiego opisana przezeń w 1628 r. p. t.: „Pochodnia miłości bożej z pięciu strzał ogni-stych” data powód ludowi do przypisania jego imiennikowi autorstwa godzinek³⁾. Jakkolwiek więc M. anachorizm przypuszczał, wszelako za źródło jego niepoczytał wieści z XII, lecz z XVII wieku.

Opowiada mianowicie szanowny autor, że Kacper Twardowski w swym poemacie, daje obraz ponurój nocy: „wtém poeta spostrzega czarta, i słyszy, jak tenże wzywa swych towarzyszków, aby wypadłszy

¹⁾ Właściwie 1186 r. por. Przew. Nauk. Lit., 1875 r., III, 579, n. 3.

²⁾ Łepkowski, O zabytkach Kruszwicy i t. d. s. 182—184.

³⁾ Piśmien. pol. IV, 635.

z piekielnych jaskiń, kusili rymopisa i ku upadkowi go przywiedli. Wnet wybiegają okropne poczwary, by uczynić wezwaniu zadosyć; lecz poeta wezwał pomocy N. Panny i Aniołów śś., a czarci ustąpili. Ten szczegół rzuca światło na pogadankę ludu o Twardowskim czarnoksiężniku, (*którego z Kacprem pomieszano*), kuszonym i uwiedzionym od czarta, a za przyczynieniem się Bogarodzicy, na której cześć składał wiersze, uwolnionym z jego mocy."

Przyznając, że szanownemu badaczowi zawdzięczamy pomysł śledzenia składu podania o Twardowskim, z pomocą analogii faktów historycznych, i że jego cytaty z Gallusa był punktem wyjścia dla całego dalszego studium o Twardowskim, przecie zaraz musimy zaoponować przeciw jego teorii o związku przygód dwu tych Twardowskich. Właśnie rozpoczęcie nabożeństwa do Matki Boskiej przez Krzywoustego Bolesława, uwielbienie N. Panny przez Dunina widoczne w obiorze Jęj imienia na nazwy swych fundacji, a łączące się z jego pokutą za niehistoryczny zabór skarbów duńskich, i wskazówki kroniki Wincentego o rozgłośności czci Tęjże w XII w., nakazują i podaniowego twórcę owego *Officium S. Mariae*, cofnąć w czasy historycznego ich krzewiciela w Polsce. Raz tak odniósłszy Twardowskiego w czasy Krzywoustego i Dunina, znajdziemy mnóstwo faktów historyograficznych, które dadzą się może objaśnić hipotezą, że w chwili gdy spisywano dzieje Dunina, już istniało podanie o Twardowskim, i odrębne te dwa cykle wzajem się plątały, przerabiały i wynaturzały, pod wpływem imienia i roli Maryi. Dane u Maciejewskiego tój hipotezie nie przeczą.

Powieść Kacpra Twardowskiego z r. 1628 o porwaniu go do piekła i uratowaniu się wezwaniem N. Maryi Panny, istotnie właściwą jest podaniu o Twardowskim. Nieidzie jednak zatém, by dwa te epizody z życia czarodzieja przytrafiły się dopiero pocie; owszem, rozważając opisy przygód Dunina w kronice Wincentego, w tak zwanój Bogu-fałowej i w innych, znajdujemy ślady tych zdarzeń dawniejsze, i co najwyżej, możemy twierdzić, że udział Matki Boskiej w ratowaniu czarodzieja z piekieł, był znany w XII i w XVII wieku.

Inaczej zresztą ten sam autor rozumował w „Piśmiennictwie polskiém“ a inaczej w „Polsce aż do pierwszej połowy XVII w. i t. d.“ porównując ustępy podania Twardowskiego z wypadkami dziejowemi. Znalazłszy wprawdzie ¹⁾ w dziele Albrychta Stanisława Radziwiłła p. t. „Discurs nabożny z kilku słów wzięty o wystawieniu N. P. Bogarodzicy Maryi w Wilnie 1635“ (roz. 5 § 3), oraz w Górnickiego „Dworzaninie“ 1566 r. o odmłodzeniu się Hiszpana jakiegoś przez pocięcie, że ten lata dopiero odnosi początek wieści o takiemże się odmłodzeniu czarodzieja. Bo twierdzi, że gdy te gadki o odmłodzeniu w 1566 i 1635 gruchnęły, lud je „zastosował“ zarazdo Twardowskiego. Twierdzi jednak następnie ten sam badacz (Piśm. pol. I, 131—2), że w r. 1623 Posseł Joachim w swém dziele *Compendium*, spisał pogadanki biegające o Twardowskim, jak podszedł w Bydgoszczy szlachcica marnotrawcę,

¹⁾ Piśm. pol. I, 257—258.

i Zygmunтови Augustowi pokazał cień Barbary (z lat 1550 i 1570). Ustęp o tłuczeniu garnków przez rzekomego ucznia Twardowskiego, podany w dziele Górnickiego (ed. Turow. 162), a dotyczący niby prawdziwego żartu z czasów Zygmunta Starego (1506—1548), p. Maciejowski wraz z wiadomością, że w XV wieku uczono w Krakowie czarnoksiężstwa, uważa za dowód, iż do XV wieku tylko da się doprowadzić istnienie Twardowskiego. Tak mniemał w Piśmiennictwie.

W „Polsce”, dziewięciu luty wcześniejszej, uważał (t. IV. s. 381—382) że przygoda z garnkami była znaną historycznie w wieku XIV, na Szlązku, w XVI wieku przypisywano ją Sowizdrzałowi, i owemu uczniowi Twardowskiego. Zobaczymy jednak, że to jest fakt dawniejszy. Ratowanie się Godzinkami, które wyszły najprzód w Wenecyi 1474 r. (IV, 404—405) odnosi go już do końca XV lub początku XVI wieku, nie zaś do czasów Kacpra Twardowskiego. Wzmianki zaś w podaniu o Twardowskim czynione o różnych miejscowościach, w których czarodziej ten działał, są zdaniem autora wskazówką czasu, kiedy te miejscowości z różnych przyczyn stawszy się głośniami, później wplecione zostały w klechdę o czarodzieju (str. 401). Dlatego więc miano mówić, że Twardowski dał byt kopalniom w Olkuszu, rozkazał odwrócić kamień przy Pieskowej skale, przenieść inny pod Czerwińskiem, wykopać staw w Knyszynie, bo każdy fakt głośniejszy, bez względu na istotnego jego sprawcę, kłaść lud przywykł na karb ulubieńca swego Twardowskiego. Wywód ten błędnym pono nie jest. Ale w takim razie, pierwsza wzmianka Olkusza, jak mi dotąd wiadomo, pochodzi nie z czasów Elżbiety Łokietkówny, ale z 1257 r. (Cod. Dipl. III, Bartosz. 75); do tego więc czasu wypada odnieść i istnienie podań wtrącających Olkusz w sferę działań czarodzieja. O ile więc trzy miejscowości pozostałe, głośnie dopiero wypadkami XV i XVI wieku, opóźniają byt do tego czasu Twardowskiego, o tyle wzmianka Olkusza w życiu jego, posuwa dawność czarodzieja tego do połowy XIII wieku. Obok tego zachodzi pytanie, czy Czerwińsk tylko dla grobu Konrada Ziemowitowicza (jak chce pan Maciejowski) był głośnym. W cytowanym tu już z Lelewela rękopisie witowskim (gesta cronicalia) mamy wzmiankę o budowie kościoła w Czerwińsku 1124 r., i nadto mamy potwierdzenie posiadłości klasztoru tamtejszego w 1155 r. przez papieża Adryana IV. Z téj przeto epoki może tém łacniej pochodzić głośność Czerwińska, ile że upuszczenie kamienia przez czarta może symbolizować walkę nowéj wiary z dawną czią pogańską, uważaną za dzieło i cześć czarta. Tym sposobem sięgamy z Twardowskim, autorem Godzinek, już w wiek XII, w czasy blizkie chwili, kiedy Krzywousty rzeczywiście zaczynał je śpiewać.

Pan Maciejowski jest jeszcze śmielszy.

Niebawem spostrzeża (Polska IV 393—394), że Rusini przygody swego bohatera Aleszy Popowicza z Tugarynem czarnoksiężnikiem wydarzone za Włodzimierza W. zastosowali do Twardowskiego ¹⁾ tak, że

¹⁾ Saoharow: Pieśni ruskaho naroda V, 91, Ruskija skazki 1820, I, 169.

Twardowski z wieku XV przechodzi w X i IX stolecie. Gdy zaś pan Maciejowski twierdzi, że „do rządu ściśle narodowo-polskich baśni należą same tylko powiastki o stosunkach czarnoksiężnika z szatanem” (IV 403), takowe zaś historycznie wysledzić się dają już w wieku VI ¹⁾ (Piśm. Pol. I, 232), więc do tego czasu należałoby odnieść samego Twardowskiego. Wniosek ten konieczny jest, wedle „Polski,” choć przeczy mu uwaga „Piśmiennictwa,” że „wszystko co się o Twardowskim nie da stwierdzić historycznie, i co się zda być utworem wyobraźni ludu, rodzinne jest i na polskiej powstało ziemi” (I, 233). W skutek tego „bogobojność, dobro powszechnie, figlarność” stają się celem Twardowskiego, wedle sz. autora Piśmiennictwa i Polski.

Z tego obrazu badań W. A. Maciejowskiego, który najwięcej dla podań o Twardowskim uczynił, łatwo może czytelnik wywnioskować, że teoria analizowania tych podań z pomocą dziejów musi się wspierać *implicite* na hipotezie istnienia pewnego cyklu podań o czarodzieju tym, *niezależnie* od historycznych analogii. Kronikarskie pojedyncze wskazówki i klechda o Twardowskim spisana 1837 (Klechdy I, 182, 210) najprzód przez K. Wł. Wójcickiego, o ile tamtym podobne szczegóły posiada, *mogą* być istotnie z sobą w stosunku genetycznym. *Mogły* się przyczepić dowolnie do imienia Twardowskiego, atoli każdy przyzna, że to przyrzeczenie się, jako dzieło jednostek myślących i czujących, musiało się odbywać według pewnych zasad logicznych i psychicznych. Twory literatury ludowej nie są potworem bezkształtnym, bezmyślnym; nie są igraszką gorączkowej wyobraźni.

Powiedziałem to już w wyjątku z mych rozpraw mytograficznych, p. t.: „Parę słów o Krakowiakach” (Pamiętnik Kielecki, 1871); dziś to z jeszcze większą pewnością i wiarą powtarzam, ciągle znajdując dowody w mych poszukiwaniach, że to *w nas*, jak słusznie uważali Czarnoski i K. Kozłowski, leży wina niezrozumienia tych tajemnic. *Mysimy* zgubili klucz, u ludu bardzo może długo przechodzący tradycją, z pokolenia w pokolenie; odnajdujemy go przez naukę, która w tych *disjecta membra poetae* szuka *a priori* nieco, śladów—myśli, zasady.

Podobieństwa zatem wszelkie, wykryte przez pana Maciejowskiego w kronikach i w klechdzie o Twardowskim, właśnie opierają się na fackie *obecnie* o tém czynionych wniosków, kombinacyj, upodobniań, rozróżnień..... Z pewnością *twórey* tej klechdy tak samo postępowali jak pan Maciejowski. Żaden z szczegółów kronikarskich nie przywarł do Twardowskiego bez jakiegś przyczyny; my ich nie znamy, może ich nie poznamy nawet, ale tylko przypuszczając, że ludzie myślący stworzyli klechdę o Twardowskim, że więc do istniejących już danych lub wywnioskowanych mniej więcej ściśle, dodawano podobizny historyczne, możemy poznać tej klechdy genezę, rozwój i początek. Pan Maciejowski kolejno cofając się za świadectwami analogij kronikarskich,

¹⁾ Mówią nawiasem, dzieło Hrozwity z X niby wieku, mówiące o tém, jest elukubracyą pono Celtesa Konrada,

doszedł do wieku IX po Chrystusie. Obluskując niejako ziarno podania o Twardowskim z późniejszych jego naleciałości, jądra czystego nie dobył, bo szukając tylko podobizn z dziejów po łacinie zapisanych, nie dotknął jeszcze podobizn literatury ludowej, bądź teraz, bądź dawniej na papier przeniesionych. W tej zaś literaturze ludowej ukryte są wskazówki mitycznego, nie historycznego, Twardowskiego, t. j. takiego, jakiego właśnie tu poszukujemy. Pomijając tę literaturę, zakryto sobie jedyną drogę wykrycia, czemu np. powieści o odmłodzonym Hiszpanie w w. XVI i XVII mogły się przyczepić do Twardowskiego? czemu tłuczenie garnków znane w XIV i XV wieku jako niezależny od czarodzieja wypadek, z nim się skojarzyło w klechdzie XVIII wieku? czemu przygoda Kacpra Twardowskiego z XVII wieku tak żywo też klechdę przypomina? i t. d.

Z temi podobiznami przyjdzie bardzo daleko sięgnąć.

Zaczynamy od punktu, w którym spotykają się podania o Duniuie z podaniami o Twardowskim, to jest mianowicie zbadamy, jaką rolę w obu tych podaniach odegrywa cześć Matki Boskiej,—w XII wieku, jak świadczy Gallus i Wincenty, szczególnież rozszerzająca się. Właśnie w tym punkcie moje studia o wzajemnym wpływie wyobrażeń pogańskich i chrześcijańskich w literaturze ludowej przeszły do owych podań, jako nowego przykładu zamiany bożyszcza pogańskiego Marzany w N. Maryą P.

Z tego też względu, niniejszy ustęp o Twardowskim, jako wyjątek z większej całości musi pominąć a raczej zbyć tylko ogólnikami tezę, której za jeden z licznych dowodów służył. Stawiamy tylko jak najzwężelż twierdzenie, że jeszcze za Długosza (*Liber beneficiorum* II, 462—463) było wiadomém, iż lud prosty, w pierwszej dobie wiary (*in primordio fidei*) Ś. Maryą zwał Ś. Marzą. Dodatek ów kronikarza o chwili, w której Maria brzmiała Marzą, nasuwa domysł, że nie tylko czysto-fonetyczne zjawisko tu zaszło. Długosz znający pogańskie bóstwo i matkę zbóż zwaną Marzanną i Dziewanną, owym dodatkiem *in primordio fidei* wskazał, że lud dlatego N. Maryą P. nazywał Ś. Marzą, że Bogarodzica (Mariana) zdawała mu się być ową dawną Marzanną. Marzana ta, topiona w środoposcie, w niedzielę marzaną,—zwana morem, śmiercią, zimą,—a zarazem będąca źródłem roślinności, matką natury twórczej,—łączy w sobie przymioty wody. Woda, morze, deszcz jest synonimem martwoty, zwłaszcza gdy zwrócimy uwagę na charakter niszczący morza, na przymiot deszczu zimowy (w strefie zwrotnikowej), morzący życie vegetacyjne ubiegającego roku. Odwrotnie deszcz rozważany w wiosnie, morze żywiące żeglarza i pomorzań, budzą wyobrażenie płodności, twórczości w wodzie. Przez połączenie się tej Marzany z N. Maryą P. powstało zjawisko, jasne dla wszystkich etnopsychologów, że atrybuty pierwszej stały się przymiotami drugiej, a rola często bardzo nieestosowna i ubliżająca Bogarodzicy,

jaka jej każą odgrywać pieśni ludowe i podania, jest tylko spadkiem odziedziczonym przez bóstwo chrześcijańskie po pogańskim.

Praca więc krytyczno-umiejętna, dążąca do oddzielenia dwu tak różnych żywiołów w typach naszej czci chrześcijańskiej, ma nawet doniosłość nie tylko literacką.

Tak zapatrując się na podaniową rolę P. Maryi, znajdziemy pierwsze wrota do zagadkowej powieści o Duninie i Twardowskim. Dunin jest osobą historyczną, katolikiem; z jego dziejami przeto może łączyć się N. Marya P. (czyli Ś. Marza). Twardowski jest mytem i ma do czynienia tylko z Marzańką, czyli Marzą. Tu zadzięguje się pierwszy węzeł między dziejami XII wieku, a mytem, który jako zjawisko atmosferyczno-kosmiczne, *wcielił się* przed wieki, i dopiero w owym wieku spotkał się z podobizną swą historyczną.

Wyraz Marza, bez względu na istotne jego znaczenie, przedstawia niejaki podobieństwo do morza. Następnie, w pieśni jednej serbskiej P. Marya wydaje świętym klucze niebieskie, skwary letnie, pszenicę, wino, pastwiska i wody ¹⁾. W Łużycach, koło Kottmarberg zjawia się Mara (kobieta w bieli) o północy, a gdzie stanie rosną trawy, kwiaty się rozwijają..... W Rosenthal zjawia się w tym samym charakterze P. Marya ²⁾, o której pieśń białoruska na Ś. Jan nuci: gdzie Marya się kąpała, trawa się rozściełała ³⁾. W Czechach na śmiertną to jest marzańką niedzielę, nucą pieśni, w których imiona Morzeny i Maryi wymieniają się, a zapytana Marya o klucze, odpowiada, że je oddała ŚŚ. Janowi i Jerzemu do nieba i raju. Ś. Jan otwiera zaś ziemię, by trawa rosła zielona, czerwona róża i fijołek modry ⁴⁾.

Na Ukrainie opowiadają, że pierwsza żona Adama była kwiatem, a gdy pojął drugą Ewę, owa pierwsza będąca kwiatem wcielonym, stała się N. Maryą P. ⁵⁾. W jednej pieśni litewskiej jest mowa o ziemi matce, kwiatów rodzicielce ⁶⁾.

Najwyraźniej przeto, w różnych stronach Ś. Marza jest ziemną matką, matką roślinności. Warunki w jakich się to odbywa uwydatniają owa studzienka lub topiel w jakiej nurzają Marzańkę, i skąd sprowadzają nowe lato, maik czyli gaik. Woda ta sprowadza obudzenie się przyrody, wegetacyi; deszcz powołuje do życia matkę ziemię. To też w dolnych Łużycach mówią (Sagenbuch I, 66, 68), że Murawa pojawia się gdy słońce świeci, a deszcz pada, co Podhalanie (Zeiszner str. 171 n. 195) wyrażają:

Deszczyku, oléj mnie!
N. Panno, osusz mnie!

1) Zmorski P. I. serbsk. I, 97. 2) Haupt Sagenbuch der Lausitz 1862 I, 10, II, 56, 181. 3) Baraszczewski Szlachcio zawalnia I, 10. 4) Erben Prostonar. Česke pisně a říkadla 1862 str. 57. 5) Rulikowski Op. Pow. Wasilkowskiego, str. 176—7. 6) Kraszewski, Litwa I, 323, 326.

W pieśniach czeskich Marya pytana gdzie tak długo była, odpowiada, że w studni ręce myła, zameczek zamykała, listeczkiem odmykała. Wyraźnie więc ze studzienki dobywa skarby wiośniane, a nowa roślinność zjawia się w postaci darów wodnych, darów Mořeny, morza.

Skoro tak się rzecz ma, zważmy następne szczegóły podane bądź przez Gallusa, bądź przez Wincentego, bądź tak zwanego Bogufałę i przez lud. Gallus opowiadając o wyprawie Krzywoustego, w czasie której rozpoczęto nie używane dotąd nabożeństwo do P. Maryi, czyli niejako stworzono dla Polaków Godzinki, czy tam Kantyczki, donosi także, że również po raz pierwszy ciż Polacy ujrzeli morze. Na widok morza utworzono pieśń, a w niej dawnym wyprawom i zdobyciom lądowym przeciwstawiano przygody i łupy nadmorskie.

Ojcowie ścigali jelenie, kozły i dziki;

Ci łowią morskie potwory i skarby wodne. (*opes aequoreae*).

Zestawienie to jest ciekawe: Godzinki do Bogarodzicy tak spotykają się z darami wodnymi w jednym rozdziale Gallusa kroniki (II, 28), jak Marya z Marzańą w pieśniach ludowych. Ten sam stosunek znajdujemy w podaniu o Twardowskim. Wiemy doskonale, że gdy czuł się zgubionym, ułożył pieśń do Ś. Marzy, a ta go uratowała. Nie dość na tym związku, którego znajdziemy poniżej rzeczywistą przyczynę w historii Dunina; Twardowski w włościwem świetle rozważony, łączy się bardzo ściśle z wodą. Podanie czyni go nietylę twórcą rudników srebra w Olkuszu, ile raczej sprawcą ich zalania wodami rzeki Białki. Koło Wysokiego Mazowieckiego jest karczma we wsi Mystki Rzym, słynna porwaniem czarodzieja; płynie tam strumień, który z jego woli świeżo trysnął (Gazeta Polska 1870 r. N. 20). Na Podlasiu jego inicjatywie przypisują początek stawu czechowskiego, (Bibl. Warsz. 1867 III, 145), podobnie jak knyszyńskiego. Koło Nekli w powiecie szredzkim w W. K. Poznańskim staje grobla z woli Twardowskiego, (ibid. 1864, I, 281), podobnie jak w Wiślicy, gdzie czarodzieja ksiądz zastępuje (Siemiński Podania i legendy N. 43). Po-byt nawet jego w żupach Bochni i Wieliczki, nie tyle z duchem stróżem skarbów wnętrza ziemi (jak chce W. A. Maciejowski. Polska IV, 389—390) ile z odwieczną, morską (?), wodną naturą tych kopalni soli, licować się zdaje.

Wiemy jeszcze jeden szczegół.

Wedle klechdy, Twardowski tłukł garnki żonie a u Górnickiego uczeń rzekomy Twardowskiego przekupkę do tego namawia: Sowizdrzał w Berlinie i Bolko Ziembicki († 1341) czynią to w sposób zrozumialszy. Kupują od mleczarek nabiał, każą go zlać w jedną kadzi i potem gdy mleczarki kwapią się z garnkami rozebrać z kadzi mleczwo, w pośpiechu i tłoku, garnki się tłuką. Tu garnek zestawiony jest z mlekiem, tłuczenie pierwszych sprowadza rozlew drugiego, a według pojęć staro-indyjskich: dęszcz to mleko krów niebieskich, i dlatego mówią u nas: gdy słońce świeci a dęszcz leci, że czarownica masło ro-

bi, bo pamiętano, że dęszcz to mleko niebieskie, z którego kiérznia użytkować może. Bicie przez dyabła żony, to jest czarownicy dęszcz i grady sprowadzającej (Kolberg, Kujawy, cz. I, 102), odpowiada biciu garnków żoninych przez czarodzieja.

Razem wszystko wzięte, potwierdza stosunek Twardowskiego do wody; już więc mytycznie Twardowski ściśle się łączy z mořeną, z morzem, z wodą, z Marzą. Jak nateraz nie wchodzimy w badanie czy ten związek od początku pojawił się w téj formie. Byt jego nam wystarczy. Nareszcie co do podań o Duninie, widzimy, że współczesny Ortlieb (Bielow. Mon. II, 3) opowiada o okupie wielkim, jaki Dunin wymusił na synu zdrańdie pochwyconego przez się Wołodara ruskiego. Za to i inne przestępstwa miał „papież *lub* miejscowi biskupi” kazać mu te skarby rozsytać na miłosierne uczynki, a między innymi pokutujący Dunin miał wnieść aż 70 kościołów. Późniejszy Bogufał (Mon. Biel. II, 520) o tyle zmienia podanie Ortlieba, że Dunina wstrycha na Duńczyka, skarby ruskie czyni własnością króla duńskiego i każe Duninowi spławiać je z za morza, wreszcie wątpliwość co do miejsca i znaczenia osób od których zawisło naznaczanie pokuty znosi, na korzyść Rzymu i wielkiego penitencyaryusza.

Mosbach dowiódł że duńskość Piotra Dunina nie ma żadnej podstawy historycznej; dla nas, imię Dunina, i przydomek jego i jego skarbów duńskiego pochodzenia (u t. z. Bogufały) przywodzi na myśl zwyczaj Słowian nazywania wszelkich wód Dunajami. Ztąd Don, Dżwina (Duna), Dunaj (Ister), a podobno tak samo zwał się i Dniepr pierwotnie. Zaczem skarby duńskie są właściwie skarbami wodnemi, podobnie jak nie inne jest znaczenie skarbów ruskich (rus, rusło,.....). Tym sposobem Piotr Dunin staje się porywcą skarbów morskich, wchodzi w stosunek z Mořeną, z Marzą.

Ponieważ Twardowskiemu tenże stosunek jest także właściwy, ztąd wynika splecenie obu podań, i wymiana wzajemna różnych szczegółów.

Wiemy, że Dunin wznosił świątynie, przeważnie Ś. Marzy, a przynajmniej w wieku szczególniej czczącym Ś. Marzę, budował takowe. Na gruncie wspólności skarbów morskich między Duninem a Twardowskim, nabożeństwo pierwszego do Bogarodzicy z odcieniem pierwszy raz kantyczek spólcześnie ze zdobyczą skarbów morskich (patrz wyżej) poszło w ślad nabożeństwa Duninowego do Ś. Marzy, i związało się z Twardowskim, jako jego pomoc. Zaprzecanie się czarodzieja dyabłu wypływa z przekonania, że skarbów strzeże nieczysty, i że utratą duszy ich nabycie trzeba okupić. Twardowski jako pan skarbów (wodnych), ile że człowiek, musiał do nich przyjść cerografem.

Tą drogą jeśli się nie mylimy, Twardowski przyszedł do czczenia Ś. Marzy, natchniony pokutą, więc obawą potępienia, piekła; a następnie do chwały twórcy Kantyczek. Odwrotnie powieść o Duninie zbgaciła się nie jednym szczegółem z podania o Twardowskim.

A przedewszystkiem wzmianki o papieżu i Rzymie w życiu Dunina nie mają żadnej podstawy a są bardzo właściwe w przygodach czarodzieja. Prócz wspomnianych Rzymów, jest jeszcze w Wielkopolsce, w powiecie wągrowskim, karczma tego imienia i użytku (Bibl. Warsz. r. 1864 I, 281), także w guberni półtańskiej koło miasta Żubna (Polska, Maciejowski IV 392), pod Sandomierzem, pierwotny (Bandtke J. S. Dzieje nar. pol. 1835 II, 75); wreszcie ksiądz z Wiślicy (u Siemińsk.) jedzie na drzwiach kościelnych do Rzymu prawdziwego ratować papieża, którego szatan kusi. (Czy to o papieżu Sylwestrze II mowa?) Ten wyraz „Rzym” w podaniu o Twardowskim odejmuje tej postaci wszelką cechę historyczności. Rzym ten bowiem jest przeróbką owych Rzymian (cum Romanis) z jakimi u Mateusza Cholewy walczy Grakus (Krakus, Trut). Silono się na dziejowy wykład ich; nie jest mi jednak wiadomem, czy mój domysł, wyrażony już w Encyklopedyi Mniejszej Orgelbrandów (voce Grakus i Lud polski, ustęp literatura ludowa), że ci Romani są rachmanami był już przez kogo wypowiedziany lub zbity. Rachmani, wielkanoc rachmańska, albo nawska ¹⁾ jest wielkanocą nieboszczyków, jak to wyrazi nawije (u Nestora) Nua (bóstwo śmierci w Gnieźnie u Długosza) indyjski devas śmierci Naçus, greckie νεκρος i νεκρος, polskie nieboszczyk wskazują. Wyraz rachman u Górnickiego rochmonny łagodny ²⁾, u Maciejowskiego łupieżczy ³⁾ albo sędownik normański, jakoby rachimburgi, hiszpańscy ricos hombres ⁴⁾, u Afanasjewa brachmanów oznacza. Być może raczej że rachman, u Mateusza romani, są w związku z rękawką, to jest ze stypą pogrzebowa Krakusa ⁵⁾, i z rakwią (trumną)? Rachmani, po łacinie Romani, po polsku znów przełożeni Rzymianie, są nieboszczykami, trupami, światem zmarłych, z jakimi przychodzi walczyć Krakusowi. Dlatego Aleksza Popowicz walczy z trupem, w którym się Twardowski schował (Mac. Polska IV 393). Dlatego w Rzymie kończy się życie czarodzieja. Podanie o Krakusie, z którego dobyci są rachmani, romani, rzymianie, i Rzym, wyjaśnia nam téż odmłodzenie czarodzieja; gdyż jak Krakus wracając z ukrycia zimowego (Karwacyi, Erytryi greckiej, Vritri indyjskiej) odzyskuje blask (Liguryą) pierwotny, t. j. zwyciężywszy śmierć (rachmanów) wraca do życia, tak i Twardowski pozornie ginie i odmłodzony zmartwychwstaje. Godzi się tu przypomnieć, że Nestor pod rokiem 1074 (6582 Biel. I str. 742 nast.) donosi o pustelniku Izaaku, który przez 2 lata niby umarły, bez jadła i napoju, głuchy i niemy, leżał na łasce przyjaciela. Po tym czasie przyszedł do siebie, ale jak dziec-

¹⁾ Opis pow. Wasilkowskiego, str. 159, Kłosy 1873 N. 430, str. 206 i N. 431 str. 223.

²⁾ Dworzanin ed. Tur. 25 zwierzę rochmonne v. dzikie.

³⁾ Z arabskiego rachanan. Dzieje pierwot. 577.

⁴⁾ Hist. Pr. Sl. ed. 2 t. III, str. 335 § 282, str. 180 § 164.

⁵⁾ Łepkowski Przegląd trad. narod. str. 49.

ko musiał przyzwyczajać się do chodzenia, brania pokarmów i t. d. „Odżywszy jął udawać błazna, stroić figle, dokazywać sztuk dziwnych, albowiem miał władzę nad czartami „jak nad muchami.” Nie sąż to istotne odmłodziny Twardowskiego? Poczęści i walka w Rzymie z czar-tem, z piekłem, kończy się odmłodzeniem czarodzieja, bo śmierć ustępuje przed życiem w przestrzeni zawieszonogo. Pewną analogią w dziejach Dunina przedstawia odzyskanie straconych języka i oczu, odzyskanie światła!

Odwrotnie, Twardowski u Dunina zapożyczył się ciekawym a zaga-
dkowym wypadkiem w karczmie Rzym, w którym niemowlę ochrzczone
występuje na scenę, jako narzędzie obrony czarodzieja, porwaniem do
piekła zagrożonego przez czarta. Dobrowolna umowa co do Rzymu,
jako miejsca, gdzie czart będzie mógł porwać Twardowskiego, zostaje
haniebnie przez tegoż pogwałcona. Raz broni się porwaniem na ręce
czystego dziecięcia, drugi raz Godzinkami. Wynalazek ostatnich urosł
z powieści Gallusa i t. p. Co do pierwszego wykretu, ślad jego znaj-
dujemy w dziejowém życiu Dunina. Wojewoda ten Krzywoustego
udając wygnańca, pojechał do Wołodara; przyjęty gościnnie, *trzymał*
mu syna do chrztu, i za to wszystko wywzajemnił mu się zdradziec-
kiem porwaniem. Fakt ten historyczny, podanie o Twardowskim, przyjęto
mało co zmieniawszy, w treść swoją. Znamię najwyższego pobrata-
nia się Dunina ze swym gospodarzem przeszło w pokrywkę zdrady
czarodzieja, która też cechuje całą akcją jego prototypu dziejowego na
Rusi.

I porwanie Twardowskiego z grona rachmanów (nieboszczyków)
czyli z Rzymu (Romene litewskie)? ma odpowiedni choć nieźródłowy
i niejedynie podobny ustęp w powieści o Duninie. Wedle Wincente-
go, porwanie Wołodara przez Piotra dokonywa się w ten sposób ¹⁾,
jak „gdyby orzeł porwał kure;“ towarzysze zaś Wołodara „jak piskłę-
ta okryły się cieniami piekieł (*umbrae Orci*) zamiast skrzydłami kwoki.“
Tak więc, w tekście kronikarza niebrak rachmanów, Rzymu, (piekła)
a uosobnienie Dunina w orle, nadaje mu coś podobieństwa do powie-
trznego wędrowca, jakim w ostatnich chwilach życia zostaje Twardow-
ski. Tu mamy ślad zetknięcia się, pono ostatni, żywotów czarodzieja
i wojewody, i wzajemnego przeobrażenia. Wytknęliśmy bowiem, jak
w nabożeństwie do ś. Marzy i stosunku do Marzy i morza, jak w posia-
daniu skarbów wodnych, jak w miejscu i osobach ostatniej walki, w środ-
kach obrony, a nawet i w sposobie zniknięcia z tego świata: historyczny
Dunin i podaniowy Twardowski zgadza się. Pokazaliśmy równoległość
wersyj kronikarskich i pojedynczych momentów powieści ludowej; także
pożyczki wzajemne obu zaznaczyliśmy. Nie udowodniliśmy jednakże, że-
by Twardowski był dawniejszy od Dunina, i zaledwo część, o Rzymie,
przez swój związek z Rachmanami Krakusa, wykazuje swój byt staro-

1) Monum, Bielow. II 353.

żytniejszy, gdyż jeżeli się nie mylimy, powieść o bohaterze imionodawcy Krakowa sięga czasów staro-indyjskich i dla sanskrytologów z tą (lubo niejedyną) powieścią odkrywa się wdzięczne zadanie poszukiwania na polu starożytności wedyjskich, najprostszej formy naszych podań. Przykłady studyów szczegółliwych Stejnthala, Wojciecha Kuhna, Mannhardta, Maksa Müllera i tylu innych badaczy etnopsychologii (Völkerpsychologie) robią nadzieję, że używając ich metody, umiejętnie wypróbowanej, stwierdzić się da może domysł, a raczej duch domysłu Kucharzskiego, (Bibl. Warsz. 1854 II 163 voce Indye), że indyjski Traetona to jest prototyp naszego Truta (Kruka). Odkryjemy tym sposobem, że Wedy nie są polskiem dziełem, jak Babilon nie jest babilonem; nie będziem torturować języka fenickiego, celtyckiego i t. p. aby z rodaków naszych tak teraz dziejowo zubożałych, tak w życiu niezaradnych, choć w mrzonce naukowej zrobić proaicjów wszystkich i wszystkich. Ale przekonamy się za to, że staro-indyjska kultura jest i dla wszech słowiańskiej, i dla jej odrośli, różnoludowych i różnoszczepowych cywilizacyj pierwotnych: komentarzem i uzupełnieniem w miejscach zębem czasu i ludzi uszkodzonych.

Daleka to wprawdzie wędrówka od Twardowskiego, aż do tych zażytków wedyjskich. Załedwo też do nich dojdziemy, i nieśmiało tylko do nich zakończem. Nie mieliśmy bowiem dotąd możności zapoznać się z temi źródłami inaczej, jak przez pośrednictwo bądź wspomnianych badaczy bądź np. streszczeń ¹⁾. Wszelako niewidząc poprzedników, spróbuję choć zbłądzić. Może choć błędy powołają specjalistów do czynu, bo zawsze krytyka łatwiejsza..... Autor się zaślepia, jak ojciec; krytyk znów widzi często więcej jak ojczym, jak świekra, owa „głowa węzowa.“ Z tych dwu nadmierności, w pośrodku wykwitnie prawda.

Główną przeszkodą w ustarożytnieniu Twardowskiego zdaje się być jego nazwisko, a raczej forma jego. Końcówka *ski* zdaje się tylko przez lapsus całami Szajnochy ²⁾ wbrew cytowanym źródłom z 1382 r. przeniosła się do wieku Kazimierza Sprawiedliwego. Zjawia się jakiś Nedzwedzki na donacyi tego księcia Wichtrydowi uczynionej, ale w układzie aktu wspomnianego, w dacie (1183)? i t. d. są ważne przeciw jego wiarogodności zarzuty ³⁾. Nawet wiek XIV dużo przykładów tej końcówki *ski* niezdaje się dostarczać. Najwięcej ich znalazło się na akcie w 1382. Poznan Konarski *de Sambiczyn* z r. 1348 i 1354 ⁴⁾. Seczesław zwany Konarski z 1336 ⁵⁾ a tym bardziej, Sdislaus Conarski Krakowski wojski ⁶⁾ w 1228 roku należą dotychczas do przy-

¹⁾ Por. Bibl. Warsz. 1866, ustępy z Wed przez Krasnosielskiego.

²⁾ Jadw. i Jagiel. 2 t. I, str. 40, por. notę.

³⁾ Lelewel Pol. W. Śred III, 134 Okolski Orbis Polonus II, 110.

⁴⁾ Cod. Tinec. str. 95, Cl. Tumbae, str. 57, 55.

⁵⁾ Mon. Med. Aevi Pstrokoński, I, 204, Nr. 159.

⁶⁾ Cl. Tumb- str. 6. U Helola Star. Pom. Pr. pol. II, str. 331, Nr. 2221, por. Nr. 2271, 2272 i t. p. znajdują się nazwiska szlacheckie na *ski*

kładów wyjątkowych. Częstsze są nazwy od posiadłości; np. de Pstroschicze alias de Jurzikowicze, Paszko Szlodzey de Biskupice, który pisze się też de Pilchowice (Helcel St. P. P. II. str. 139, Nr. 930, str. 119, Nr. 709, str. 151 Nr. 1020, str. 137 Nr. 913)... Mamy też zaraz przykład jak herb służy za nazwisko, bo Złodzięj jest proclama (godło, ztąd klejnot) znaku strzały z orlim ogonem, (ibid str. 290 Nr. 1991), W r. 1253 jest Wojciech syn Komesa Mikołaja Godule (Mon. Med. Aevi I Nr. 36), a Goduła lilii jest opisem herbu Mozgawa (Helcel I. s. I. Nr. 1346). Roku 1376 znany jest Mikosz de Gosicze, zwany Momot, i Jaško z Tarnowa zwany Czemerz ¹⁾; Momot zaś jest zawołaniem herbu Biberstein (Helcel 2428 II str. 368).....

Najczęstsze są nazwy od posiadłości wzięte np. de Jurewice np. lub od ojca Boguszyc i t. p., w wieku XIII, który to zwyczaj w XVI i XVII wieku uległ ważnej zmianie. Kromer (Polska ed. Syrok. 1853 str. 57) donosi, że za jego czasów szlachta jeła tworzyć sobie nazwy od swych majątności, dodając końcówkę *ski*. Jeżowski w dziele Oekonomika z 1532 r. ²⁾ poczytuje tę końcówkę za szlachecką, gdy *iez* mieni być cechą gminu, aczkolwiek *iez* w XIII wieku było nobilis.

Zaczem, po formie nazwiska sądząc epokę Twardowskiego, należałoby go najrychlej do (połowy) w. XV, lub do początku XVI odnosić. Maciejowski znalazł Twardowskiego kanonika poznańskiego w akcie z r. 1441 (Piś. pol. I, 231 n. 1). Wszelako przypuszczać się godzi, że w tej epoce Twardowski uległ tylko uszlachceni, bo tego pojęcia czasu wymagały, a nazwa jego jest dawniejsza. Mickiewicz, wplatając wszędzie przygody własnej miłości (Poraj i Maryla), pomieszcza w pierwszej części Dziadów piosenkę o zaklętym młodzieńcu, w głąz przemienionym. Zmiana ta następuje w skutek patrzenia się w zwierciadło; zjawia się Twardowski, a jak go Mickiewicz przeżywa „rycerz z Twardowa“ i znając czar zwierciadła, chce stłuc je i młodzieńca wyzwolnić. Czy powieść ta o kamienieniu patrzących się w zwierciadło Twardowskiego, (będące w Węgrowie), a przez strzaskanie onego wyzwolonych, została wziętą z ust ludu przez poetę, nie wiemy stanowczo. Mamy jednak przykłady, że urywki z literatury kopalnej, np. o Madeju, bardzo charakterystyczne, zkądinąd nieznanne, przechowały się w dziełach autora Dziadów, i profesora literatury słowiańskiej. „Rycerz z Twardowa,“ więc sam tytuł, nie jest może wzięty z ust ludu, ale jest tą razą prawdziwem natchnieniem, widzeniem prawdy nawet przez poetę. Z tej bowiem formy de Twardowo (niejako), lud utworzył Twardowskiego w wieku XV; jestto forma trzynastowieczna,

z XV w.. Myli się jednak str. 139, Nr. 930 ze wsi tworząc nazwisko na *ski* w notce wbrew tekstowi (nie Nr. 707. ale 709 na str. 119).

¹⁾ Cl. Tumb. Nr. 89.

²⁾ Maciejowski Polska II, 191, i Wójoicki Bibl. Star. Pisarzy polskich Tom II.

a źródła jej szukać możemy zarówno w nazwie miejscowości, jak i w górze rycerza z Twardowa.

W istocie, ów młodzian z Dziadów kamienieje na widok zwierciadła Twardowskiego; pałka Herkulesa, odwrócona cięższym końcem do góry w Pieskowej Skale, kamień w Czerwińsku, Krzemionki pod Krakowem, gdzie była szkoła czarodzieja—jako przedmioty „twarde,” dziwnie godzą się z „twardością” nazwiska istoty, która je rozstawiła. Należy też zważyć, że w wieku XIII spotykają się imiona od téjże (przynajmniej na pozór) własności fizycznój utworzone. Tak np., w roku 1255 występuje przy boku Bolesława księcia Krakowa i Sandomierza kleryk „Twardosław” imieniem, pisarz aktów (Nakielski Miechovia 174), w roku następnym tytułujący się już podkanclerzem, i w téj godności, ile mi wiadomo, trwający do 1279 r. (Rzyszcz. Cod. dipl. I 111), a może i później.

Obok tego w literaturze ludowej spotykamy niejakié wzmianki bądź o kamienieniu, bądź o kamieniach. Zobaczymy o ileby się one nadawać mogły do objaśnienia początku imienia Twardowskiego, którego po tém, cośmy dotąd o nim mówili, za postać historyczną trudno uważać. Zaczem i uciekanie się do wyjaśnienia mytologicznego razić nie powinno. Kiedy nie z historyi to może z meteorologii lub innych tego rodzaju zjawisk, jakieś światło padnie na naszego czarodzieja początek i znaczenie.

Najprzód godzi się wspomnieć o przykładach skamienienia, jakie podają biografowie ś. Ottona Bamberskiego ¹⁾ w XII wieku. Wszystkie one wynikają z odbywania zniw w czas świąteczny; z tego jedni pisarze czynią niedzielę, inni (Herbord) podają nadto za dzień przygody uroczystość Ś. Wawrzyńca i Wniebowzięcia N. Maryi P.. Ostatni szczegół stanowi przyczynek do szerzenia się czci Bogarodzicy nad Wisłą, w XII wieku. Kiedy bowiem Ebbo piszący (1151—1159) zna tylko jeden wypadek skamienienia w niedzielę zaszły, Herbord spisujący dzieje apostoła około 1158 r. już trzy z niego zrobił, i jeden odniósł do N. M. P., zapewne na zasadzie ustnej tradycyi.

W tém kamienieniu uderza ciekawa okoliczność: ona zdarza się w mieście pomorskiém „Kamień”. Byłżeby jaki związek między nazwą miejsca kary, a kaźnią świętokradców? W każdym razie fakt się dokonywa wśród dopiéro co nawróconych pogan słowiańskich; i apopleksya dotykająca zniwiarke przy pracy odbywanéj w czasie mszy (ku południu) mogła być wytłumaczoną przez samych Pomorzan na zasadzie ich dotychczasowych wierzeń. Ktoś śledzący we wszystkiém rozumnej przyczyny, urzałby i tu pewien odcień, w tych wierzeniach, spowodowany naukami apostoła Ottona. Mianowicie, mógłby sądzić, że kamienna bezwładność, którą w gaju Semnonów przybierali czciciele bóstwa, ilekroć, potknąwszy, się upadali w obrębie świętego

¹⁾ Ebbo II, 6, Herbord II, 23, III, 29, Mnich prefig. II, 14, (Mon. Bielow. II, 40, 85, 122, 136).

gaju (Tacyt, Germania 39) pewną analogią stanowi do skamienień świętokradzców kamińskich. Semnon, wchodził do gaju spętany, aby zewnętrznie tym sposobem objawił uznawaną przez się wyższość bóstwa i jego potęgę. Gdy upadł, wytaczano go po ziemi, bo mu niegodziło się podnieść; rozumiemy dlatego, żeby wstając, objawił swą własnowolność, przeciwienie się bóstwu, które go o upadek przywiodło, a któremu, niby pogański wykonawca zasady *perinde ac cadaver*, w moc zupełnie, spętany dobrowolnie się oddał, wchodząc do świętego gaju (bugaju?). Zgodnie z takim pojęciem rzeczy i Kętrzyński w swęj rozprawie po niemiecku pisanęj o Lechach (Die Lygier 1868 str. 90), bardzo stósownie twierdzi, że cały ten obyczaj dowodzi wiary Semnonów, iż są dziećmi ziemi (*semeno* po sanskr.), że, mówiąc zgodnie z potrzebą naszęj hipotezy, pochodzą z kamieni, owych kości rodziców (np. Deukaliona i Pirry). Dla tego mniemam, że porażenie nagłe świętokradczych neofitów na Pomorzu wspiera się z jednęj strony na owych pogańskich wyobrazeniach bycia kamieniem (*respective* nieruchomym trupem) w gaju bóstwa; z drugięj strony symbol czci dla bałwana zmienia się w znak kary za przestąpienie czci Boga pod wpływem chrześciańskich, świeżo rozszerzonych pojęć.

Starcie dwu wiar na tém polu nie mogło lepszego sobie miejsca obrać jak w „Kamieniu” (czy tylko przypadkowo, czy umyślnie miasto to obrane?).

Pamięć o tém kamienieniu, jako najwyższęj czci formie u Słowian, dochowała się w niektórych pieśniach miłosnych i weselnych, lub téż w podaniach, które wszakże już tylko z stosunkiem dwu płci związek mają. Tak np. w Bazarzu Gliškiego (I 109—128) jest powieść, która ¹⁾ prozą odtwarza szczegóły pieśni znanęj p. t. „Przemiany.” Wszelako proza ma szczegół w Przemianach niespotykany, ale objaśniający inne pieśni. Mianowicie w powieści owęj u Gliškiego, dziewica uciekająca z lubym przed pościgiem nieprzyjaciół, zmienia się w biały kamień (kamienieje), pod warunkiem byleby jęj towarzyszył kobiećty nie pocałował. Pieśń weselna czerwonoruska u Wacława Żaleskiego (Pieśń l. pol. w Galicyi 1833 str. 40 N. 131) opowiada o panie młodęj, iż pod postacią przepiórki siedzi na górze, wśród zielonego barwinku. By ją złowić, kolejno probują starosta, druźba i chorąży (weselni). Każdy z nich mówi:

Mój konyk syweńki
Na kamień ne stupyt
Kaminia ne włupyt

Udaje się to tylko panu młodemu. Dla tego téż w jednęj kołomyjce (str. 181 N. 1), nie bez głębszego znaczenia, pyta kochanek lubęj (po rusku):

¹⁾ Waryant jęj u Niemcowy Bożeny p. t. Szuryna król i Otoljenka (Słowańskie pohadky a povesti 1857 str. 61—75) szczególnięj charakterystyczny w tém podobieństwie.

Oj ty góra kamiennie, czemu się nie łupiesz ¹⁾
 Oj powiedz mi dziewczę prawdę, w kim się kochasz?...

a w krakowiaku (u Żegoty Pauli pieśń l. pol. w Galicyi 1838 str. 232 N. 54) śpiewa się:

Rozstąp się kamieniu na cztery połowy,
 Lepsza jedna panna niżli cztery wdowy.

W znanėj pieśni „Jaś konia poił, Kasia wodę brała” (Lud Kozłowski str. 33 N. 4) napotyamy bezsens pozorny, jasny, gdy będziemy pamiętać o powyższych kamienieniach i rozkruszaniach się. Kawaler pannie kupuje: *kamienicę*, bawełnicę, pierścionek,

w Warszawie domecek ktokolwiek wyłupa... Mniemam, że w tych wszystkich wzmiankach o kamienieniu dzievic kochanych, o ich rozkruszaniu, tkwią nietylko przyrodoznawcze porównania serca nieczułego do kamienia, ale i ślady dawnych wyobrażeń religijnych. Przejście bóstw w kobiety, a kultu pierwszych w miłośne zaloty do drugich, tém jest prawdopodobniejsze, że już najdawniejsze wzmianki o kapłanach bóstw słowiańskich, bądź przedstawiają nam ich „w szacie kobiecój” (muliebri ornatu Tacyt w Germanii 43), bądź téż nawet przed posągami bóstwa stawiają *posąg* ofarnicy (Masudy rozdział 64). Z wyrazów kobieta (kob' augurium) znaczącego wedle P. R. Ławrowskiego czarownicę, znachorkę (*incantatrix*, jak kobnik augur) i dziewica (div, deus) dawniej już na drodze etymologii wnosząno kapłański, do jasności (bhaga, Bóg) światem rządzącej zbliżony, charakter słowianek w pogaństwie.

Gdyby to było prawdą, czyżby to dziwić mogło bardzo jako zamiana nieloiczna, niepsychiczna, że kobieta z pośredniczki zrobiła się z czasem patronką, z czczącej czczoną, z kapłanki samém bóstwem? A właśnie na téj przemianie opieramy naszą hipotezę, że w pieśniach ludu o miłości, weselach i t. p. trafiające się skamienienia, rozkruszenia i t. d., łączą się z formą kultu u Semnonów, wyżej wspomnianą.

Twardowski, jako czarodziej, mający do czynienia z kamieniami, tak w nazwie jak w czynie, mógłby co najmniej za jednego z takich Semnonów uchodzić, zwłaszcza, że można wywołać tam czarownika, gdzie wbijając kij osinowy, od *kamienia* cień padnie (Gliński Bajarz I 188 do 202); że więc wszędzie kamień łączy się z czią pogańską, z czarodziejstwem.

Powiedzmy nawiasem, że kamienienie, obrzędowo lub miłośnie pojęte, łączyć się mogło (przynajmniej w XII w. gdy myt o Twardowskim zmacony został przez dzieje) z wyobrażeniami o wodzie, których nasz czarodziej szczególniejszym także być się zdaje stróżem. W wieku właśnie XII, u Nestora znajdujemy najdawniejszy ślad przysłowia, późniój tak często używanego w pieśniach miłosnych:

¹⁾ Por. Żeg. Pauli pieśni l. rusk. w Galicyi 1839, I, str. 107 N. 9.

Tak jak w kronice owój, Włodzimierz W. klnie się, 985 r., że wtedy zerwie pokój, gdy kamień pływać pocznie a chmiel grząznąć (Biel. Mon. I, 627), podobnie w pieśniach ludowych kochanek mówi do opuszczonój:

Puszczaj kamień po tój wodzie,
Jak ten kamień będzie pływał,
Wtenczas będę u cię bywał....

albo się téż skarży:

Ciężko kamieniowi, co pod wodę gwocha;
Jeszcze temu ciężej, kto się w kim zakocha.

Bądź co bądź jednakże, jedna jest rzecz jasna, że Twardowski z kamienia Semnonów (jako sam czarodziej, kapłan), wziąć mógł nazwisko, choćby łączność kamieni z wodą jak nateraz ciemną i zagadkową, w jego akcji, pozostała. Nie rościmy bowiem sobie pretensyi do rozstrzygnięcia kwestyi znaczenia i składu podań o Twardowskim, ile raczej chcielibyśmy poruszyć ją z innego stanowiska i wywołać, na tém nowém polu, dyskusyą umiejętną.

W śledzeniu początku nazwiska Twardowskiego, jeszczeby się jedna droga otwierała; ale w takim razie, to cośmy dotąd mówili o związku „kapłana” Twardowskiego z obezwładnianiem się czcicieli bóstwa tamtejszego, w bugaju Semnonów, albowi téż w Kamieniu 1124 r., co wygląda na nową wersyą powieści Tacyta, należałoby uważać tylko za objaśnienie możliwe powodu, dla jakiegoby inna, dawniejsza forma imienia tego kapłana w uściech ludu przemieniła się w „Twardy.”

Tak np. lud opowiada, że św. Wojciech wygnął z Rudy w Wieleńskim sroki (Siemiński N. 65); za powód jednak tego wypadku podaje szczegół, który wyraźnie jest tylko kalamburem z nazwiska owych ptaków. W gruncie zaś rzeczy, podanie o wygnaniu srok jest przekręceniem innego podania (Grajnert, Biblioteka Warszawska, 1859 III 82), że gdy węże lały św. Wojciechowi do kielicha, (t.j. przeszkadzały krzewieniu się chrześcijaństwa), apostoł je zaklął w kamień. Wąż, to smok legiendowy, którego Czesi „szarkanem” zowią; a sroki rudzkie to są szarkany owe, których lud nie rozumiał, przekręcił na nazwę podobnych z brzmienia do szarkanów srok, i wymyślił potem kalamburową przyczynę ich wygnania.

Podobnie stać się mogło z Twardowskim, którego imię dawniejsze Tvashtri gwoli atrybucyom jego jeszcze pogańskim, gwoli wypadkom tężenia apoplektycznego (u żywociarzy Ś. Ottona) świętokradców, i kamienienia czcicieli bałwanów w Kamieniu (1124 r.)—zostało „twardém”, gdy lud nie rozumiał tój dawniejszój nazwy Tvashtri. Kiedy jakiś czarnoksiężnik na Rusi 1071 r. zapowiadał, że przez pięć lat Dniepr będzie wstecz płynął (Nestor str. 723) a Kunop, inny cudotwórca biesowski, sam chodził po wodzie (ibid. str. 729 w Biel. Mon.) a nadto coś wiadano o kamieniach po wodzie płynących; mogło się ludowi zdawać, że

Tvashtri był czarnoksiężnikiem; chodząc po wodzie dokonywał rzeczy równie niezwykłych jak kamień pływający po niej. Wtedy może dodano nawet do Tvashtrego dziejów niezależne dotąd szczegóły o zwierciadle, o pałce Herkulesa, kamieniu pod Czerwińskiem i t. d. i stworzono nazwę „twardy.“ Oto mniej więcej prawdopodobna etymologiczna dedukcja ludowa owego imienia nowożytnego z dawnego. Dedukcja ta, ta fałszywa etymologia mogła nastąpić w czasie między istotnym niby wydarzeniem się owych sztuk czarodziejskich na Rusi a chwilą ich spisania przez Nestora, spółcześnie zaś z zetknięciem się u nas dziejów z mytem w podaniu o Twardowskim w Polsce i na Rusi zarazem.

Starożytna bylina o Aleszy Popowiczu i Tugarynie Zmijowiczu, później zmieniona w powieść o tymże Aleszy i Twardowskim wystawiła zupełnie inaczey stosunek ziemianina do czarta, jak powieść o Twardowskim. Tugaryn jest sam czarodziejem, synem smoka; trzy sążnie wysoki, zieje ogniem z gardła, dym miece uszami, ma skrzydła papierowe. Spotyka się w Kijowie u W. K. Włodzimierza i księżny Apraksyny z Aleszą Popowiczem z Rostowa. Przy uczcie, Tugaryn połyka po całym bochnie chleba, po czaszy napoju mierzącej półtrzcicia wiadra, pożera łabędzia zastawionego przed księżną.

Nieczestno u kniazia za stołom sidit,
Bo kniahinie sobaka ruki w pazuchu kładet,
Ciełujet wo usta sacharnyja,
Tebie kniaziau nasmiechajetsia.

Alesza powiada, że on psa i krowinę równie jak Tugaryn nie nasytą, schwycił za ogou i wyrzucił na dwór. Następuje wyzwanie, i nazajutrz walka tém pomyślniejsza dla Aleszy, że Tugarynowi w skutek deszczu skrzydła zmokły i musiał bić się na ziemi tylko.

Walka ta o względy (jakoby) księżny Apreksiejewny przypomina nieco, może nieautentyczny, szczegół o kochankach pani Twardowskiej. Ważniejszym jest szczegół, że przeciwnik Tugaryna przybiera strój „kaleki.“ W podaniu o Madeju (u Wójcickiego) Twardowski wyraźnie zwany jest „kulawym“ Twardowskim; w takiej postaci zjawiają się Boruta, imiennik łęczyckiego stróża skarbów, które chciał wykraść czartowi, ale piętę stracił; kucharka w Krysztoforach, tegoż samego losu doznająca, strzelec słowacki goleń sobie w końcu wyrwijający dla zasycenia smoka z piekiel go wynoszącego, tracą pięty, stają się kulawi jak Alesza, jak Twardowski. Ponieważ Tugaryn spadł z nieba, niezdolen utrzymać się na zmokłych skrzydłach, prawdopodobnie okulał także.

Do téj kolekcji chromych należy dodać greckiego bogów kowala i kunsztmistrza Hefajstosa. Potwornie brzydki, miał okuléc, gdy go Zeus z nieba zrzucił na ziemię, a miał za żonę Wenus, z piany morskiej powstała! (Marzanę?).

Nasz Twardowski nie jestże równie nieszczęśliwym jak Hefajstos ze swą żoną, i jak on kulawym? Czyż nie zostaje w ścisłym związku Twardowski z wodą, z której Marza i Venus powstają? Kowalem jak

grecki bożek, nasz czarodziej nie jest, ale sztuki jego za kowalstwo stała. Wiemy tylko że Hefajst, oraz Tugaryn spadł z nieba, a o Twardowskim wieść niesie, że z Rzymu (z pośród rachmanów) nieśli go czarci do piekła; wtém zaczął nucić Godzinki, i zawisnął między niebem a ziemią. Zaiste, jak na piekiel drogę, to dziwny jój kierunek, że nasz Twardowski, (Tvashtri indyjski bogów płatnerz i kowal?) leciał w końcu swego życia ku obłokom dla tego, że tam była jego pierwotna ojczyzna.

Właśnie kulał dlatego, że spadł z nieba; a zwyciężył zasadzkę rachmańską, bo wrócił do nieba.

Zestawiliśmy wyrazy Tvashtri, Tugaryn, Twardowski ¹⁾ bez chęci uznania ich za tożsamość fonetyczną, jakkolwiek może filologia umiejętna udowodni, że źródłem wszystkich jest pierwiastek sanskrycki „tu“ (facere) lub jemu podobny. W takim razie, może i Targitaos, niby scytyjski, syn Zeusa i córki rzeki Berezyny ²⁾ do téj samej rodziny będzie należeć, ile że jego synom spaść miały z nieba narzędzia władzy. Były tak gorące, że je dopiero dostał najmłodszy, ostatnio po nie sięgający, a zdaniem Marcinkowskiego (Nowosielskiego) jak w baśniach słowiańskich, głuptas. Był to pług, (Ceres-Dziewanna Marzana, nauczyła ludy orać) jarzmo, siekiera (sagarin, mówi grecki oryginał) i czara. Są to więc właściwie nie znaki władzy, ale godła początkującej cywilizacji, która z nieba tak synom Targitaosa, jak jemu samemu życie, przychodzi, zastępując upadek naglejszy ich osób z wysokości na wzór Hefajsta. Rodzina zaś ta Targitaosa (Tugaryna, Twardowskiego, Tvashtri?) dziwnie słowiańską się okazuje: czy końcówki imion synów jego (šaitc) oznaczają księżę, jak chce Afanasiew, pozwolę sobie wątpić. Widzę za to, że po odrzuceniu tych suffixów dziwnie starożytnych, zostaną imiona, dobrze słowiańskim znane podaniom:

(Herodot	Lejpo	Harpo	Kola(k)
(Konstanty Porfirogenita)	Lobetos	Chrobotos	Klukas
(Nestor)	Łybed'	Choryw
(Kosmas)	Libusza,	Krak

Tak więc ostatecznym rezultatem niniejszego, jest co następuje: przypuszczam najprzód, przy terażniejszym stanie mych wiadomości o Twardowskim, że jego imię oraz pojęcie o niem ulegało w ciągu wieków różnym zmianom, których charakter był dość różnorodny. Za najdawniejsze uważałbym indyjskie Tvashtri i pojęcie twórcy (tu facere) grotów niebieskich dla Indry (światła). Są to niejako najdawniejsze, z Azji przez Słowian przyniesione, a w spólnie wszem Aryom wyobrażenia. Ponieważ błyskawica wśród na-

¹⁾ Forma twardy, twardnieć ma warianty prowincjonalne kargnąć, kargol, stwargnąć (twaróg?)

²⁾ Herodot IV, 8—10.

walniczych chmur powstaje, rozświeca nagle pomrokę, w jakiej blask nieba zostaje ukryty, czyli razi Ahi Dahakę (węża, smoka, zgubnego, gdyż takim sobie chmurę Indowie ¹⁾ wyobrażają) i Vritri (ukrywacza blasku to jest obłok czyli obwłok). Już więc w fizycznem wyobrażeniu Tvashtri leżała antyteza między światłem a cieniem oraz myśl zapaśnika ciemności. Śnadnie więc tak Tvashtri (Twardowski) błyskawicy twórca, jak Krak (Trut, Tractona?) i w świecie moralnym zwyciężają zło, śmierć.... walczą z rahmanami. Czy ten wyraz rahman ma związek z Angri majniusem, nie umiem powiedzieć; gdyby tak było, antyteza Tvashtri do królestwa zła i ciemności tém byłaby wydatniejszą. Zenzki tylko charakter Angri majniusa przeczyć może dedukcyi rahman z niego. Drugim *etapem* kronikarsko źródłowym dla Twardowskiego jest znany z Herodota na pięć wieków przed Chrystusem Targitaos syn światła (Zeus, Div) i wody (córci rzeki). Już ta genealogia dziwnie do natury indyjskiego Agni zbliża Targitaosa, bo Agni zwany jest bykiem splotzonym w mokrém łożu (błyskawicą), jest synem związku światła elektrycznego i wody ukrytej w nawałnicy. W Rigvedzie wzywają Agni by zachował ludzi od grzechu przez oświatę, zmęźnił do czynu i życia, wytepił wrogów, dał skarby i wesele; Agni przeto jest zadatkiem cywilizacyi. W Grecyi Prometeusz uchodzi za podobnego twórcę życia społecznego, u nas będzie nim Targitaos, ojciec trojga dzieci, których imiona jako słowiańskie powtarzają się w źródłach X i XII w., i dotąd żyją w uścicach Słowian.

W bylinach ruskich Tugaryn, zdaje się być nową formą (z X wieku? po Chr.) Targitaosa i Tvashtri. Lotność zachował jako pamiątkę po błyskawicznej swój naturze, smocze skrzydła i miano Zmijewicz po obłokach, z których wylata, ale jeszcze silniej jak Targitaos wiąże się z ziemią, bo skrzydła ma papierowe, więc sztuczne. Obzarstwo i jurność w tym człowieku (podobnie jak rozpusta Krakusa, przez którą śmierć ponosi) odnoszą się do niszczącej i twórczej zarazem siły Agni, błyskawicy, podobnie jak ogień i dym Tugarynowy. Z kroniki Nestora widzimy przybywające w XI wieku szeregóły o odzyciu po 2 latach śmierci, o chodzeniu po wodzie, może stonunek z kamieniami. Podstawą związku tych obreńnych wypadków z czarodziejem jest najprzód jego czarodziejstwo, a następnie świadomość że ogień ginie, ale może téż powstać z nową siłą z ukrycia swego, że bije w skały, kamienie (?). Rodzi się imię Twardowskiego, z Tvashtri, Tugaryna, Targitaosa, umiejscowia się w Polsce przez Dunina historycznego ²⁾.

Szczegół dotąd nieuwzględniany, a wskazujący błyskawiczny początek Twardowskiego, występuje jako jego kulawość, bo błyskawica bywa połamaną (po sanskr. kyu) oraz jako powrót Twardowskiego do nieba. Pająk, jego towarzysz, w znaczeniu smoka (jak w Pajęcznie)

¹⁾ U Słowian por. np. Żeg. Panlę. P. L. Rusk. w Gal. II 17 ozorna hadyna sjiła sonce. ²⁾ Właściwszą jest forma Dónin—ale bez dowodów nie chciałem ję używać.

wzięty, jest może śladem wodnistości, wśród jakiej rodzi się błyskawica. Być może że i kijowski grodotwórca i imionodawca, jest też nawet z nazwy błyskawicą (kyn?). W każdym razie Kujawy wyglądają z nazwy na ziemię błyskawic, których wspomnienie dochowały nam kroniki polskie w legendzie o zjedzeniu Popiela i Mieszka 1238 r. przez myszy (błyskawice, jak objaśnia Grohman). Boruta łączycki, nie od boru sosnowego tak zwany, bo sosna na ługach (zład Łęczycy miano) podmokłych nierośnie, ale Bor-uta od sanskr. bhar (?) widnego w bhuranju, greckim *Φορβευς*, Feronii łacińskiej t. j. bóstw ognia, od szybkich *φερούμενοι* pochodzi i też lotny grot nieba oznacza, którego ma cechę: kulawość. Iskrzycki, to inny krewny tegoż samego rodu. Nie zapominajmy też, że wedle Bahorek Maleko (cyt. u Maciejowskiego w Piśm. Pol. I 135 n. 3) rodzina łączycka Łaskich zmienia się delegacyjnie co roku w wilkołaka. A wilkołaki to nowy dowód czci ognia w Łęczycy, bo to są luperci hirpini starożytnicy. Do pokrewieństwa przyznają się baby-jędze, nazwę swą wywodzące, jak Indra, z sanskryckiego indh (palić).

W pokaźnym więc gronie ognistych krewniaków, nasz Twardowski błyskawicą się zjawia, nie jest więc czemś rzadkiem, wyjątkowym. Chodzi o to, by dyskusya umiejętna usunęła wątpliwości, niespostrzeżone sprzeczności i t. p. a męt o Twardowskim wyjaśni się.

Wypadałoby całość zamknąć stosunkiem naszego Twardowskiego do Fausta Marlowa, Goetego, ksiązek ludowych, Manfreda, Bajrona i t. d., rozbiorem utworów literackich, które tę postać wzięły sobie za temat jak np. Zielińskiego, Wójcickiego, Kamińskiego, Szujskiego, Korsaka, Grozy..... Wreszcie rzecz najważniejszą się zakończyła wyjaśnieniem historyzoficznym postaci Twardowskiego, który bądź co bądź należy do tych podań, w jakich, zdaniem Moraczewskiego objęty i cudownie przepowiedziany charakter narodu... W istocie, ileżto prawdy tkwi w tym obrazie czarodzieja, zawieszzonego między niebem a ziemią! Pajęczą wspomnień nicią związany z ziemią, cały tonie gdzieś w lazurach poezyi i marzenia, a ziemia?... Ziemia toczy się z jego kolebką i zmienia wedle praw Przedwiecznego: kto przychodzi na ucztę życia bez szaty godowej, rzuca go w ciemności.

Rzekłbyś druga Zosia z Dziadów! urodzona po 1795 r., drugi Adam praojciec, wygnany z Raju, a ziemi niechętny! Odkładam tę część ostatnią do czasu, gdy sam lub przez innych upewnię się, że powyższe wywody spoczywają na umiejętnej podstawie. Dziś są jeszcze hipotezą, z którą jednak mniemam, choćby ze względu na chęć szczerą znalezienia prawdy, specjalna wiedza, nie koncept dziennikarza, winien się rozprawić. Praca moja uczciwa, ta czy inna, przynajmniej nagrody w uczciwej, choćby ostrzej krytyce ma prawo się spodziewać.

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Wilhelm Machaut, Truwer XIV wieku: Księga Voir-Dit, wierszowany jego pamiętnik.—Wystawa rzeźb: Młodość, Gloria Victis, Dziewica Orleańska.—Rzeźby religijne i rodzajowe. Wprowadzony żywioł galski: Brennus z winogradem.—Młody Gal z gałązką jemioli.—Nasi rzeźbiarze. Pomnik Teofila Gautier, dłuta Cypryana Godebskiego.—Zbiór prawnych zwyczajów u południowych Słowian, p. Bogisioza.—Studia słowiańskie p. Leger.—Rozbiór „Zemsty za mur graniczny.“—Hortensya Cornu.—Rodzina alzackich emigrantów, na stałym lądzie Australii.—Teatr berliński w ciągu dwóch lat ostatnich. Dramat Miłość za miłość.—Teatr francuzki: Babunia, komedia p. Cadol.—Wieża Babel—Oratoryum Rubinsteina.—Las: symfonia muzyczna pani Grauvall.—Miłość afrykańska, opera komiczna p. Paladithe, libretto Legouvego.—Literatura i Historia p. Littré.—Andresina, Kobieta bez Boga, powieść p. des Esarts.—Młody Brown, powieść Murraya.

Co powiedzą czytelnicy nasi, wielu przynajmniej, widząc na czele kroniki, imię poety i to jeszcze z wieku XIV-ego? Poezya i wieki średnie! godzi się pisać o tém? Kogo to dziś zajmuje? zapyta wielu. Są tacy, odpowiemy, a to nie tylko między pedantami niemieckimi, ale i wśród Francuzów! oni przecież bądź co bądź, dają światu inicjatywę na polu naukowo-literackim.

Towarzystwo bibliografów w Paryżu, ogłosiło w tych czasach, według rękopismu XIV wieku, księgę poety Wilhelma Machaut, pod tytułem *Voir-Dit*. Tytuł ten, niepodobny do przetłumaczenia, musi zapewne znaczyć: *Opowiadam com widział*. Jest to pamiętnik wierszem, ogarniający trzy lata z życia poety i to życia wewnętrznego; historia to miłosnych jego uczuć, spisana na żądanie Peronelli z Armantière, która szczęśliwa iż zdołała opanować serce zawołanego *retoryka*, pragnęła unieśmiertelnić się jak Beatryca i Laura de Novi.

Księga ta obszernych rozmiarów, obejmuje oprócz czterdziestu sześciu listów (pisanych prozą) Machauta i Peronelli, wielki poemat złożony z dziewięciu tysięcy wierszy, w formie opowiadania, przeplatany mnóstwem Ballad, Rondeletów, Tryoletów i t. p., w których oboje kochankowie objawiają wzajemną miłość. Ważny to pomnik, tak pod względem słownikarskim jak historycznym: z jednej strony wyświetla niesłychane bogactwo poetycznych form, zatraconych dziś we Francyi, pod wpływem greckiego klasycyzmu; z drugiej strony, daje żywy, lubo cząstkowy obraz średniowiecznego społeczeństwa, w całej prawdzie i prostaczęj nieogładności, w całej żartkości młodzieńczych popędów, prowadzących zbyt często na bezdroże.

Oprócz tych dwóch względów, tak ważnych dla lingwisty i historyka obyczajów średniowiecznej Europy, imię Machauta ma dla nas jeszcze osobne a ważne znaczenie historyczne. Ten sławny Truwer, przez lat trzydzieści był dworzaninem króla czeskiego, Jana Luxemburczyka; walczył z tym królem, przeciwko litewskim i pruskim poganom. W poemacie który poświęcił później Karolowi królowi Nawarry, wymienia miasta Kraków i Wrocław, wspomina też Menodagle (zapewne Miedniki) gdzie, jak mówi, król Jan ogniem i mieczem *nawrócił* sześć tysięcy pogan. Machaut świadczy, jako sam był na owych godach.

Car present fui à cette fête,
Je les vis de yex de ma tête.
(Widziałem on dzień godowy,
Oczyrna własnej mój głowy).

Ale żywieli jeszcze niż Machaut walczący w obozie krzyżackim przeciw Litwinom, obchodzi nas tenże sam Machaut, w kilkanaście lat później uczestniczący w innych, prawdziwie sympatycznych nam godach w Krakowie u stołu Wierzykowego! Był tam ów sławny Truwer, w orszaku Piotra Luzignan, króla Cypru i Jerozolimy. Pierwszą o nim wiadomość zawdzięcza kraj nasz s. p. Aleksandrowi Przeddzieckiemu, który w roku 1868 zdawał sprawę przed naukowym Towarzystwem Krakowskim, z ciekawego swego odkrycia.

Wilhelm Machaut, w ostatnim poemacie swoim, *Zdobycie Aleksandryi*, w którym opisuje przygody Piotra Lusignan, walki jego krzyżowe, tryumfy a nakoniec śmierć w Cyprze z ręki spiskowych, poświęca długi ustęp podróżom tego króla po Niemczech, po Czechach i Polsce, w celu otrzymania posiłków na wojnę przeciwko Saracenom. Opowiada jak w Pradze przyjmował go Karol IV cesarz rzymski, syn i następca Jana. Przyrzekł on królowi cypryjskiemu, iż napisze do dwóch potężnych królów: polskiego i węgierskiego, wzywając ostatniego z nich na zjazd do Krakowa. W Polsce panował Kazimierz Wielki, w Węgrzech siostrzeniec jego Ludwik. Wyjeżdża Karol IV wraz z królem cypryjskim; przebywają na Szlaku Wrocław, Głogów, Lignicę, w Wielkopolsce Poznań i Kalisz, w końcu stawają u bram krakowskich, dokąd królowie wychodzą przeciwko nim okazując im cześć wielką. „Szalony byłby, mówi Truwer, ktoby pytał jakie tam spotkało ich ugoszczenie, ile tam było chleba, mięsa, pieczywa, ptastwa rozmaitego, ryb i zwierzyny, jak wspaniała postęga! Dość powiedzieć, że nie zarzucić nie, tak hojnemu przyjęciu! Nastąpiła potem wielka narada (parlament) i zgodzili się wszyscy, aby dać pomoc cypryjskiemu królowi. Cesarz obiecał wspierać czynnie tak słuszną sprawę, napisać do Ojca Świętego, rozesłać listy po różnych książętach i grodach. Król węgierski przyrzekł dać swobodne przejście wojskom, a gdy wybijie godzina, przyjdzie w pomoc mieniem i osobą. Król polski zapewnił również współdziałanie: po naradzie nastąpiły turnieje; królowie walczyli w szrankach, nikt

jednak nie zrównał królowi Cypru: onto otrzymał wieniec, on w oczach Truwerera najświetniejszą był gwiazdą krakowskich godów.

Nie przyszło wcale do owiej krucjaty, tak gorąco upragnionej przez Piotra Lusignan. Kto czytał w szkicach Szajnochy piękny ustęp: *Wojna o cześć królowej*, ten wie, że opowieść Machauta nie jest prostym wymysłem poetycznym. Pierwsi mocarze ówczesnej Europy, skłóceni chwilowo płochém słowem, jakie Karol IV wyrzekł przeciw Elźbiecie, matce Ludwika a siostrze Kazimierza, przyszedłszy potem dó pojednania, zebrali się w stolicy Piastów. Radzili tu społem o owiej krucjacie, chcąc obrócić na chwałę krzyża, siły nagromadzone przeciw sobie, z powodu obrażonej czci niewieściój. Różne powody stanęły na przeszkodzie wielkiemu przedsięwzięciu, szczególnież śmierć króla Jana. Gody krakowskie rozstawione w świecie przez Wilhelma Machauta, ten jedynie przyniosły pożytek, że, jak mówi Długosz, „zasłynęło godnie imię króla Kazimierza, i rozniosło się odtąd po wszystkich krajach i wszystkie téż państwa katolickie i barbarzyńskie, brzmiały odtąd sławą wspaniałości dzieł jego.”

Wilhelm Machaut z innój jeszcze strony ma prawo do naszego współczucia. Równie biegły muzyk jak poeta, był on w swoim czasie ważnym działaczem, w wyrobie jedności cywilizacyjnej ludów europejskich. Tu występuje już, nie jako dworzanin króla Czech albo Cypru, lecz jako geniusz torujący nowe drogi w świecie ducha. Zastęgu jego w tym kierunku podjęło Towarzystwo bibliografów francuzkich. „W ciągu trzydziestoletniego pobytu przy królu czeskim, mówi wydawca Paulin Paris, Machaut pilnie badał muzykę i pieśni ludów, w pośród których przebywał, a za powrotem do kraju, wzbogacił melodye francuzkie nowemi akkordami i wielką liczbą pięknych symfonii; słowem, stworzył szkołę śpiewu na nowych prawach, oswobodziwszy ją z więzów odwiecznej rutyny.”

W pięćset lat po Machaucie, nasz genialny Szopen, postawił nowy, olbrzymi krok na téjże samój drodze, wyrwijając znów sztukę muzyczną we Francji z klasycznych więzów, i wprowadzając do niej bogaty żywioł melodyj ludowych z nad Wisły, jak Machaut wprowadził go niegdyś z nad Wełtawy. Widać ztąd że melodia słowiańskich plemion była oddawna ożywczą krynicą, w której Francya odradzała własny geniusz, ilekroć szkolne pęta nazbyt go kępowały.

Wszystkie powyższe względy dały nam pobudkę do zajęcia się francuzkim Truwerem. Ten, który był osobiście na godach Wierzyńkowych, który patrzył na oblicze Kazimierza Wielkiego i głosił po świecie jego sławę, nie mógł być dla nas obojętną postacią. Odczytaliśmy więc cały jego poemat, napisany językiem XIV w., dalszym może od dzisiejszej francuzczyzny, niż zabytki mowy polskiej z czasów Mazowieckich książąt do naszego dzisiejszego języka. Gdyby nie glossaryusz dodany w końcu dzieła, trudno byłoby nam, równie jak i zwykłym czytelnikom francuzkim, dobrze zrozumieć rzeczy. Poemat *Voir-Dit*, poświęcony wyłącznie historii zakochanego serca, nie szukać w nim wspomnień z dwóch dalekich podróży nad Wisłę. Ostatnią z nich odbył poeta z królem Cypru,

w lat kilka później, jak to widać z zestawienia dat samych. Gody krakowskie odbyły się w roku 1364; księgę zaś Machauta, *Voir-Dit*, pisaną z dnia na dzień pod wpływem miłosnych przygód, odnoszą wydawcy do 1362 r. Nie wątpimy że Towarzystwo bibliografów paryżkich, wyda z kolei inne poemata Machauta, a między nimi owo *zdobycie Aleksandryi*, obejmujące tyle ważnych dla nas szczegółów. Nim to nastąpi, warto poznać tę ciekawą i niezwykłą osobistość, jak się przedstawia w wierszowanym swoim pamiętniku.

Wilhelm Machaut przebywał w mieście Reims, gdzie posiadał kanonią, taką zapewne jaką miał u nas Jan Kochanowski, a w Avignone Petrarka, nie obowiązującą do święceń duchownych. W bliskości Reims w Szampanii, mieszkała młoda panna Peronella d'Armantiere, sierota po ojcu, zaniedbana przez matkę, która po śmierci męża weszła w powtórne związki. Bogata dziedziczka rozporządzała samowolnie tak majątkiem jak i osobą swoją, czytywała z upodobaniem stare kroniki i romanse, tworzyła nawet ballady i rondelety, spisywała je a nawet podkładała pod muzykę. Piękna, pełna wyższych zdolności, wyobraźnią miała bujną, umysł rozmarzony. W liczbie dworzan Peronelli, był niejaki Henryk, pełniący obowiązki sekretarza. Utrzymywał on ścisłe związki z Machautem, wielbił jego geniusz poetyczny, powtarzał jego niezliczone pieśni i ballady. Opowiadał pani swojej jak Machaut długo opiewał wdzięki szlachetnej jednej pani, jak uleczony z dawnych uczuć, podróżował po świecie, zwiedzał dalekie kraje; jak dziś złamany trudami, niewidomy na jedno oko, przebywa w niedalekiem mieście Reims, gdzie dyktuje sekretarzom, dziwnie piękne pieśni i poemata.

Głowa panienki zapala się z dniem każdym; tęsknota ogarnia ją, pieśń Truvera jedynem dla niej ukojeniem: niebezpieczny to środek! Ogień przykładany do rany, rozjątrza ją coraz to bardziej. Dnia jednego bierze na bok sekretarza i prosi aby pojechał do Reims, odwiedził Wilhelma i zapytał go, czyby nie chciał rozpocząć z nią poetyczno miłosnej korespondencyi. Na początek posyła tryolet własnego utworu. Henryk podejmuje się poselstwa. Za przybyciem do Reims, zastaje Machauta cierpiącego na podagrę. Poeta słucha jednak z najwyższém uniesieniem pochwał, jakimi sekretarz opisuje młodą panią swoją.

To karbunkuł, co tajemno
 Połyskuje nocą ciemną;
 To on szafir niezrównany,
 Co miłości leczy rany.
 To gwiazdeczka ona złota,
 Co rozprasza mrok żywota;
 To z mórz wschodnich droga perła,
 Królewskiego warta berła.
 To różyczka woniejąca,
 Nie wystarczy lat tysiąca,

By określić słowy memi
Ten nieznany cud na ziemi!

Obraz ten zapala wyobraźnię poety, tryolet panienki pochwyca go za serce. Przytaczamy go cały.

Nie widziałam cię na oczy,
Ale sercem kocham stale;
Zatopiona w twojej chwale,
Smutek myśli moje mroczy,
Bo nie widzę cię na oczy,
Lubo duszą kocham stale!
Ciebie uczyć świat ochoczy,
Bo ty świecisz mu wspaniale;
Niechże smutna się pożalę,
Że nie widzę cię na oczy,
Lubo duszą kocham stale!

Machaut odpłaca tryolet balladą, którą Peronella odbiera uszczęśliwiona z rąk pośta. Wkrótce Machaut odbiera list zapieczętowany zielonym lakiem. Po pierwszym następuje wkrótce drugi. Poeta ciężko był chory kiedy go otrzymał; od dni kilku nic nie jadł, nocy trawił bezsenne. Słowa nieznajomiej leczą go niby ożywczy kordyał. Zobaczmy jak miłość działała na średniowiecznych poetów. Machaut patrzy z roskoszą na dwa listy:

Ich widok serce mi pieści,
Westchnąłem razy trzydzieści;
Potém, głód mnie straszny chyta:
Niosą jadło,—jem do syta.
Domownicy patrzą radzi,
Potém drzymka nie zawadzi:
Dowód zdrowia oczywisty!
Ja na sercu kładę listy,
Zaczém przeszła druga doba:
Odleciała precz choroba.

Rad szczerze z odzyskanego zdrowia, poeta sypie strzeliste ballady na cześć pani swojej; dodaje do nich cudne melodye, na wzór tych, jakich nasłuchał się w Pradze czeskiej, na dworze króla Jana. Zniechęcony do życia, w skutek bolesnych przygód i zawodów, pogląda znowu w świat z miłością i nadzieją. Wymownie opisuje chorobliwy stan duszy własnej, nim odżył pod słodkim wpływem zbudzonych świeżo uczuć.

Moja pani cuda czyni!
Dzielny duszą, krzepki ciałem,
Przez nią dwakroć zmartwychwstałem.

Byłem niemy, byłem głuchy,
 Pierś mi zmarła od posuchy;
 Kiedy spojrzę, ścieżka pusta:
 Nieme serce — martwe usta!
 O niewiasty nie dbam wcale,
 Ani zganię, ni pochwałę;
 Wszystko męczy mnie i nudzi,
 Radbym uciec gdzieś od ludzi;
 Do polotu zwiśły skrzydła,
 Nawet sercu miłość zbrzydła.
 Byłem jak on pień zmurszały,
 W trzęsawisku zgrzęzły cały,
 Co się dźwignąć już nie pragnie:
 Rad że stęchłém w bagnie!

Machaut odzyskuje z każdym dniem zdrowie i tworzy polot ducha. Odbiera coraz nowe dowody miłości: to złoty pierścień, to malowany wizerunek pani swojej. Zachwyca się cudnym wdziękiem młodego jéj oblicza. Widok portretu napełnia go radością, a zarazem budzi w nim smutne myśli. Machaut oddawna przeżył kwiecistą młodość, znany już światu jako Truwer od lat z górą trzydziestu! Dojrzały w lata, drobny wzrostem, chorowity, niewidomy na jedno oko, lęka się stanąć w oczy ukochanej. Ciężka to będzie próba! to też biedny poeta odwłóczy ją jak może. To się wymawia niezupełném jeszcze zdrowiem, to obawą drużyn rozbójniczych, które wyległy z zamorskiej Anglii i zalewają Szampanią. Tak upływa tydzień za tygodniem, pannieka radaby poznać czarodzieja, radaby posłyszeć z ust jego ową pieśń cudotwórczą, która pochwycała i związała jéj serce.

Machaut posyła tkliwe ballady i tryolety: oto jeden na próbę.

Gdziebądź powiodę okiem czy uchem,
 Ku tobie zawsze myśl moja bieży;
 Tyś ją okuła twardym łańcuchem,
 Niby w warownej trzymasz mnie wieży.
 Jam twój niewolnik pokorny duchem,
 W rozkoszy serca, w łzach i żałobie,
 Myślą wybiegam ku tobie!

Prędzój policzyć gwiazdy w przestworzu,
 Kiedy noc czarna ziemię ogarnie;
 Prędzój policzyć kropelki w morzu,
 W pustyni piasek, ziarno po ziarnie;
 Niż wypowiedzieć mój ból i trwogę.
 Jak kwiat bez rosy wędnieję marnie,
 Bo ciebie widzieć nie mogę!

Panienka czyta z roskoszą poświęcone jój ballady i tryolety, im bardziej zachwyca się niemi, tém goręcej pragnie ujrzeć poetę. Zniecierpliwiona zryma się, w końcu wąpi. Machaut odpowiada na jój wymówki, zalewając się krwawemi łzami, „wiedz o tém, pisze w liście, iż serce moje osadzone w tobie, jak dyament w oprawie złotój; wiara moja spoczywa na twojój, jak zamek na opoce!“ Wyznaje wreszcie rzeczywisty powód swój trwogi. „Jam mały, dziki, daleki od dworskiej ogładności, brak mi urody, coby ucieszyła oczy twoje! Jeżeli cię to jednak nie odstręcza, przysięgam, że ani Lancelot nie kochał lepiej Geniewry, ani Parys Heleny, ani Trystan Yzelty, niż ja cię kochać będę!

— „Przybywaj! odpisuje panienka, jam nie ukochała w tobie kraszy lica, lecz piękną sławę twoją!”

Odwłóczyć dłużej niepodobna. Machaut zdobywa się na wielki krok; posyła naprzód gońca, aby utworzył mu drogę, i zaćmił oczy ukochanej na jego własne niedostatki. Tym gońcem, poemat o Morfeusz, sławny już w świecie, przezwany *Fontanną miłości*.

Następuje wreszcie spotkanie. Machaut przybywa do ogrodu, drzy jak liść, lica mu pobladły. Powiernik ukrzepia go jak może.

— „Nie trwóż się mistrzu! mówi, przecież cię nie ugryzie!”

Panienka ukazuje się w końcu. Odprawia służebne, pozostaje sam na sam z poetą. Zachwycony Machaut, pochłania okiem wiotką jój kibić, jagody białe, lekkim ożywione rumieńcem, białą jój sukienkę, złoty łańcuch na szyi.

Postać Truwestera przypada do myśli panience. Nie zraża jój ani wiek trzykroć przechodzący jój lata, ani skaza na oku, ni wzrost jego maleńki.

— Przyjacielu, rzecze, jam nie sroka, co ma tylko piórka jaskrawe, i głos krzykliwy: mam serce, i to oddaję całkiem tobie. Gdybym mogła wyjąć je z piersi, złożyłabym je w rękę twoją, abys je z sobą zabrał.

Machaut słucha oczarowany. *Likwor* z pod serca, poszedł mu do oczu, i gęstemi kroplami spłynął mu na oblicze.

Po tkliwém powitaniu, poetka zaplata koronę z róż, fijołków i konwalii, uwieńcza nią poetę. Machaut zawiera z nią jak mówi, kontrakt miłosny: obiecuje spisywać w osobną księgę, każde słowo jakie z nią zamieni, każdy list, każdą posłań lub otrzymaną balladę, każdą myśl poświęconą jój w oddaleniu, aby przekazać późnym wiekom, pamięć ich wzajemnej miłości. Taki był początek owój księgi *Voir Dit*, ogłoszonej dziś drukiem.

Rozstają się uszczęśliwieni. Uczucia ich rozbudzone poznaniem, dają pobudkę do coraz nowych tryoletów. Goniec krąży bezustannie pomiędzy Reims a zamkiem Armentiere, przynosi coraz nowe listy i wiersze. Machaut pisze do ukochanej:

Słodka pani! gdyś ty ze mną,
 Drży mi serce, drżą mi nogi;
 W myśli tuman, w oku ciemno,
 Słodka pani! gdyś ty ze mną.
 Chciałbym stąpić... lecz daremno,
 Niby w ziemię wrosły nogi;
 Słodka pani! gdyś ty ze mną,
 Moje serce pełne trwogi!

Poetka odpowiada na tenże ton, ale miłość inaczej snąć oddziaływa na jój serce; młodsza i mniej doświadczona niż Machaut, jaśniejszym okiem patrzy w przyszłość.

Przyjacielu! gdym przy tobie,
 W sercu mojem radość szczera;
 Przepominam o żalobie,
 Przyjacielu, gdym przy tobie,
 Zbiega smutek w tójże dobie:
 Już mi w oku łza nie wzbiera.
 Przyjacielu! gdym przy tobie,
 W mojem sercu radość szczera!

Po pierwszém spotkaniu następuje drugie i trzecie. Nie myślimy iść w ślady za parą zakochaną. Powiemy tylko, że czytając drobny opis ich miłosnych przygód, przyszły nam na myśl słowa Prudona o pani Georges Sand: „Nie wiedziała poetka że ta artystyczna wolność która ją ludzi, prostą jest swawolą, nie idealną wcale. Zbłąkała się zaufawszy poetom, tym najniebezpieczniejszym przewodnikom, jakich napotkać można pomiędzy ludźmi.“ Dodamy jednak na obronę biédnego Machaut, że on odgrywał raczej bierną rolę. Inicytywa szła zawsze od pięknej Peronelli.

Poetka oddaje Truwerowi wszystkie skarby swych uczuć, powierza mu jak mówi symbolicznie, złoty klucz od serca i czci swojej, mianuje go podskarbin. Miłość ich przestaje być wreszcie tajemnicą dla świata. Wielcy panowie dworscy zaniłowani w poezji, nalegają na panienkę o ballady i tryolety Machauta. Godziż się kryć światło pod korcem? Panienska zadowolona w miłości własnej, radaby szczerze pochłubić się niemi, ale co Truwer powie na to?

— Pragnę, pisze do niego, aby świat cały wiedział ile cię kocham. Chlubię się miłością twoją! Nie ma w świecie szczęśliwszej odmień kobiety! Dziękuję za to po sto razy na dzień, Bogu, Wenerze i Kupidynowi!

Truwer przystaje, próżność przemaga nad rozsądkiem. Pieśni przebiegają z rąk do rąk... Potrzeba oględności... Schadzki kochanków musiały ustać w końcu. Postać tylko roznoszą coraz nowe listy i tryolety.

Tak przetrwało lat kilka. Biédny poeta żyje samotnie w Reims. Wierny przyrzeczeniu, zapisuje co dnia w księdze sto wierszy. „Nie-

chajże świat po stu leciach, mówi jeszcze o miłości naszej.“ Jestem, pisze, podskarbm twego serca; strzedz go będę jak oka w głowie! nikt mi go odebrać nie zdoła! Nic też nie zmieni uczuć moich.

Wprzód świat ujrzy wszelkie dziwy,
Lilja zrodzi się z pokrzywy;
Bursztyn w różę się przemieni,
Owoc wzrośnie z pod korzeni,
Nim dla ciebie ukochana,
W sercu mojem zajdzie zmiana!

Strześcić jeszcze odpowiada na to poetka. Słowa jęj bardziej obmyślane, przesadniejsze, więcj w nich sztuki, niż uczucia płynącego wprost z duszy:

My na wieki połączeni!
Nim się serce moje zmieni,
Słońce żarem swych promieni
Już nie przedrze chmur.
Zorza nieba nie zrumieni,
Księżyc drogi swe przemieni;
Łąka wyschnie bez zieleni,
I bez liścia bór.
Czarna ziemię noc ocieni,
Jękną ludzie upragnieni;
Na dnie krynic i strumieni
Zbraknie czystych wód!
Złomy opok i kamieni
Runą z grzmotem po przestrzeni,
Nim się serce moje zmieni,
Świat niech skona wprzód!

Znała jak widać poetka sławny hymn Laktancyusza: *Dzień on sądu, dzień straszliwy!* i wybuch gwałtownej boleści poety gallo-rzymskiego, nad konającą Romą, dokroiła do pieśni miłosnej.

Na dobre było to *Dies irae*: uczucia Peronelli gaśły z dniem każdym. Z pod pióra jednak wybiegały przyrzeczenia tak wierszem jak i prozą. W jednym z ostatnich listów pisze jeszcze: „Ani Dydona Eneasza, ani Biblis Caunusa, ani Medea Jazona, ani Helena Parysa, nie kochała jak ja ciebie!

Ale nie złapać starego wróbla na plewy! Machaut za wiele miał doświadczenia, aby pod tym nawałem brzmiących a pustych słów, nie wyczytać zmiany w drogiem mu sercu. Żali się też w naiwny sposób: „Od miesiąca, pisze, więcj niż przez trzydzieści nocy, nie miałem snu na oczach.”

Jeżeli zmordowany zaśnie na chwilę, dręczące sny odbierają mu spokój. Obraz panienki, który ma na ścianie, staje mu niby przed oczyma. Cóżto? przemieniła sukienkę? miała błękitną a teraz przyoblekła zieloną? Kolor zielony znaczy nowość! Odwróciła główkę, nie patrzy na niego jak zazwyczaj. Biedny Machaut, zrywa się z łoża o północy, zapala świecę, biegnie do obrazu! wszystko na nim jak było, i sukienka błękitna, i wzrok ku niemu obrocony. „Morfeusz ladaco, zażartował sobie ze mnie,” powtarza w duchu cokolwiek spokojniejszy.

Krótki to spokój. Dręczące myśli powracają z nową gwałtownością. I czemużto listy jej tak krótkie? czemużto goniec tak dawno już nie przybył? Księga zapełniona ledwie w połowie, a tu wątek co chwila się urywa. I cóż w niej pisać? poeta napróżno smaży głowę! czepia się rozmaitych przedmiotów; parafrazuje przemiany Owidyusza, potrąci niekiedy i o publiczne sprawy, powtarza rozmowę jaką miał we śnie z królem. Ilekroć zwróci myśl ku swój pani, oko jego pochmurza się, widzi otwartą przepaść, co wnet pochłonie jego piękne nadzieje. Ilekroć spojrzy na wizerunek, boleść przepęlnia mu duszę. Zdejmuje go wreszcie ze ściany, chowa do skrzynki, zamyka na klucz jedyny skarb jaki mu jeszcze został. Zielona sukienka dręczy go na jawie i we śnie, smętne téż poświęca jej zwrotki.

Jam cię niestety, ukochał tak szczerze,
Gonię cię myślą od ciebie daleki;
Łzami spalone zbrzękły mi powieki,
A tyś mi droga nie dotrwała w wierze!
Dziś me nadzieje przepadły na wieki,
Odmieniasz serce z sukienką zmienioną:
Zamiast błękitnej obłóczysz zieloną!

Przekłète oczy że ciebie widziały,
Przekłety dzień ten i godzina owa,
I twoja piękność i zwodnicze słowa,
Mój dziwny obłęd, i miłosne szaty;
Przekłète losy co mnie upłatały,
Gdy zmieniasz serce z sukienką zmienioną:
Zamiast błękitnej obłóczysz zieloną!

Przeczcucia spełniły się niestety! Przyjaciel kołacze w progi Machauta. Zaufany to powiernik Peronelli z Armautière. Z jej polecenia oświadcza poecie, że odtąd nie wolno mu widywać pięknej pani, ani nawet pisywać do niej listów. Z niezbyt jasnych słów powiernika, snadno odgadnąć że Peronella zaręczona a może poślubiona już z innym. Biedny *podskarbi* pozostał przy tytule: skarb jego zabrała obca ręka!

Serce poety wzbiera żalem. Na zapytanie co każe powiedzieć pięknej pani, wyrzuca z piersi długo tajoną gorycz. Oto polecenie jakie daje powiernikowi. Skracamy je więcéj niż o połowę:

Ile razy świat szeroki
 Prздеptały ludzkie kroki,
 Ile dźwięków z ranną rosą
 Po przestrzeni dzwony niosą;
 Ile razy gdzie krew ciecze,
 Wali topór, godzą miecze;
 Ile wiosną na dolinie
 Traw i ziółek maj rozwinie;
 Ile kłosów dzwoni w polu,
 Ile zliczysz w nich kąkolu;
 Ile śpilek zimną roślinie
 Na zielonej w boru sośnie;
 Ile wody kropel w morzu,
 Ile gwiazdek na przestworzu;
 Ile rybek skacze w wodzie,
 Buja ptasząt na swobodzie;
 Ile jabłek rodzą sady,
 Słodkich jagód winogrody;
 Ile z oczu łez pociekło,
 Ile ofiar liczy piekło;
 Ile kości ziemia grzebie,
 Ile duchów czystych w niebie,
 Ile muszek w ciągu lata
 Pobrząkuje w okół świata;
 Ile w słodkich ułud chwile
 Kłamstw i przysięg brzmiących mile,
 Zwodniczemi zbiegło usta;
 Ile westchnień z piersi pustój;
 Zlicz te wszystkie miliony:
 Tyle w duszy mój strapionój,
 Milionów dziś się mieści,
 Kolców, szydeł i boleści!

A powiernik na to rzecze:
 —Przez Bóg żywy, stój człowiecze!
 Bym dociągnął rzecz do końca,
 Muszę zacząć z brzaskiem słońca.
 Do wieczora bluzgać słowy,
 A nie powiem i połowy;
 Chcę ci przecie służyć szczerze:
 Bądź zdrów, miły mój Truwerze!

Tak się zakończyła mitość Peronelli z Armentiere i Wilhelma Machauta, odgrzebana dziś z prochu niepamięci przez bibliofilów francuzkich. Imię Peronelli *przepadłoby* bez wieści, gdyby go Machaut nie pomieścił w anagramie przy końcu wierszowanego pamiętnika.

Książka ta ciekawa dla lingwistów i psychologów, jakeśmy wyżej powiedzieli, nie może przecież zająć czytelników, którzy szukają przyjemności w literaturze. Język chropawy i niewyroblony, zbyt ciężko utrudza czytanie. Glossaryusz tłumaczy wprawdzie przestarzałe wyrazy, ale same zwroty dziś już nieużywane, czynią wątek trudnym do pochwylenia.

W zeszłej kronice mówiliśmy o obrazach z tegorocznej wystawy Paryzkiej; dodajemy dziś słówko o rzeźbie. Kiedy wszedłszy do oszklonego ogrodu na Polach Elizejskich, ogarnęliśmy wzrokiem te setki grup, posągów i popiersi, tak cudnie odbijających na tle zielonej murawy, pod cieniem palm i rozkwitłych azalei, zdawało nam się że jesteśmy w zaklętym świecie duchów; mimowoli przyszła nam na myśl sławna definicya Mickiewicza, iż rzeźba najwyższym jest objawem sztuki, gdyż ona jedna może przedstawiać *duchy*, w formie, w jakiej według tradycyi wszystkich ludów, cudowne widma przedstawiają się niekiedy oczom śmiertelnych. Czem jest sztuka? pyta nasz wieszcz natchniony: to widzenie nadziemskie, przyobleczone w formę! Czem talent artystyczny? ta nitka łącząca myśl artysty ze światem niewidzialnym! Czemże chwila natchnienia? na to inny poeta, autor Maryi, wymowną daje odpowiedź:

Drgnęła nić, którą serce do nieba związane,
I kropla słodkiej rosy upada na ranę!

Zbyt wysokie zaprawdę kryterium dwóch wieszczów naszych, abyśmy na jego miarę, mogli oceniać ogół rzeźb wystawionych w tym roku. Większość artystów idealizuje zapewne materya, ale w sposób w jaki idealizowali ją Grecy, szukając w doskonałości formy ziemskiego tylko piękna. Są przecież i tacy, w których sercu drga tajemnicza nić i sprowadza z nieba ową rosę, ożywiającą spiz lub marmur pod dotknięciem ich ręki.

Na czele tych wybranych stoi niewątpliwie p. Chapu. Cudnie piękna *Młodość* jego dłuta, uważana powszechnie za perłę tegorocznej wystawy. Ta *Młodość* w postawie dziewczycy, pełnej natchnienia i zapału, z głową podniesioną wstępuje na piedestał kolumny, prawą rękę wyciąga w górę, trzyma w niej gałązkę bluszczu i wieńczy nią popiersie bohatérskiego Regnaulta, wielkiego malarza poległego pod Busenwalem. Ani popiersie, ani kolumna nie wykonane dotąd; mimo to wszystkich oczy zwracają się z zachwyceniem na tę *Młodość*, w której artysta uosobił Francją, odrodzoną po klęskach, pełną wiary, miłości i nadziei.

Panuje niemniej na wystawie prześliczna grupa Merciera: *Gloria Victis*. Podziwialiśmy już w roku zeszłym ten utwór w gipsowym odle-

wie. Dziś wykonany ze śpiżu, wspaniałej się jeszcze przedstawia. Jakże wymowny ten konający młodzian w objęciach sławy, szczęśliwy że wytoczył krew w świętej sprawie, że tą krwią okupił cześć narodu; że Francya patrząc na wysilenia własnych synów, powiedziéć może dziś to co wyrzekła pod Pawią: „*Wszystko stracone oprócz honoru!*”

Z równą potęgą uczucia, młody artysta Fremiet wykonał posąg Joanny d'Arc. Zwycięzka dziewica w hełmie i pancerzu, klęczy na płycie kamiennéj ze złożonemi do modlitwy rękoma; gałązka bluszczu zatknięta za hełm, świadczy o świeżym jéj tryumfie. Na jéj natchnioném obliczu odbija głęboka pokora połączona z niezłomną wiarą.

Po raz drugi Fremiet odtwarza postać bohaterki. Widzimy już od roku wykonany jego dłutem, konny posąg Joanny na placu Pyramid, w miejscu gdzie przed czterema wiekami odniosła cudowne zwycięztwo. Wielu krytyków powstawało zbyt lekkomyślnie na ten utwór, prawdziwi jednak znawcy przyznają mu wysoką wartość. Z pomiędzy licznych rzeźbiarzy, którzy odtwarzali dłutem tę wielką postać dziejową, sam jeden Fremiet pamiętał, że Joanna d'Arc żyła w XV wieku. Ządło nadał posągowi archaiczny charakter, nie przypadający do smaku estetykom, którzy poza obrębem klassycznej szkoły greckiej, nie pojmują artystycznego piękna!

W obec takich utworów sztuki jak powyższe, Francuzi powtarzają *sursum corda*, podnoszą głowę z otuchą, patrzą w przyszłość spokojném okiem:

I kropla słodkiej rosy upada na ranę!

Z pomiędzy znacznej liczby religijnych przedmiotów uderza ogromem i wspaniałą prostotą, symboliczny posąg religii, dłuta p. Bourgeois, przeznaczony na fronton do kościoła sorbońskiego. Zwraca niemniej uwagę Chrystus na krzyżu p. Thomas: tors szczególniej wykonany po mistrzowsku. Bardzo téż piękny anioł z koroną cierniową w ręku, p. Pascal. Wspomnimy tu jeszcze śliczną grupę p. Lenoir, nagrodzoną złotym medalem: przedstawia św. Sebastyana przypartego do pnia dębu, z utkwioną w piersi strzałą. Anioł spływający na obłoku, trzymając palmę nad głową męczennika.

Zarzucaliśmy francuzkim malarzom, że przepomnieli staro-gallickich tradycy; rzeźbiarze nie zasługują na ten zarzut. P. Talhuet, w wielkim posągu marmurowym, przedstawia Brennusa wprowadzającego winną latorośl do Galii. Pogromca Rzymian stoi w śmiałej postawie, jedną rękę oparł na włóczni utkwionej w ziemię ostrzem, w drugiej trzyma gałązkę winogrodu. Tors nagi, skóra zwierza przewieszona przez ramię spadająca poniżej kolan, nadaje mu dziką i butną postać.

Niemniej charakterystyczny młody Gal, dłuta p. Baujault. Według starożytnego obyczaju, ten kto pierwszy dostrzegł rozkwitłą, świe-

zo jemiolę, uważany był jako wybraniec bogów: Druidowie przyjmowali go do grona swego. Młody Gal prawą nogą nastąpił na gruby korzeń dębu, w lewej ręce trzyma sierp, prawą podnosi tylko co odciętą jemiolę. Sam pomysł prawdziwie poetyczny nagradza małe uchybienia dłuta, które łatwo przebaczyć młodemu rzeźbiarzowi. Bodajby ta jemiola tryumfalnie ukazana Druidom, przemówiła do artystów francuzkich i ukazała im bogate krynice poezyi wytryskające ze staro-galskich podań!

Ponijamy rzeźby mitologiczne; nie zatrzymamy się nawet nad Perseuszem z odciętą głową Meduzy, pana Tournois, który ściąga poklaski krytyków, zamitowanych w klassycyzmie greckim. Z przedmiotów starożytnych zajęła nas więcej statua Arystotelesa w młodzieńczym wieku, dłuta p. Desgeorges. Chłopiec siedzi z pochyloną głową, wspartą na lewej dłoni, oczy wlepił w pargaminowy rękopism rozpostarty na kolanach. W prawej ręce spuszczonej ku ziemi, trzyma blaszaną kulę, gdyby sen zmorzył młodego myśliciela, kula spadając w naczynie metalowe, rozbudzi go swym brzękiem. Całość wykonana pięknie, w dziecięcych rysach odbija myśl głęboka. Za tę pracę artysta otrzymał drugi medal.

Popęd do przedmiotów rodzajowych, objawia się zarówno w rzeźbie jak w malarstwie. Najwyżej tu postawimy grupę p. Delaplanche zwaną *Education maternelle*. Młoda matka z głową obwiązaną w chustkę na sposób wiejski, siedzi na prostej ławie z elementarzem w ręku, pokazuje litery czteroletniej dziewczeczce. Powaga w rysach matki stanowi sprzeczność z figlarną miną dziecka. Piękna ta grupa przed dwoma laty, wystawioną była w odlewie gipsowym, dziś wykuta z marmuru, doprowadzona do naturalnych rozmiarów, okazuje się w całej piękności.

Do rodzajowych należy także grupa p. Falguièra: *Szwajcarya przyjmująca armię francuzką*. Matrona szwajcarska z obliczem poważnym i szlachetnym, podtrzymuje młodego żołnierza, napół omdlałego ze znużenia i trudu. Całość rzewna i prawdziwie wymowna. Miasto Tuluza nabyło tę grupę; ofiarowało ją Szwajcaryi w hołdzie szczerj wdzięczności.

Niemniej zajmujący ów chłopak przywiązany do drzewa za nogę i za ramię, napół odarty z odzieży. Podczas wojny 1871 roku, mówi napis, włościanie (Alzacy), którzy nie chcieli wydać współbraci swoich, chwytani przez pruskich ułanów, przytroczeni do drzew umierali na mrozie. P. Destreez oddał z niepospolitym talentem rysy nieszczęśliwego, skurczone od zimna i boleści.

Dwa pomnikowe posągi uderzają oczy ogromem. Jeden z nich sławnego Jakóba Coeur mieszczanina wieku XV, który dorobiwszy się ogromnego majątku, oddał go na potrzeby Francyi trapiionej najazdem angielskim. Piękny ten pomnik dłuta Prioula, przeznaczony do miasta Bourges, kolebki wielkiego patryoty. Drugi pomnik sławnego Champol-

liona, który przekazał światu klucz do czytania hieroglifów, otoczony godłami egipskimi, wykonany bardzo pięknie przez Bertoldego. Nie wiemy dobrze jego przeznaczenia.

W niesłychanej liczbie popiersiów, uderzył nas szczególnie wielki biust arcybiskupa Darbois i niemniej piękny prezydenta Bonjeau, nieszczęśliwych ofiar komuny. Ostatni przeznaczony do dźwigającego się z gruzów pałacu sprawiedliwości.

Kilku rzeźbiarzy włoskich przysłało prace swoje na wystawę. Torelli z Florencyi wykonał posąg Torquatta Tassa w młodych latach, przybranego według mody XVI wieku. Ugo Zanoni, Medyolanczyk przedstawił pod tytułem *Nauka i praca*, młodą dziewczeczkę wiejską z pończochą w rękę, z oczyma zwróconemi w roztwartą książkę. Najważniejszą ze wszystkich prac włoskich, jest grupa Bersaghego wyobrażająca córkę Faraonową, nad kolebką ocalonego Mojżesza. Prace te przyjęte były obojętnie, jakoż w rzeczy samej, daleko im do tój wytworności jaką podziwialiśmy w rzeźbach mistrzów włoskich, na międzynarodowej wystawie 1867 roku. Zdaje nam się jednak, że krytyka niesprawiedliwą okazała się w tym roku dla Bersaghego. Przyczyną tego może być okoliczność, że ten mistrz wykonał w tymże czasie wielki posąg konny Napoleona III-go, na który Lombardia złożyła 190,000 franków. Pomnik ten z napisem: *Oswobodzicielowi Włoch*, ma wkrótce ozdobić ogród publiczny w Medyolanie.

Z ziomek naszych, trzech tylko umieściło rzeźby swoje na wystawie paryzkiej: p. Boryczewski z Wilna, piękne popiersie hrabiego S., p. Teodor Rygier z Warszawy, Najświętszą Pannę z Dzieciątkiem Jezus, płaskorzeźbę marmurową pełną zalet; p. Grabowski rodem z Angers płaskorzeźbę gipsową *St. Esperence*. Żałujemy szczerze iż aniołki panna Brodzkiego zbyt późno nadeszły z Rzymu, byłyby niewątpliwie przyczyniły się do ozdobienia wystawy, jak przesłiczne dzieciątka w 1864 r.

P. Cyprian Godebski nie nadesłał nic, wiemy jednak że mistrz ten bynajmniej nie spoczywa. W tych właśnie dniach pomieszczono na cmentarzu Montmartre, wspaniały pomnik grobowy, wykonany jego dłutem, poświęcony pamięci Teofila Gautier, zmarłego niedawno poety i estetyka. Na wielkiej płycie granitowej, stoi sarkofag z marmuru karraryjskiego. Muza smętna i zadumana siedzi na tymże sarkofagu, wsparta o medalion poety. Wykonanie przesłiczne, co zaś do pomysłu nie wszystkich zadawalnia ta pogańska muza na grobie chrześcijańskim. Trudnoż przecież obwiniać o to artystę; Gautier sam podał przed śmiercią myśl do monumentu. Artysta nasz wykonał tę wielką pracę, odmawiając wszelkiego wynagrodzenia. Tak szlachetna bezinteresowność zdziwiła i ujęła Francuzów.

W tój chwili p. Godebski pracuje nad pomnikiem dla Juliusza Janin. Nie znamy jeszcze planu, sądzimy jednak że krzyż zastąpi tu grecką muzę; wiadomo że Janin szczerym był chrześcijaninem.

Umarła niedawno w bliskości Paryża jedna z najznakomitszych pisarek francuzkich, pani Hortensya Cornu, wdowa po słynnym malarzu zmarłym przed kilku laty. Pani Cornu, zbyt głęboko była uczona, aby imię jej mogło znaleźć powszechny rozgłos. Nie występowała zresztą nigdy w własnem imieniu, ale i pseudonym jej *Sebastyan St. Albin* nie większą znalazł popularność. Ludzie jednak prawdziwej nauki, znali i oceniali znakomitą erudytkę, członkowie *akademii napisów* zwywali ją na swoje posiedzenia, zasięgali jej rady, używali jej silnego wpływu na wprowadzenie reform naukowych.

Przeciwnicy sami cesarstwa, jak na przykład Renan, przyznaje, że od roku 1860, po nieprzyjaznych dla poważnej nauki czasach Ludwika Filipa, nastąpiło we Francyi odrodzenie. Postęp objawił się szczególnie na polu krytyki historycznej i nauk filologicznych. Poza obreębem lekkiej literatury, utworzyła się wysoka powaga naukowa. Minister Duruy sprawcą był owych reform, duszą ich była pani Cornu.

Ta niepospolita kobieta urodziła się w Paryżu, w roku 1809. Matka jej pani Lacroix była damą dworu królowy Hortensyi i nieodstępna towarzyszką. Królowa trzymała do chrztu dziewczynkę, której dano też imię Hortensya. Młodsza o rok od Ludwika Napoleona, miała rówieśniczka chowała się z nim razem, dzieliła z nim zabawy a następnie nauki. Podczas wykładu professorów dwoje dzieci siedziało przy jednym stole, spisywało razem notaty, odpowiadało na pytania. Cisza i samotność w domu królowej czyto w Arenembergu czy w Augsburgu, usposobiła małą Hortensyę, do skupienia się w myśli własnej i do korzystania z udzielanych jej nauk.

W pierwszej młodości panna Lacroix przebywała częstokroć na dworach panujących książąt niemieckich, zjednała sobie szczególniejsze względy księżny badeńskiej Stefanii, spokrewnionej z królową Hortensyą. Była to w Niemczech świetna epoka literackiego rozkwitu; wpływ ten musiał oddziaływać na młodą Francuzkę i rozwinać wrodzone jej zdolności. Więcej jeszcze oddziaływał na nią kilkoletni pobyt w Rzymie, w témto ognisku sztuk pięknych, dzięki niezgardowanej wytrwałości, zdobyła ową erudycyę, jaką przyznał jej świat naukowy.

Podczas pobytu w Rzymie Hortensyi Lacroix, kształcił się tam w szkole francuzkiej, pełen talentu malarz, Sebastyan Cornu, uczeń Flandrina. Młoda erudytką poznała i zaślubiła artystę, który miał wkrótce zastąpić, jako jeden z pierwszych malarzy religijnych we Francyi. Powrócili razem do Paryża. Pani Cornu wystąpiła wówczas na literackim polu, okrywając imię swoje pseudonymem. Wydała nasamprzód przekład ballad i pieśni ludowych w Niemczech (1841), następnie dzieło w dwóch tomach, pod tytułem *Goete i Bettina*. Pisała oprócz tego, do rozmaitych pism i przeglądów. Najważniejszą jej pracą były rozprawy naukowe o sztuce włoskiej w XVIII wieku, zamieszczone w Nowożytnej Encyklopedyi Didota. Zebrała liczne materya-

ły do ikonografii. Zamiarem jęj było szczególnięj wypracować historię krucyfiksu; niewiadomo o ile praca ta posunięta została.

Wyrwana z dawnych stosunków, oddalona od towarzysza pierwszėj młodości, pani Cornu utrzymywała z nim jednak stałą korespondencyą, przyklaskiwała z całej duszy utworom literackim Ludwika Napoleona; ogłoszone przezeń *Idee Napoleońskie*, odpowiadały zupełnie jęj przekonaniom: „Czego nam pragnąć dla Francyi? pisał młody wygnaniec, oto, rządu odpowiedniego naszym potrzebom, naszėj naturze! potrzebą naszą równość i wolność, z natury naszėj musimy być gorącymi promotorami cywilizacyi”! Słowa te znajdowały szczery odzew w jęj sercu, podczas kiedy książe przebywał w twierdzy Ham, pani Cornu pomagała mu z daleka w pracach historycznych, przesiadywała po całych dniach w bibliotece publicznej, wypisywała dla niego rozmaite dokumenta, dostarczała mu wszelkich książek jakich żądał. Później po pamiętnym zamachu grudniowym 1851 r., kiedy Ludwik Napoleon został cesarzem, pani Cornu szczerą republikanka, zerwała z nim wszelkie stosunki. Po kilku latach jednak zbliżenie znowu nastąpiło; wówczas wpływ światłej kobiety na umysł cesarza, pokazał się prawdziwie zbawiennym. Za ministra Duruy, wprowadzone zostały szkolne reformy, z których Francya zbiera dziś obfite owoce.

Tak w literaturze jak w sztukach pięknych, pani Cornu trzymała się ściśle klasycznych tradycyji. Wykarmiona wzorami starożytnych i włoskich mistrzów z epoki odrodzenia, troskliwem okiem patrzyła na nowy zwrot, przeczuwając nadużycia szkoły romantycznej i konieczne jęj następstwo, przewagę realizmu nad ideałem. Nowa teoria *sztuka dla sztuki, literatura dla literatury*, znajdowały w nięj nieprzebręganą przeciwniczkę. Tak w literaturze, jak w sztuce, widziała przedewszystkiem, potężne siły, popychające społeczeństwo na drogę postępu. Ktokolwiek we Francyi trzymał pióro lub pędzel, powinien był pracować, nasamprzód dla chwały i pomyślności kraju swego; przez Francyą zaś, na pożytek ogólny cywilizacyi świata.

Działalność jęj zakończyła się z początkiem wojny. Odtąd nie widziała cesarza. Zamieszkała z mężem w bliskości Wersalu. Cornu umarł złamany klęskami Francyi. Pani Cornu uczuła boleśnie stratę męża, z którym przeżyła czterdzieści lat, w prawdziwej miłości i zgodzie. Odtąd życie jęj było wolnym konaniem. Trawiła ostatek dni, w zupełnym odosobnieniu od ludzi, przywiedziona niemal do ubóstwa. Po śmierci, Francuzi podnieśli ze czcią jęj pamięć, oddając hołd zasługom tój prawdziwie wyższėj kobiety.

W liście pisanym do nas przez profesora Aleksandra Chodżkę, znaleźliśmy ciekawe szczegóły o wydaném niedawno dziele pana Wal-tazara Bogisicza, Raguzanina z rodu, profesora prawodawstwa porównawczego ludów słowiańskich, w Uniwersytecie Odeskim. Obszerne

to dzieło o prawie zwyczajowém u południowych Słowian, wydane zostało w Zagrzebiu, kosztem tamecznej akademii. Posyłamy ten wyjątek z listu szanownego korespondenta naszego, w mniemaniu że zająć może uwagę, nie jednego z naszych czytelników.

„Czarnogórski Władyka Mikołaj postanowił w roku 1873, spisać statut praw dla Czarnogórców; do ułożenia tegoż statutu powołał uczonego Bogisicza. Mieli już Czarnogórcy próbę niejakię kodyfikacyi; byłato mieszanina kilkadziesiątu artykułów, pożyczonych przez Raguzę z prawa rzymskiego, a później z kodeksu Napoleona. Ale obok tego istniały prawa zwyczajowe, które lud umiał na pamięć i któremi się rządził. Otóż więc, że te miejscowe prawa, podobne z małemi odmianami, u wszystkich Słowian południowych, Bogisicz wpadł na myśl zebrania ich razem w jedno ciało. Podróżował zatem po różnych stronach, dotarł nawet do Kaukazu, zbierał zwyczaje, przysłuchiwał się sądom prostego ludu, spisał nareszcie około dwa tysiące pytań, które rozesłał po krajach południowo-słowiańskich. Wezwał do pomocy uczonych i prostaków, a dla zachęty zbieraczy, obiecał darować swoją publikacyą, każdemu ktoby odpowiedział na dziesięć pytań. Te odpowiedzi, opracowane i przyłączone do własnych spisów Bogisicza, utworzyły księgę złożoną z 712 stronic.

„Aby uporządkować rzecz jak należy, Bogisicz rozdzielił swoje pytania, według systematu prawodawstwa rzymskiego, nadawszy im ogólny tytuł: *Zbiór dzisiejszych prawnych zwyczajów u Południowych Słowian*. Dzieło ma i tytuł łaciński: *Collectio consuetudinum juris apud Slavos meridionales etiamnum vigentium*.

Pod działem prawa prywatnego są odpowiedzi na 505 pytań, tycających się gałęzi wewnętrznego prawodawstwa. Bardzo ciekawe szczegóły o urządzeniu rodzin słowiańskich, określona tak zwana *Zadruga*, czyli gmina, rządząca się sama przez się wybieranemi z łona swego starszymami: orzą, sieją, rzną razem; wszystko należy do wszystkich, a rada gminna udziela każdej rodzinie według jęj potrzeb. Znajdujemy tu jeszcze obrzędy i zwyczaje przy weselach. Jak się urządza dziedzictwo? Jak się kupuje i sprzedaje własność gminna i prywatna? granice i kopce, warunki pracy i służbę robotników; zwyczaje przy zawieraniu ugod i t. p.

„Drugi dział *prawo publiczne*, obejmuje odpowiedzi na 151 pytań. Objęte w nich: dzierżawa, podatki, własność gminna i osobista, procedura karna, niezmiernie ciekawa, pełna moralności i mądrości. Ważne bardzo szczegóły dotyczące *prawa publicznego wewnętrznego*: sądy i stosunki ojca do syna w obliczu prawa, żony do męża, świadkowie; różnica jaką lud czyni pomiędzy zbrodnią a grzechem; kradzież i wynagrodzenie za nią; skarb dziewiczej cnoty, pijaństwo i wólcęstwo, krzywoprzysięstwo i t. p.

„*Prawo publiczne zewnętrzne*, wysświetla pojęcia ludów słowiańskich o narodach obcych; określone tu: dobra wiara, granice, poszanowanie cudzej własności, stanowisko brańców wojennych płci obojęj.

Jednym słowem, dzieło Bogisicza obejmuje mnóstwo szczegółów etnograficznych, nadzwyczaj ciekawych dla nas Słowian.

Oto kraje z których Bogisicz zbierał odpowiedzi: Tracja, Serbia, Bośnia, Hercegowina, Dalmacja, Banat, Syrnia, Sławonia, Krocacja, a nawet niektóre krainy Kaukazkie, gdzie spotykał podobieństwo praw miejscowych ze słowiańskimi”.

Oryginalna to i nadzwyczaj ważna publikacja, jak widzimy z listu szanownego profesora. W zadużym społeczeństwie europejskim nie poddano dotąd na tak szeroką skalę, praw zwyczajowych pod kryterium prawa rzymskiego, jak to uczynił pan Bogisicz. Pragniemy jak najprędzej poznać się z całością téj pracy. Autor przyłączając odpowiedzi na zadane przez siebie pytania, oznacza naturalnie miejscowość, z kąd jakie odpowiedzi były mu nadesłane. Tu dopiero okaże się po raz pierwszy, w jakich to mianowicie stronach przeważa indywidualizm cechujący głównie cywilizacją wszystkich ludów Aryjskich, w jakich znów przeważa patryarchalizm demokratyczno-komunistyczny, którego odbiciem jest owa *Zadruga*, szeroko jak widać rozbita przez uczonego Raguzanina. Po raz pierwszy dopiero, krytyka porównawcza cywilizacji ludów, znajdzie dostateczne żywioły do wykazania, w jakim stosunku owe urządzenia kumunistyczne, praktykowane w niektórych miejscowościach u Słowian południowych, zostają do komunizmu stanowiącego zasadniczą cechę, ludów uralsko-semityckich. Komunizm musiał istnieć i u aryjskich ludów, naprzykład w czasie wędrówek ludu pod wpływem zewnętrznych okoliczności, gdy grożące im niebezpieczeństwo zmuszało ich do ścisłego skupienia; lecz dla ocenienia, czy w danych plemionach przeważają skłonności patryarchalno-komunistyczne jak u ludów uralsko-semitycznych, czy indywidualizm jak u ludów cywilizacji rzymskiej, potrzeba wziąć na uwagę instytucje kierujące narodami w długim szeregu wieków. Właśnie ciż sami Serbowie, którzy dziś rządzą się w części prawami *Zadrugi*, wydali z siebie kodeks cara Duszana, nacechowany wyrobem pojęć indywidualnych, w duchu prawa rzymsko-germańskiego. Dzieło pana Bogisicza wyjaśni nie mniej ważną kwestyę, co do wpływu prawa rzymskiego na tych Słowian, którzy wychowani byli w ciągu tylu wieków, pod bezpośrednim wpływem Rzymu, jak naprzykład Raguzanie, Dalmacya, słowem cała starożytna Illiryja.

A oto mamy przed sobą inną publikację, dotyczącą nas jeszcze bliżej: mówimy o książce pana Leger p. t. *Etudes Slaves*. Jakaż to różnica tych dwóch prac! Pan Bogisicz ograniczył się badaniem Słowian południowych, w ich prawnych zwyczajach; pan Leger zaś, jak zwykle tak i teraz, objął cały świat słowiański! W poważnym dziele pana Bogisicza, uderza sama już wysoko uczona metoda, sam punkt wyjścia. Jeżeli się w czém myli, jeżeli go zwiedli niekiedy ci, których odpowiedzi drukuje, to przecież daje on swoje prace, jako proste, surowy ma-

teryak, bez pretensyi, bez oświadczenia z góry, że ma na widoku cel praktyczny, odpowiadający natychmiastowemu potrzebom politycznym; pan Leger, wprost przeciwną obrał drogę. W dawniejszych rozprawach swoich, a szczególnie w roku 1871, wypowiedział jasno, że sądy jego o Słowiańszczyźnie, mają cel czysto praktyczny. W *Revue des Cours littéraires*, z 8 lipca 1871 r. rozbiegając idee prawa u Niemców i u Słowian, mówi najwyraźniej: „*Minęły czasy oględności! w oczekiwaniu przyszłego odwetu, nauka francuzka powinna dziś strugać strzałę z każdego drzewa i szukać sprzymierzeńców, gdziekolwiek napotkać ich może!*”

Takie to pobudki, wcale nie naukowe, kierowały dawniej piórem p. Leger, takie nim dziś kierują. Nie my pierwsi zwracamy na to uwagę.

„Zyczliwi przyjaciele, pisze p. Leger, w ostatniej książce swojej, skłaniali mnie częstokroć, abym skupił wszystkie siły, do jakiegoś ważnego dzieła, w którym mógłbym przedstawić syntezę moich poprzednich badań. Nie tracę nadziei, że kiedyś podejmę wielką pracę, na polu historii, filologii, albo literatury. Dotąd okoliczności nie dały mi dosyć czasu, ani spokoju do jęj przedsięwzięcia. Nie brak mi materyałów. Jeżeli nie będę mógł ich potrzebować, pragnę przynajmniej ciągnąć dalej seryę owych studyów słowiańskich. Prowadzone bez przerwy, będą one kiedyś stanowiły *repertorium* ciekawe do badania dla tych, którzy zajmują się historią polityczną i moralną plemienia, długo zapoznanego, a które trzyma w ręku przyszłość Europy i naszą!”

A więc p. Leger przyznaje sam, że pisma jego nie są ściśle naukowemi. I z kądże ta pretensya, aby „ci którzy zajmować się będą historią polityczną i moralną ludów słowiańskich, budować mieli na nich swoje w przyszłości teorye?” Z jednej strony pan Leger, pochlebia Słowianom, głosząc że od nich zależą losy Europy, i cóż ztąd kiedy z drugiej strony, odbiera Słowiańszczyźnie całą jęj przeszłość historyczną, skoro zaprzecza stanowiska jakie zajmowali w dziejach ludzkości Polacy i Czesi i inne narody tego szczepu! Z kądże rękojmia naukowa w autorze, który wyznaje sam, że gotów wystrugać strzałę z każdego drzewa, stosownie do potrzeb czasu i okoliczności?

W owych studyach słowiańskich znajdujemy jedyny ustęp poświęcony literaturze polskiej. Pan Leger zbywa mimochodem, szkołę Mickiewicza i Krasińskiego, której podobało się jak mówi, pomieścić fantazyę Byronowską, z wyrażeniem osobistych walk i boleści. Autor pana Tadeusza, autor Irydyona, to Byroniści i nic więcej!!

Francya, utrzymuje p. Leger znała tylko poetyczną (to jest Byronowską) stronę literatury polskiej; należało jęj dać poznać stronę humorystyczną gieniuszu polskiego. Tę to stronę wykazuje w rozbiórce komedyi. *Zemsta za mur graniczny.*

„Fredro, mówi autor, zaciągnięty do armii Napoleona, przebywając w Paryżu w roku 1814, zbadał francuzkie teatru, co spowodowało jego wokacyą. Za powrotem do kraju egzemplarz Moliera, kupiony przypadkiem u żydka wędrownego, odkrył mu nieznaną dotąd tajemnicę sztuki (str. 255).” Mógł zapewne Fredro kupić Moliera od jakiegoś księgarza wędrownego, niepodobna jednak przypuścić aby zbadawszy teatru paryzkie na miejscu, nie miał wiedzieć o tym olbrzymie francuzkiej komedyi. Wiedział o nim Fredro bez wątpienia; wprzód jeszcze nim go wypadki wojenne zagnały do Francyi. Znał także utwory Franciszka Zabłockiego, przezwanego słusznie Molierem polskim. Mocno przekonani jesteśmy, że gdyby nawet nie opuszczał kraju, i nie badał sceny paryzkiej, byłby i tak został jednym z pierwszorzędných komedyo-pisarzy, nie tylko kraju, ale i wieku swego.

Pan Leger z pomiędzy wszystkich komedyi Fredra, wymienia trzy tylko, jako najsympatyczniejsze: *Damy i Huzary*, *Odludków i poetę*, *Zemstę za mur graniczny*; o *Geldhabie*, o *Cudzoziemszczyźnie*, o *Słubach panięskich* ani słowa, jak gdyby te genialne utwory nie istniały. W przekonaniu naszém, ogólne, choćby treściwe wystudowanie ośmnastu komedyi, lepięjby dało poznać Francuzom naszego wielkiego komika, niż rozbiór szczegółowy jednej sztuki, i to najtrudniejszej do zrozumienia dla cudzoziemców z przyczyny cechującego ją ściśle ducha narodowego, co właśnie stanowi dla nas najwyższą jej wartość.

Obok rozbioru, krytyk tłumaczy całe sceny, ale w przekładzie nikną owe dosadne rysy, owa świeża barwa, charakteryzująca mowę starych ojców naszych. Nigdzie ani przysłowia, ani tych słów, kipiących życiem, skrzydlatych, a tak dziwnie malowniczych przy całej treściwości, jakimi szczyci się precudowny nasz język. Niech kto chce przetłumaczy ten ustęp:

Tak mi się tam w dobrą chwilę
 Nawinęła słodko, mile,
 Dała zézek, umizg taki,
 Żém posunął w koperczaki;
 Ona dalej w ceregiele,
 Ni siak, ni tak, tędy siędy,
 A ja sobie coraz bliżéj,
 Śród chichotek, śród gawędy,
 Bliżéj, bliżéj... cmok nareszciel
 Al zrobiłem wstyd niewieście:
 Jak alkiermas wskroś sponęta,
 Mnie konfuzya ogarnęta,
 Tak, że wziąwszy zapas nogi,
 Chciałem drapnąć za trzy progil

Cały Cześniak odmalowany w tych kilku rysach. Pan Leger, cofając się przed podobieństwem, opuścił ten i temu podobne ustę-

py; opuścił też Papkinowskiego krokodyla, opuścił co najważniejsza, ów prześliczny czterowiersz, tak prawdziwie dramatyczny, tak czysto narodowy, kiedy Cześniak na widok wroga w domu swoim, porywa za karabelę, a potem z rąk ją puszcza:

Nie wodź mnie na pokuszenie,
Ojców moich Wielki Boże!
Wszak gdy wstąpił w progi moje:
Włos mu z głowy spaść nie może!

Ustęp ten nie wzmiankowany nawet, należy on przecież do najcharakterystyczniejszych w tej pięknej komedyi a nie nasuwał zbyt wielkich trudności w przekładzie.

Śmiesznie brzmi po francuzku rejent, przetłumaczony wprost na *regent*; właściwiej byłoby użyć wyrazu *notaire*. Rejent uważany tylko we Francyi w znaczeniu zarządcy państwa.

Typ Cześniaka, powtarzamy, zrozumiały wyłącznie dla nas, jak typ Falstaffa Szekspirowskiego, tak niesmaczny czy to w polskim, czy w francuzkim przekładzie, zrozumiały tylko dla Anglików.

Zobaczmy teraz jak krytyk na str. 256 ocenia arcydzieło. „Komedyja lekka, zbliżona do komedyo-opery (!), przypominająca na przemiany Marivaux i Skribego, zalecająca się może więcej szczegółami, niżeli treścią samą.“

I cóż wynika z całego sądu p. Leger o polskiej literaturze? Oto, że szkoła Mickiewicza była naśladowniczą, że Fredro uczeń sceny francuzkiej, przypomina wymanierowanego Marivaux, który zostawił po sobie pamięć w wyrazie *Marivandage*, oznaczającym ekliwi wyszukaną gadaninę! Wartoż było na takie Marivandage, poświęcać aż czterdzieści ośm stronic swojej książki?

Boleść z utraty Alzacyi i Lotaryngii, gorącemi zgłoskami odbiła się tak w literaturze jak w sztuce francuzkiej. Trudnoby wyliczyć wszystkie obrazy i rzeźby, wszystkie powieści i ulotne poemaciki, któremi Francuzi wypowiadają skargę rozżalonego serca. Na ostatniej wystawie obrazów, uważaliśmy ładny obrazek Biarda, przedstawiający wygnańców alzackich w dziewiczych lasach. Myśl do obrazu wzięta zapewne z wyborniej książki p. Dubarry, która tylko co wyszła z druku p. t. *Rodzina emigrantów alzackich* na stałym lądzie Australii. Z prawdziwą przyjemnością przeczytaliśmy tę książkę, godną upowszechnienia a nawet przekładu. Młodzień znajdzie w niej mnóstwo ciekawych szczegółów, o nieznaną dotąd część świata, skreślonych w sposób niemniej żywy i zajmujący jak przygody Robinsona na Cruzoe.

Garstka Alzatzyków i Lotaryngów, złożona z dwódziesiętu osób, między któremi widzimy i kobiety i niedorośle dziewczęta, puszcza się do Australii, wielkim żaglowcem Franklinem. Są wpośród nich

cieśle i rolnicy, jest grajek flecista, i nauczyciel wiejski Daniel z młodą żoną. Ten ostatni w liście do rodziców, opisuje przygody dalekiej wędrowki. Zrazu wszystko idzie pomyślnie, poza przyładkiem Dobrej Nadziei zmienia się rzeczy postać. Okręt miotany burzą, rozbija się o skały. Wygnańcy wyrzuceni na wulkaniczną wyspę Amsterdam, innym, szczęśliwie napotkanym statkiem płyną dalej do Cap York: tu wysiadają na ląd. Wkrótce wyparci przez ludożerców Papuasów, kierując się według gwiazd i mapy, uchodzą ku południowej stronie kraju. Trzymiesięczna ich podróż, to brzegiem morza, to znów dziewiczym lasem, pełna przygód wybornie obmyślanych; tysiące niebezpieczeństw grozi co chwila śmiałym wędrowcom: tu jadowite węże, tam straszniejsi tubylcy, utaknieni krwi ludzkiej. Dzięki rewolwerom, karabinom ocalonym z rozbicia, docierają do rzeki Murray; ztamtąd drogą żelazną jadą do wspaniałego miasta Melbourne.

To miasto istniejące ledwie od lat czterdziestu, liczy dziś 200,000 mieszkańców; okazałością i życiem przypomina Paryż i Londyn. Cała południowa Australia wzrasta i zakwita, w równie zadziwiający sposób. Przed dwódziesiąt laty nie było tam ani śladu dróg żelaznych, dziś długość linii wynosi dwa tysiące kilometrów. Ową pomyślność zawdzięcza kraj z jednej strony zupełnemu samorządowi: Wielka Brytania panuje tu ale nie rządzi, parlament złożony z dwóch izb, odmieniany co lat pięć, władza wyłącznie losami kraju. Z drugiej strony, źródłem bogactwa powszechnego są ogromne kopalnie złota, przechodzące ważności sławneminy Kalifornii.

Autor podaje ciekawą statystykę tego kruszcza, wydobytego z łona ziemi, od początku czasów historycznych. Niektórzy uczeni utrzymują, że w epoce starożytnej, dawne kopalnie dostarczały złota, wartości ośmiu milionów franków, inni podnoszą cyfrę do dwudziestu. Od początku zaś ery chrześcijańskiej do dni naszych, wartość nowo wydobytego, wynosi pięćdziesiąt miliardów. Stosunek srebra mniej więcej odpowiedni. Ekonomista Mac Culloch utrzymuje, że procent jeden na sto, ginie rokrocznie w skutek rozbicia okrętów i manii zakopywania pieniędzy, właściwej ludom wschodnim. Azja i Afryka nie oddają nigdy złota ani srebra w ilości odpowiedniej napływowi. Według wiarogodnych obliczeń, dwa miliardy leżą zagrzebane w państwie marokańskim, téj osto dawnego korsarstwa; nierównie więcej kruszcza zagrzebali Chińczycy.

Sama Australia dostarczyła dotąd złota w wartości czterech i pół miliardów, według prawdopodobnego obliczenia. Kopalnie wzdłuż pasma gór Błękitnych zamykają w sobie jeszcze do pięćdziesięciu miliardów.

Nasi wędrowcy alzacko-lotaryngscy, dzięki opiece komitetu w Melbourne, znaleźli pracę w tych złotodajnych kopalniach. Nie porwani jednak gorączkową chciwością złota, skoro podwoili mały kapitał jak przynieśli z kraju, zakupiwszy żywny obszar ziemi, pobudowali dom-

ki, zajęli się hodowlą bydła. W tej nowej Alzacyi prowadzą życie zgodne, spokojne i pracowite, w oczekiwaniu lepszych losów.

„Kiedy wieczorem po całodziennj pracy — mówi narrator — chwytały w płuca rzeźwiące tchnienia łąk tutejszych, rozmawiamy o tobie Francyo, i nieraz zalewamy się łzami, na myśl o kłęskach, które nas popchnęły zdala od ojczystego gniazda.

„Wówczasto M. chwyta ligawkę, wygrywa pieśń bojową i łązy osychają nam z powiek; dreszcz przebiega wskroś serca, i przed okiem naszym przesuwają francuzkie bataliony, pełne wiary i zapału, niezwyciężone, jak to niegdyś bywało. Bębny grzmią, trąby dzwonią na hasło; szeregi nasze pędzą w cwał, uderzają na Niemców po krwi i trupach, zatykają trójbarwny sztandar na lewych brzegach odzyskanego Renu!

„To sen niestety! ale ten sen rozpogadza nam dusze, łagodzi boleść rozłączenia, budzi w sercach niezłomną wiarę w przyszłość. Chwila jeszcze, a to co dziś snem, jutro będzie rzeczywistością!”

Teatr berliński usiłuje gwałtem otrząsnąć się z wpływów francuzkich a iść naprzód o własnych siłach. Krytycy dodają bodźca autorom, głosząc, że dziś przyszła doba prawdziwego rozkwitu sztuki dramatycznj w Niemczech zjednoczonych nierozzerwalnym węzłem. Według nich, epoka Lessinga, Goetego i Schillera, była tylko przedświ-tem rannym, po którym słońce zaświeci w pełnym blasku. Słońce to nie wschodzi dotychczas! Krytycy, zawiedzeni w nadziejach, zzymają się, obrzucając szyderstwem każdy nowo pojawiający się utwór. Wywarli szczególniej gniew swój, przeglądając repertuar teatrów berlińskich, z ciągu 1874 roku. Z tego przeglądu pokazuje się, że na cztery-sta przedstawień, sześćdziesiąt ledwie poświęcono nowym, oryginalnym sztukom. Było ich wszystkich sześć: z tych dwie tylko: *Pomyślny los* p. Lindau, i *Stary Szwed* Brachfogla, doczekały się piętnastu reprezentacyi. Cztery inne: *Realiści* Wicherta, *W Szarlottenburgu* Ringa, *Dwie próby* Rosena i *Syrena* Mozenthala, upadły po drugiem lub trzeciem przedstawieniu.

Zwrot do klassycyzmu objawia się żywo w Berlinie. Naliczono w ciągu zeszłego roku, do stu przedstawionych utworów klassycznych, bądź oryginalnych, bądź w tłumaczeniu. Z ich liczby wyłączony zupełnie Molier i sławni francuzcy tragicy; a przecież literatura niemiecka, oddawna ich sobie przyswoiła. Szekspir zato wielkiój używa wziętości między Niemcami, którzy od czasów krytyka Gerwinusa, widzą w jego utworach tryumf geniuszu germańskiego.

W tym roku takie samo ubóstwo. Z pomiędzy kilku nowych sztuk, odegranych świeżo w Berlinie, krytyka najwyżej ocenia dramat Spielhagena p. t.: *Miłość za miłość*. Powtarzamy treść w kilku słowach. Rzec dzieje się za czasu wojen Napoleońskich, w początkach tego wieku. Fritz Elbeck, zapalony nienawiścią ku Francuzom, zaciąga się do wolnego oddziału majora Schill'a. Ujęty w niewolę wraz

z przyjacielem swoim Bernardem, młodym teologiem, wywieziony został do jednej z dalekich fortec francuzkich, gdzie miał przebyć lat cztery. Szczęśliwszy Bernard ratował się ucieczką.

Krewni Fritza, nie odbierając żadnej o nim wiadomości, oplakali go w przekonaniu że umarł. Otarli wreszcie ży dosyć bogatym spadkiem: w końcu zapomnieli o nim zupełnie. Narzeczona Szarlotta, obrała Bernarda za powiernika swych łez i udręczeń; Bernard płakał z nią razem. Codzienne pogadanki o Fritzu, miały dla nich wielki, zbyt wielki nawet urok. Skończyło się na tém, że zostawili w pokoju umarłego, a poprzysięgli sobie żywą miłość. Dzień ślubu już naznaczony; w wigilią dnia tego powraca Fritz do domu. Wszystko tu inaczej jak było! Co krok spotyka nowy zawód. Zdradzony przez kochankę i przyjaciela, wątpi o świecie całym. Jakby na domiar, ciotka, która odziedziczyła po nim spadek, patriotka saska, oddana całą duszą Napoleonowi, podejmuje hojnie Francuzów, w tym właśnie domu gdzie Fritz się urodził i wychował. Było to w 1813 roku, na kilka dni przed bitwą Lipską. Biedny Fritz który uciekł z fortecy, przybywa pod zmyśloném nazwiskiem; ukrywa się między swemi jak obcy; Szarlotta ani słyszeć o nim nie chce: nowa miłość wyrugowała go całkiem z jój serca. Wściekły z gniewu wyzywa Bernarda na pojedynek. Spotkanie ma nastąpić, kiedy komendant francuzki uwiadomiony o wszystkim, aresztuje nieszczęśliwego.

Tu nagle dramat zmienia się w komedję. Fritz, uderzony wdziękiem Elmy, młodziej siostry Szarlotty, która w niebytności jego wyrosła z dziecka na dorodną panienkę, budzi w niej wzajemne uczucie. Elma usiłuje uwolnić więźnia; daremne chęci! czujne oko komendanta, zakochanego w niej także, nie dozwala spełnić zamiaru! Wtém uderzyły działa: bitwa pod Lipskiem zakończy rzecz najpomyślniej. Bernard z oddziałem landwerów wpada tryumfalnie do zamku, Francuzi rejterują... Obie pary stają przed ołtarzem.

Przedmiot to raczej do powieści, niż do utworu dramatycznego. Mimo wadliwego założenia; *Miłość za miłość*, zdobyta żywy poklask. Huk dział zwycięzkich pod Lipskiem, zagłuszył niedostatki dramatu. Radość na widok upokorzonych Francuzów, rozbroiła krytykę i rozbudziła patryotyczny zapał w społeczeństwie berlińskim.

Dyrekcya teatrów, skazawszy na ostracyzm Moliera, Kornela i Rassyna, zmuszoną jednak była dla materyalnych korzyści, wbrew pociskom krytyków, przyjąć do repertuaru, niektóre sztuki nowszych francuzkich pisarzy, szczególnie Skribego i Dumasa ojca: *Wiktorya Theater*, przedstawia téż z niesłychaną okazałością „podróż na około świata.“ Rzecz dziwna, że sprawozdawcy berlińscy, mówiąc o téj sztuce i o wywołanych przez nią oklaskach, przemilczeli zupełnie o francuzkiem jój pochodzeniu.

Ludowe teatrzyki, mianowicie Wallner Theater, zawdzięczają niesłychaną wziętość swoją grubym farsom, w którym tak zwani *Francozen-frezery* rzucają najjadowitsze pociski w rodzaju Kladeradacza, na

pokonanych sąsiadów, z wielką uciechą siedzącej nad kuflem piwa publiczności, ale z krzywdą zdrowego smaku. Mówiliśmy niedawno o jednej z tych fars utworu sławnego kompozytora, Ryszarda Wagnera.

W teatrach francuzkich stagnacya w tej chwili, jak bywa zwykle podczas upałów letnich. Niekiedy połyśnie jakiś błędny ogniczek i natychmiast zagaśnie, gdy tymczasem dwie wielkie sztuki, któremi chlubi się słusznie tegoroczny repertuar: *Córka Rolanda* i *Podróż około świata*, ściągają bezustannie tłumy. Nie omyliliśmy się bynajmniej, zapowiadając im wielkie powodzenie. *Córka Rolanda* odgrywana kilka razy tylko na tydzień, przez wzgląd na artystów, ma jeszcze przed sobą długą i świetną przyszłość. Twórca jój pan Bornier, mianowany został jednomyślnie głównym sekretarzem Towarzystwa autorów dramatycznych. Nie wątpimy, że akademia francuzka uwieńczy piękne jego dzieło.

Podróż w około świata doczekała się już dwustukilkudziesięciu przedstawień: dyrekcyja zmuszoną była odnowić do gruntu kostiumy i dekoracye. Dochód z tej sztuki przyniósł jój przeszło dwa miliony franków. Tak bezprzykładny tryumf, dodał otuchy zwolennikom uczciwego teatru, którzy pracują nad ugodnieniem sceny i usunięciem z niej skandalicznych widowisk. Żadna półświatowa komedya Dumas'a, nie może pochłubić się tak niestychaną wziętością.

Z pomiędzy komedyi przedstawionych w ciągu wiosny zasługuje na uwagę sztuka pana Cadol, pod tytułem *Babunia* (la Grand Man), grana w Teatrze francuzkim. Sztuka ta podobała się ogólnie; zarzucają tylko niewłaściwość tytułu, gdyż w rzeczy samój ta Babunia jakkolwiek sympatyczna, nie odgrywa tu głównej roli. Oto treść w kilku słowach:

Poważna matrona, markiza de Trois Etoiles, ma jedyną córkę zaślubioną z hrabią de Briac. Małżonkowie pobrali się przed dwudziestu już laty, lecz pożycie ich nie było nigdy szczęśliwem. Od lat wielu mieszkają z osobną; postanowili nakoniec rozłączyć się w sposób urzędowy. Hrabia, nowy don Juan, od początku związków zrazik u sobie młodą żonę. Hrabina, pełna uczucia godności osobistój, wychowana przez matkę w surowych zasadach, nie postawiła nigdy kroku na fałszywej drodze; młodość jój przeszła bez skazy, ale w skutek ciągłego targania, charakter jój stał się cierpkim i opryskliwym. Zamiast przywiązać do siebie męża słodyczą i przebaczeniem uraz, odstręczyła go zazdrością, która z czasem zmieniła się w nieprzeblaganą niechęć.

W chwili gdy się rozpoczyna rzecz, jedyny syn hrabiostwa Armand, wyrosł już na dorodnego młodzieńca. Pokochał on piękną Alicyę Castel, córkę wysokiego urzędnika w sądownictwie, i nawzajem pozyskał miłość paniutki. Młodzieniec wyznaje uczucia swoje przed babką, błaga aby go oświadczyła rodzicom Alicy, którzy przybyli właśnie do jój domu. Stara Markiza odpowiada łagodnie, że nie ma prawa prosić o rękę panny, rzecz ta bowiem należy wyłącznie do rodziców. Armand słysząc to, uczył przykrą stronę położenia swego. Surowy

sędzia nie pozwoli zapewne na związek córki z młodzieńcem, którego rodzice nie umieli uszanować świętości domowego ogniska, którzy rozpoczynają właśnie gorszący proces o rozłączenie.

Kochająca babka, korzystając jednak z okoliczności, wyrzekła słowo za wnukiem, ale dumna pani Castel ani chce o nim słyszeć. Hrabina de Briac, na prośby Armanda, przybywa do matki, oświadcza sama syna: pani Castel milczy pogardliwie, sędzia odpowiada sucho: „Zaczem dam stanowczą odpowiedź, czekam na odwiedziny pana hrabiego.”

Hrabia nie przybywa; choćby chciał przyjechać, nie może, w chwili rozpoczętego procesu. Armand w rozpacz, postanawia opuścić kraj, wybiera się w daleką podróż. Nowa okoliczność ożywia jeszcze dramat. Młodzian wyzwał na pojedynek, jakiegoś awanturnika, który szarpał cześć matki. Byłto przyjaciel ojca, towarzysz zwykły jego zabaw.

Hrabia de Briac, dowiaduje się o tém w chwili gdy Armand przybył do niego na pożegnanie. Uniesiony gniewem na potwarzę, wydziera szpadę z rąk syna, staje do pojedynku: obowiązkiem jego jak mówi, pomścić znieważoną sławę małżonki.

W ostatnim akcie, kiedy rodzina Castel bawi jeszcze w domu stariej Markizy, drzwi się nagle otwierają, wchodzi hrabia lekko raniony, podając rękę żonie. Ostatnie wypadki przywiodły ich do upamiętania. Pogodzili się szczerze, zaniechali procesu: szczęśliwy Armand otrzyma rękę Alicyi.

Komedya wybornie odegrana, przyjęta była z żywym oklaskiem. Myśl w niej zdrowa, uczucia prawdziwe, charaktery oddane wiernie, wszystko to wyłącza tę sztukę z liczby wielu gorączkowych i skandalicznych utworów, dzisiejszego repertuaru paryzkiego.

Świat muzyczny w Paryżu, zajęty wielkim koncertem Rubinstejna. W sali dawniej Opery włoskiej, orkiestra złożona z dwustu siedemdziesięciu artystów, wykonała pod dyрекcyą kompozytora, słynne oratorium *Wieżę Babel*, która za Renem znalazła taki rozgłos.

W Niemczech *Wieża Babel* przedstawiana bywa jako opera: kostiumy i dekoracje dodają sztuce nie małego uroku. W Paryżu muzyka zastąpić musi wszystko, i wyrazić sama przez się całą akcją. Oto treść biblijnego libretta:

Robotnicy spoczywają zmordowani. Bursa rozbudza ich i nagania do pracy: znoszą cegłę i cement, przytaczają bryły kamienne. Kółki syczą na ogniu, młoty uderzają w żelazo. Tymczasem spełnia się cud przed oczyma ludu. Młody Abraham, wychodzi żywy z płomienistego pieca, kędy wtrącił go Nemrod, doprowadzony do szału, śmiałemi jego pogrozkami. Każde plemię przypisuje cud bogu swemu. Osobne chóry śpiewają pieśń dziękczynną. Jedni stawiają Baala, drudzy Molocha, inni Astartę. Wybrany lud opiewa chwałę Jehowy. Ocalony pasterz, pełen ducha bożego, usiłuje znów poniżyć szaloną pychę króla.

Spotyka go na wałach Babilonu. W końcu Nemrod pokonany proroczymi słowami, korzy czoło przed Bogiem Abrahama.

Lud śpiewa z królem pieśń dziękczynną. Aniołowie powtarzają z góry, Hozanua; szatani tymczasem obchodzą w otchłaniach piekielnych, tryumf ducha ciemności.

Następuje katastrofa. Pioruny biją w olbrzymie dzieło pychy ludzkiej. Potworna wieża, wstrząśnięta w posadach, wali się z niesłychanym łoskotem. Wicher dmie, lud przerażony upada na kolana, poddając się bożym wyrokom. Skazany na wędrówkę po świecie, rozdziela się na trzy główne plemiona, każde z nich śpiewa chór oryginalny i charakterystyczny. Potomkowie Sema i Chama intonują hymny wschodnie, pieśń Jafetydów przypomina melodye wszystkich ludów europejskich. Chóry dają się słyszeć opodal za kulisami, gdy tymczasem przyrząd optyczny ukazuje widzom wędrówkę trzech wielkich ludzkich plemion.

Oratorium wiele straciło pozbawione w Paryżu wszelkiej wystawy. Abraham we fraku, dziwnie jakoś wyglądał, nie lepiej Nemrod, w białym krawacie z ufryzowaną głową. Niektóre też ustępy wydały się zbyt długie i nużące. Inne za to sceny, jak chwila gdy pioruny druzgocą wieżę, sprawiły wrażenie na słuchaczach. Chwałą szczególniej trzy charakterystyczne chóry, rozchodzących się plemion.

Na téjże scenie dawniej Opery włoskiej, odegrano w tych czasach poemat liryczny *Las*, utworu pani de Granval. Nie pierwsze to już dzieło kompozytorki francuzkiej. Piękna symfonia religijna *Stabat Mater*, śpiewana w Wielkim tygodniu po kościołach, rozgłosiła już imię jej w paryzkim świecie muzycznym. Nowy a prawdziwie poetyczny utwór *Las* z librettem układu saméjże pani Granval, dał poznać talent jej z nowéj zupełnie strony. Kompozytorka umiała odczuć tajemniczą poezję lasu, tak bogatą i urozmaiconą w swych objawach. Wyraziła ją z uroczystą powagą, w modlitwie porannéj kmieci wyrębujących drzewo w lesie, z naiwnym wdziękiem w duecie wiejskiej dzieweczki i zakochanego młodziana; z całym bogactwem fantazyi, w chórze boginiek leśnych, płasających po murawie w piękny ranek majowy, nakoniec z niepospolitą siłą w burzy rozpasanej nad lasem. Finał świeży, pełen harmonii, jak pogoda wieczorna po skwarach i uraganach dziennych, godnie uwieńczyła dzieło.

Wielu psychologów utrzymywało i utrzymuje dotąd, że kobiecie brak twórczej siły do kompozycji muzycznych. Dotychczas w rzeczy saméj kobieta nie puszczala się na to szerokie pole, zostawiając je do uprawy gieniuszom wyłącznie męzkim. Ciekawi jesteśmy czy świetna próba pani de Granval, zniszczy zakorzenione uprzedzenia, czy też uporczywi teoretycy, uważać będą zdolną kompozytorkę, jako pojedyncze fenomenalne zjawisko.

Skoro zabłąkaliśmy się w świat muzyczny, powiedzmy jeszcze słówko o nowój dwuaktowej sztuce, odegranej w teatrze Opery komicznej, pod tytułem: *Miłość afrykańska*. Kilka miesięcy naprzód, dzienniki prawyły o niej cuda, publiczność oczekiwała jęj niecierpliwie, z tą bowiem operetką łączą się trzy niepospolite imiona: najprzód samego kompozytora pana Paladilhe, który za dawniejszą pracę otrzymał nagrodę szkoły rzymskiej; potem pana Légouvę, najsympatyczniejszego z akademików francuzkich, autora *Medei*, który ułożył libretto dzwicznym i potoczystym wierszem: nakoniec imię zmarłego akademika Merimego, którego dramatycznym obrazek posłużył za tło do owego libretta. Mimo tych trzech tak świetnie połączonych imion, *Miłość afrykańska* słabo odpowiedziała powszechnym nadziejom; jakby usprawiedliwiając nasze przysłowie: „Gdzie wiele przygotowań, tam nic z dyalogu.“

Pomysł w rzeczy samęj bardzo dziwny, rzecz wyjaśniona z początku, musi koniecznie stracić urok.

Scena odbywa się w Cannes, pod słonecznym niebem Prowancyi. Zamieszkał tu z rodziną hrabia Beaulieu miłośnik pięknej przyrody, zwolennik aryzmu w rozmaitych jego objawach. Nie jest to przecież rozkołysany marzyciel, umie on pogodzić idealizm z rzeczywistością. Uprawia kwiaty, poi się ich zapachem, a przytęm wysyła je kosztami do Paryża i spienięża za brzęczącą monetę. Pan Légouvę miał tu niewątpliwie na myśli znanego w literaturze Alfonsa Karr, który posiada w Nicei przepyszny ogród, z którego bukiety rozchodzą się po wszystkich europejskich stolicach. Hrabia Beaulieu szczęśliwy z zawodu jaki obrał wyraża tę radość w piosence:

Jam posłuszny wyższej sile,
 W ten zaklęty przybył świat,
 Chciałem zostać krótką chwilę,
 A przebyłem dziesięć lat.

Błogo płyną tu dni moje,
 Czar się słodki w życie wsnął;
 Istna pszczołka serce poję
 Słońcem, rosą, wonią ziół.

Nic nie mąci naszęj zgody,
 Z pszczołką krążym tu i tam;
 Ona z kwiatów zbiera miód:
 Ja za kwiaty złoto mam!

Hrabina, zawołana gospodyni, uprzyjemnia życie poetycznemu i praktycznemu zarazem mężowi. Oboje lubią towarzystwo, raz po raz wyprawiają baliki i rauty, urozmaicone zwykle jakąś artystyczną niespodzianką. W chwili gdy myślą o nowęj zabawie, szczęśliwy traf przychodzi im w pomoc. Przybywają do domu dwaj przyjaciele,

w przejeździe z Rzymu: Paweł, artysta muzyk i Rajmund uczeń akademii sztuk pięknych; ten ostatni ma z sobą młodzieuczną żonę Margaretę. Goście opowiadają wesoło przygody artystycznej wędrowki, spotkaniu z bandytami i t. p.; wreszcie od słowa do słowa, Margareta napomyka hrabiemu, że Paweł skomponował operę: *Miłość afrykańską*, że partycją a nawet kostiumy wiezie w szkrzynce podróżnej. Uszczęśliwiony hrabia, znalazł niespodziankę, której tak bardzo pragnął.

Drugi akt jest wprawdzie niespodzianką dla gości zaproszonych na wieczór do hrabiego, ale zapowiedziany z góry, nie jest nią dla widzów w teatrze. Muzyka wygrywa maurytańskie melodey, scena przedstawia spektakle żarem piaski Afryki. Wpółród palm i kaktusów odgrywa się najstraszniejszy dramat. Śniady Maur z czarniejszym jeszcze Beduinem wydzierają sobie odaliskę. Jeden drugiemu zatapia sztylet w pierś. Morderca w zabitym poznaje przyjaciela, uniesiony rozpaczają tenże sam sztylet podnosi na kobietę, główną przyczynę zbrodni.

Jeszcze jęj nie ugodził, kiedy hrabia Beaulieu zrzuciwszy kaftan czarnego niewolnika, wpada nagle na scenę.

— Dość tego!—woła ze śmiechem—wieczerza już gotowa.

Prolog, powtarzamy, zepsuł rzecz całą. Nie pojmujemy dlaczego autor libretta nie zachował rozwiązania na koniec sztuki. Chciał być do zbytku oryginalnym i popsuł cały efekt. Kompozytka muzyczna podobała się jednak, wiele artystek obsypano oklaskami.

Akademik Littre, naczelnik szkoły pozytywistycznej we Francyi, wydał pod tytułem *Literatura i Historia*, artykuły pióra swego rozprószone po rozmaitych dziennikach i przeglądach. Część drugą historyczną składają rozprawy o buddyzmie indyjskim, o ekonomii politycznej u starożytnych Rzymian i t. p. Do dzieła literackiego należą krytyki, przekłady poezyi Szyllera, nakoniec tak zwane przez autora *kawalki wierszem* (morceaux en vers).

Krytyka Littrego ma właściwy sobie charakter. Jettto uczona argumentacya, oparta na lingwistyce, naukach ścisłych i fizycznych wywodach. Ciemno tu jak w lesie, duszno i chłodno razem, a przede-wszystkiem nudno! Określając różnice w literaturach, autor stawia jako kryteryum, geometryczne prawidła filozofii pozytywnej. W rozwoju umysłowym danego plemienia, widzi on przyrodzony fenomen, obwarowany prawami koniecznemi. Myśl rozwija się według niego, na tychże samych zasadach, jak dąb wyrasta z porzuconej w ziemię żołędzi. Miłość natury rozbudza się w ludziach, zdaniem Littrego, w miarę jak nauka oznacza związek człowieka z innemi jestestwami, jak wyjaśnia to co było dotąd tajemnicą.

Gdyby tak było w rzeczy samej, owe *kawalki wierszem* autora, byłyby nacechowane tą miłością, wypływającą z wiedzy o pokrewieństwie z małpą, żabą albo wymoczkciem, bo i któż poznał lepiej od niego, ową genealogią, tak zaszczytną dla rodzaju ludzkiego, bo sięgającą głębiej w łono wieków, niż wszystkie znane dotąd genezy. Nie szukać

jednak iskiereki miłości w tych wierszowanych sentencyach. Zimny doktor z nieprzebranym skalpelem w ręku, wszystko dyssekuje i rozbiera, doświadczenia anatomiczne czyni nawet na własnem ciele, stygnącym od starości: kończymy dosłownie przełożonym czterowierszem:

Ciekawa i ucząca to anatomia,
Kiedy człowiek, gdy życie o zmierzchu się chyli,
W głąb swęj własnej istoty, wzrok badawczy wpija,
Czując, jak ustępują siły w każdej chwili.

Między powieściowemi utworami zwrócił uwagę romans pana des Essarts p. t. „*Andresina, kobieta bez Boga*.“ Szalone wybryki tęg kobiety, wtrącają do grobu nieszczęśliwego męża i własną córkę; stary ojciec jęg umiera ze zgrzyoty. Wolnomyślna, nienawistna społeczeństwu, spada ze szczebla na szczebel, aż nakoniec stacza się w przepaść. Zostaje „petrolezą“, ginie na barykadzie w roku 1871. Smutne sceny tych czasów, oddał autor z całą prawdą. Do najciekawszych należy obraz meetyngu, na którym uliczne emancypanki rozprawiają nad tytułem nowego dziennika, ich własnego organu. Jedne dają mu tytuł *wykrzyk*, drugie *westchnienie kobiet*. Rzecz poprowadzona z wielkim talentem.

W Londynie poruszyła niesłychanie świat arystokratyczny, powieść Granwilla Murrey p. t. *Młody Browne*. Autor w pełnem życia obrazie zestawil wszystkie zdrożności społeczne, jakie wypłynąć mogą ze ścisłego zastosowania praw istniejących. Do tych należy naprzód nietykalność majoratów, powtore nadzwyczajne kosza, jakich wymaga wszelka sprawa sądowa. Z tąd wypływa to samo, co u nas tak dobitnie określono przysłowiem: „Prawo jakoby pajęczyna, bąk przebije się przez nią, mucha uwięznąć musi.“ Jest może przesada w nagromadzeniu bezkarnych zbrodni w jeden obraz, szczegóły jednak nie wychodzą za obręb prawdopodobieństwa. Arystokracya angielska dotknięta do żywego, wybucha dziś gniewem na zuchwałego autora, jutro jednak pomyśli o reformie. Wiadomo ile ran społecznych zagojono w Anglii, dzięki powieściom. Marrey poszedł drogą wytkniętą przez Dickensa.

D A W N A

RZECZPOSPOLITA DUBROWNICKA,

ZARYS JEJ DZIEJÓW URZĄDZENIA I PIŚMIENICTWA.

PRZEZ

Kazimierza Pułaskiego.

(Dok o ń c z e n i e).

III.

Wszystko cośmy dotąd mówili, jasno wykazuje w jak ścisłych związkach stał w Dubrowniku żywioł słowiański z włoskim. Ciągłe stosunki Włochów z dawną Raguzą, Dubrowczan z Wenecją, handel i polityczne związki lub wreszcie religijne stosunki z Rzymem, wzmacniały te związki i otworzyły drogę wpływom włoskiej kultury, które musiały wszechwładnie zapanować na świeżej jeszcze i nieuprawnnej niwie słowiańskiej. Owa kultura włoska wszelkimi środkami wpływała na słowiańską ludność Dalmacyi: nauką, religią, sztuką, organizacją społeczną, obyczajami, cywilizacją i wytwornością bytu. Skutkiem tych wpływów było zatarcie starosłowiańskich tradycyj i wyrobienie wręcz odrębnej cywilizacji, na wręcz przeciwnych opartej podstawach.

Już przy końcu XIV i w ciągu XV stóleci, oświata włoska, zaszczeplona na gruncie dalmackim obfite wydała owoce, a dużo uczonych włoskich, sprowadzonych do Dubrownika, szerzyło tam nową kulturę zachodnią, która w owój porze na stopień tak wysoki wzniesioną była we Włoszech. Między wielu innemi, *Jan z Rawenny* uczeń słynnego Petrarki, professor wymowy i kanclerz Padewski, długi czas był professorem w Dubrowniku i sekretarzem senatu (w latach 1370—1400). W 1434 roku Filip de Divertis de Quartigianis, rodem z Lukki, doktor *artium* i professor retoryki, wezwany był także do Dubrownika, gdzie czas dłuższy przebywał. Ów potężny i nagły ruch naukowy i artystyczny, zwany odrodzeniem, niemało przyczynił się do rozbudzenia oświaty w Dalmacyi a szczególnie w Dubrowniku. Swobodna ta Rzeczpospolita, powiada Dr. Raczki w jednym ze swych studyów literackich ¹⁾, leżąca pomiędzy dwoma światami Wschodem i Zachodem, wcześniej przyłączyła się do tego ruchu umysłowego, który w XV wieku odrodził grecką i rzymską oświatę. Z jednej strony uczestniczyła w rozbudzeniu klasycznych nauk we Włoszech, z drugiej znów, przyjmowała

¹⁾ W czasopiśmie: *Starine* Tom IV str. 155.

pod swe skrzydła Komnenów, Laskarysów, Paleologów, Kantakuzenów i innych znakomitych Greków, szukających w nich schronienia przed mieczem tureckim, a przynoszących im odrodzoną starą kulturę grecką.

Z owej téż epoki dużo zaznaczyć można znakomitych Chorwatów, którzy zasłynęli nauką i wysokie piastowali dostojęstwa i godności. Na świetnym jeszcze dworze Matyasza Korwina, który zgromadził obok siebie uczonych ludzi swojego kraju, równie téż jak i cudzoziemców, spotykamy między pierwszymi dostojnikami państwa i wojewodami, najprzód Mikołaja Ilczkiego, później tytułarnego króla bośniackiego, Emeryka i Stefana Zapoliów, Damiana Horwata Litwańskiego, Junia i Maryana Giorgiczów z Dubrownika, Frankopanów i wielu innych. Wśród dostojników kościelnych i doradców króla, pierwsze miejsce trzymali dwóch Janów i Władysław Vitezowie ze Sredny.

Śmiało przyznać można, iż Chorwaci wiele się przyczynili do rozszerzenia oświaty w Węgrzech. Już pierwsze swe naukowe wykształcenie otrzymał król Matyas od Jana Vitezy ze Sredny, syna ubogiego szlachcica z Krzyżowackiej Żupanii, gdzie leżało miasto Sredna. Uczony mąż ten (ur. 1400, † 1472) wykształcony we Włoszech, rozprzestrzeniał nauki w Węgrzech (jak świadczy Marcin Galeotti w dziele swém: *De homine*), gdzie podówczas taka panowała ciemnota, że najbogatsi magnaci madziarscy jak np. wojewoda siedmiogrodzki Stefan Batory, Władysław Rozgony, Władysław Orsząg i wielu innych, nawet imienia swojego podpisać nie umieli. Jan Vitez osiągnął godności arcybiskupa Ostrogońskiego, pilnie się zajął zakładaniem szkół i bibliotek, równie jak synowiec jego Jan młody Vitez biskup Vesprymski. Za ich namową król Maciej założył sławną swoją bibliotekę w Budzie, przy której bibliotekarzami byli: Feliks z Dubrownika i Piotr Zamanjicz także Dubrowczanin. Przy uniwersytecie zaś, obok wielu znakomitych profesorów z obcych krajów sprowadzonych, znajdowało się także dwóch Dominikanów, uczonych teologów z Dubrownika, Serafin Bunicz i Tomasz Bazelicz.

W innych także krajach spotykamy pod tę porę dużo uczonych Dubrowczan i Dalmatyńców. I tak Jakóba ze Spletu Dominikanina, który wyładał teologię w Rzymie (około 1445 roku), Maryana Bondenelicza profesora teologii w Paryżu, a potem sekretarza papieża Syxtusa IV, Leonarda Tralasicza z Dubrownika, rektora i profesora teologii w Padwie w 1480 roku i wielu innych. Również głośnej sławy teologicznej używał Tomasz Osoranin, zwany także *Illireus*, który przebiegłszy całą Europę, wszędzie głosił wiarę katolicką, za co dostał od stolicy apostolskiej przydomek: *Clipeus Papatis* i *Clipeus Religionis Catholicae*, a we Francyi zwany był *le Saint homme*. Długi szereg znakomitych mężów uczonych z Dubrownika i Chorwacyi, a którzy słynęli w owej epoce, wlicza p. Kukulewicz-Sakczyński

w swém wyborném studyum o Marku Maraliczu i jego epoce ¹⁾, my zaś wspomniemy tu jeszcze uczoną Chorwatkę, Katarzynę Frankopanę, wdowę po magnacie węgierskim Gabryelu Perenya, która otaczając się uczonymi, na dworze swoim zgromadzała wszystkie współczesne znakomitości swojego kraju. Z jęj polecenia przełożone na język węgierski listy św. Pawła, drukowane były w Krakowie 1533 (pod tytułem: *Az szent Pal levelay magyarnyelnen*). Jak wszędzie tak i tutaj drukarstwo pomyślnie oddziało na rozwój oświaty. Pomiedzy drukarzami chorwackimi pierwsze miejsce zajmuje Andrzej Palta-szycz, Kotoranin ²⁾, który w roku 1473 założył swą tłocznię w Wenecyi, najprzód w spółce z Dobryczem z Dubrownika a potem oddzielnie. Pierwszą jednak drukarnię dzieł chorwackich głągolskich założył w Senii, Jerzy Senianin 1507 roku.

Literatura narodowa dubrownicka rozwinęła się głównie w drugiej połowie XV wieku, i chociaż w innych także miastach dalmackich znajdziemy pod tę porę wielu pisarzy i poetów chorwackich, to przecież Dubrownik jest zawsze siedliskiem oświaty i piśmiennictwa całego kraju. Przedewszystkiem pierwsze miejsce trzyma tutaj poezya i dramat, inne działy piśmiennictwa mniej bogato są przedstawione; wielu z poetów dubrownickich pisało także dzieła innj treści, jak to dalej widziéć będziemy. Już w drugiej połowie XV wieku, ogromną znajdujemy liczbę poetów dubrownickich, piszących bądź w języku narodowym, bądź téż po włosku albo po łacinie; często zaś jeden i ten sam pisarz kolejno we wszystkich trzech językach pisał swe utwory. Dramat szczególniej, jak to już mówiliśmy, nadzwyczaj troskliwie był uprawiany. Professor Pavicz wylicza dwudziestu ósmiu pisarzy dramatycznych i sto szesnaście sztuk mniejszych lub większych rozmiarów ³⁾ począwszy od 1450 roku aż do ostatnich lat niezależnej egzystencji Rzeczypospolitéj Dubrownickiej. Tak jednak jak cały ustrój i urządzenia społeczne i wszystkie objawy życia publicznego, tak samo i piśmiennictwo dubrownickie znajdowało swe wzory w sąsiedniej Italii. Wzory te stanowiły albo odrodzony klasycyzm grecki i rzymski, albo téż nowsza literatura włoska, tak wspaniale rozwijająca się pod tę porę. Wszystkie téż arcydzieła starożytne i utwory włoskich pisarzy starannie piśmiennictwu swemu przyswajali Dubrowczanie. I tak, Wetranicz tłumaczy Hekubę Eurypidesa; Złotaricz, Elektry Sofoklesa i Metamorfozy Owidyusza, Bunicz, Anakreona i Horacego, Hektorowicz, *De remedio amoris*, *Ovidy-*

¹⁾ *Stari pisci hrvatski* I. Piesma Maroa Marulioa, skupio Jvan Kuljevic Sakoiński (U Zagrebu 1869), wydawnictwo akademii połud. słowians. w Zagrzebiu. Znaczną część tego tomu zajmuje rozprawa: *Marko Marulić i njegova doba* (I—LXXVII).

²⁾ Patrz Sakcińskiego: *Slovník umjetnikah*.

³⁾ *Armin Pavic*. *Historija Dubrovačke drame*, izdala Jugoat. Akad. znanosti i umjetnosti (U Zagr. 1871).

usza; również liczne były przekłady Wirgiliusza, Katulla, Tybulla, Propercyusza, Marciala; słynny poeta dubrownicki Marko Marulicz tłumaczy Petrarke, Sodtanowicz, Tassa i t. d. W ten sposób tak jak we Włoszech i innych krajach, tak samo i tutaj „odrodzenie“ nadaje właściwy sobie charakter piśmiennictwu dubrownickiemu, skutkiem którego był ów smak wytworony i upodobanie form starożytnych lub też współczesnego romantyzmu włoskiego. Epopeja zapożycza swe prawidła u greckich i rzymskich pisarzy; pieśni erotyczne, miłosne (*Pisme ljubvene*) do których tak korzystnie nagiął się narodowy język Dubrowczan, śpiewny i miękki, były naśladowaniem sonetów i kanconów Petrarki; dramat wreszcie, wytworzony ze średniowiecznych *representazione* kościelnych, kształcił się i wyrabiał tak samo i w ten sposób jak nowy dramat włoski, pastorałe i komedia ludowa. Każdy z tych działów poezyi mając przedstawicieli swoich w starożytnym klassycyzmie, wybitne miał cechy pierwszych mistrzów swoich. I tak Anakreon, Tybullus, Katullus lub Horacyusz służyli za prawidła dla pieśni erotycznych, dla eposu historycznego brano żywcem stare formy helleńskie, a wytworzona w epoce rycerskiej, prawidłowa epopea romantyczna, której głównym i najwyższym przedstawicielem był Ariost, łączyła w sobie dawne surowe prawa greckich mistrzów z nowszym duchem czasu i charakterem szwaleryi średniowiecznej. Co się wreszcie tyczy dramatu, który w Grecyi najwyższym był objawem kultury poetycznej, skażony chwilowo i zepsuty w rzymskich saturnaliach, lecz rychło potem zwrócony znów ku pierwszym wzorom, następnie zmieniony na *misterya* chrześcijańskie, ulubioną był formą poezyi dubrownickiej; w niej też celowali Dubrowczanie i teatr ich był pierwszym teatrem słowiańskim, choć podstawy onego i cały układ zewnętrzny, a poniekąd i treść sama, częścię zapożyczone były w powyżej wzmiankowanych wzorach, rzadziej zaś w życiu słowiańskim i staro-słowiańskich tradycjach.

Nie piszemy bynajmniej historii piśmiennictwa chorwackiego ¹⁾ w właściwem znaczeniu tego wyrazu; lecz dla uzupełnienia tylko obrazu życia politycznego, społecznego i umysłowego dawniej Rzeczypospolitej Dubrownickiej, podajemy zarys jej piśmiennictwa. Atoli mimo właściwej sobie i całkiem odrębnej cechy, piśmiennictwo to ma tyle węzłów łączących z pobliską literaturą chorwacką innych miast dalmackich, że mówiąc o niej niepodobna nakreślić pewnej linii demarkacyjnej; granice bowiem geograficzne i polityczne bardzo często nie odpowiadają granicom kultury umysłowej. Owoż i tutaj toż

¹⁾ Najnowsze dzieło w tym zakresie jest nie ukończona jeszcze praca V. Jagicza: *Historija Knjizevnosti naroda hrvatskoga i serbskoga. Knjiga prva Starodoba* (U Zagrebu 1867); tu także należy cytowane wyżej dzieło profesora Pavicza, liozne dzieła Kukulievicza, i dużo oddzielnych artykułów w czasopismach: *Rad Jugost Ak.* (1767—1873, I—XXV) i *Starine* (1869—1873, I—V), oba wydawane przez akademię zagrzebską.

samo ma miejsce, tém bardziej, iż węzłem łączącym te miasta była jedność narodowości i języka, a jeśli losy polityczne i urządzenia społeczne rozdzieliły je, to przecież w całym ciągu dziejów, w ogólnym na nie poglądzie, odrzuciwszy mniej znaczące szczegóły, znajdziemy zawsze jedność przeznaczeń dziejowych i jedność historycznego rozwoju. Wielu poetów składających piśmiennictwo dubrownickie, było rodem z innych miast dalmackich: Splet, Kottaro, Szybennik i inne miasta dostarczyły wielu znakomitych pisarzy zaliczonych w rzędzie dubrownickich: sam Marko Marulicz (nie mówiąc o wielu innych), a który nowy kierunek dał kulturze narodowej, był rodem ze Spletu, nie sposób więc jest mówić wyłącznie tylko o pisarzach dubrownickich; do grona ich wejść także muszą dalmatycy, których kierunek, treść i forma utworów w niczém się nie różnią od pisarzy dubrownickich.

Właściwe piśmiennictwo dubrownickie rozpoczyna Marko Marulicz (1450—1524), dawniejsze zaś zabytki pochodzące z nader odległej epoki, a obejmujące korespondencje z sąsiednimi ludami słowiańskimi, wszelkiego rodzaju umowy, układy i traktaty lub wreszcie dawne pomniki prawodawcze, wyszukiwane w dawnych archiwach miejscowych i pracowicie rozpatrywane przez dzisiejszych pisarzy chorwackich, w nie wielkiej są liczbie. Najdawniejsze z nich podobno, a niedawno odkryte (zapewne w późniejszych odpisach), pochodzą z lat 1030—1044 ¹⁾, jeszcze zaś dawniejsze zniszczone być musiały w 1024 roku podczas pożaru, w którym znaczna część miasta spłonęła; między innymi wspomniany przez latopisów dubrownickich pod rokiem 831, traktat przyjaźni i związku zawarty przez Dubrowniczów z jakimś banem trawuniskim. Pisma te ciągną się aż do ostatecznego upadku Serbii i Bośni ²⁾. W XV dopiéro wieku, Dubrownik i Dalmacya przyjąwszy cywilizację Zachodu, rozwijają własną literaturę we wszystkich jej gałęziach. Teologia, filozofia, matematyka i astronomia, filologia, historia, geografia i prawo, medycyna i nauki przyrodzone, jedném słowem wszystkie gałęzie nauk mają swoich przedstawicieli. Kukuliewicz w cytowanej już powyżej pracy, wylicza liczne grono pisarzy chorwackich we wszystkich działach, są to jednak suche tylko zapiski bibliograficzne, do których odsyłamy czytelników, przechodząc do historii poezyi dubrownickiej.

„Początek dubrownickiej, chorwackiej literatury, powiada professor Pawicz w swój historyi dubrownickiego dramatu, znajdujemy w Splecie; piérwsi pisarze są: Marko Marulicz i jego przyjaciele, Papalicz, Martynczycz, Natalicz, Bożiczewicz i Matulewicz, którzy jednak stoją w obec Marulicza, jak uczniowie względem nauczyciela. Starszych pisarzy i dzieł ich nie znamy i nie mamy o nich wiadomo-

¹⁾ Kukuliewicz: *Archiv* IV, 326.

²⁾ Obszerniej patrz *Jagieza*: *Književnost* I, 141 i następne.

ści, gdyż to co powiada Lukawicz, że Dubrowczanie jeszcze przy końcu X wieku opiewali w pieśniach czyny swoich bohaterów, odnosić się musi do pieśni ludowych, nie zaś do piśmiennictwa." Bez wzorów tedy, bez przykładów, rozpoczął Marulicz pisać swe poezye w języku narodowym, stan zaś polityczny Dalmacyi i Dubrownika nie sprzyjał bynajmniej rozbudzeniu piśmiennictwa. Odwieczna walka z Turkami, powiada Kukuliewicz, z rozmaitem prowadzona powodzeniem, ciągłe spory rodów szlacheckich, kłótnie z sąsiadami bośniackimi lub weneckimi, a jednocześnie niechęć i bunt ludu, oto są główne piętna owój epoki. Od kiedy Turcy zajęli Carogród (1453) i pokonali Serbią, Bośnią i Chercogowinę, olbrzymia ich potęga zwróciła się ku Węgrom, Wenecyi i Niemcom, a Chorwacya najczęściej wystawiona na ich pociski, zaledwie przy życiu utrzymać się mogła, rzadko otrzymując posiłki od swych chrześcijańskich sąsiadów; przeciwnie nawet, często się zdarzało, iż gdy Chorwaci bronili swoich wschodnich granic od Turków, Wenecyanie bruździli po stronie zachodniej.

Mimo to jednak, piśmiennictwo w zadziwiający sposób rozwijać się poczęło. Dualizmu języka, który wszechwładnie pod tę porę na całym Zachodzie panował, chorwackich także pisarzy na dwa obozy rozdzielił. Klasycyzm łaciński i język narodowy toczyły walkę ze sobą, w której pierwszy długo był zwyciężkim. Po łacinie pisano dla mędrców i erudytów, dzieła poważne, naukowe, poezye w formie klasycznej; w języku narodowym dla ludu i kobiet. Wartość dzieł jednych i drugich przeważała szalę na korzyść łaciny. Przykład szedł z Włoch, przejętych na wskroś czcią dla starożytnego klasycyzmu; u Chorwatów także pisano więcej po łacinie niż w języku narodowym, a w poezyi kierunek ten widoczniejszym był przez formę jaką nadawano utworom poetycznym. Po łacinie pisano epepeje, ody, elegie i epigramata, w języku narodowym układano pieśni liryczne i miłosne lub pobożne, dramata a niekiedy i satyry, choć tych ostatnich jest najmniej w literaturze dubrownickiej. Ztąd łatwy podział poetów i ich utworów: rozpoczniemy od łacińskich.

Najznakomitszymi owego czasu łacińskimi poetami chorwackimi, których sława i rozgłos szeroko się rozszerzyły, byli Jan Liudicz (1434—1472) i Elias Crievicz (1463—1520).

Pierwszy z nich Liudicz, był synem prostego stolarza, umarł biskupem w Zagrzebiu. Wykształcony na uczelniach włoskich uczeń Jana Gwarina, w ścisłych zostawał on stosunkach z najznakomitszymi mężami włoskimi, pisał elegie i epigramata stylem klasycznym, z wielką erudycją i wzniosłym duchem poetycznym.

Drugi Elias Crievicz, ulubieniec kardynała Aleksandra Farnése (potem papieża Pawła III) rodził się w Dubrowniku, gdzie też i umarł¹⁾. Rozpocząwszy studia w ojczystym swém mieście, dalej

¹⁾ W roku zeszłym D-r Raczycki napisał obszerne studjum o Crieviczu w Czasop. Starine, IV; 155—200.

je prowadził w Rzymie, dokąd pod tę porę tłumnie zdążyła młodzież dubrownicka, aby słuchać wykładów znakomitszych mistrzów, aby podziwiać geniusze wiedzy sztuki, aby wreszcie roznosić dalej odrodzoną starą kulturę, która świat cały przeobrazić miała pod względem wyobrażeń moralnych i politycznych, pod względem wiedzy i sztuki. W Rzymie Crieviz ucześniejszą najprzód do słynnego kolegium, założonego przez papieża Eugeniusza III, potem zawarłszy przyjazne stosunki ze znakomitymi uczonymi włoskimi, oddał się cały studiom nauk klasycznych i w tak młodym wieku zasłynął przez swe utwory poetyczne, że w osmnastym roku życia (podług Raczkiego w 22) ukoronowanym został poetą łacińskim na Kapitolu. Sława jego szeroki rozgłos miała, a gdy powrócił do Dubrownika, z największą czcią był witany. Pisał elegie, hymny, epigramata i t. d.

Inni poeci łacińscy z Dubrownika byli: Jakor Buszicz (ur. 1534), który w formie klasycznej epepej opisał życie Chrystusa. Wuk Bobalicz (1470), Piotr Menczetycz (1489), Angiejo Martinicz († 1520), Nikola Reticz (około 1500), który pisał także po włosku i kilku innych. Z Kotaro zasłynął był Ludwik Paskwalicz († 1550), uwieczniony poetą na Kapitolu, a którego pieśni miłosne drukowane w Wenecyi pod tytułem *Rime volgari* (1549) nadzwyczaj wysoko cenione były.

Mijamy innych mniej głośniejszych poetów łacińskich, a przechodzimy do poetów, piszących w języku narodowym, większe przedstawiających zajęcie. Porównywając jednak jednych i drugich, pierwszym oddać trzeba pierwszeństwo. Wykształcenie i ogłada łaciny, wytworne formy stylu, raz na zawsze przyjęte, wreszcie bogate zwory klasyczne, przy liczniejszem gronie czytelników, to wszystko ułatwiało poetom łacińskim z Dubrownika drogę już znaną i utorowaną. Przeciwnie zaś, poeci piszący w języku narodowym, którym brakowało wzorów, prawideł, zwalczać musieli liczne trudności, naginać język nie wyrobiony jeszcze, tworzyć dopiero formy i przepisy. Nadto poeci chorwaccy pisali dla małego kółka czytających, składającego się nieraz z samych tylko przyjaciół; utwory ich najczęściej w rękopisach zostawały, a o sławie i uznaniu i mowy być nie mogło. Z tych więc powodów nie dziw, że do niedawna jeszcze wiele utworów poetów chorwackich zupełnie nie znanymi były.

Dubrownik i Splet przodowały w tym ruchu literackim Dalmacyi i o obu tych miastach powiedziećby można to, co o Dubrowniku śpiewał Jan Vidal w XVI wieku:

Dubrownik gród świetny i sławy szerokiéj,
Łask swoich Bóg jemu udzielił obficie.
Dubrowczan obdarzył i prawem i prawdą,
Wszelkiego udzielił bogactwa i mienia.
Sława jego rozgłośna i wszędzie on słynie,
Chorwaci koroną miast swoich go zowią.

Pierwszy poeta, który rozpoczyna długi szereg pisarzy narodowych był Marko Marulicz (ur. 1450 † 1524). Jednocześnie prawie pojawiają się także: Szyszko Menczetycz (1457—1501), Giore Drzyycz (około 1460), Marco Vetranicz (1482—1576), Hanibal Luczicz († 1530) i Piotr Hektorowicz (1486—1572).

Marko Marulicz pochodził ze staréj szlacheckiej rodziny chorwackiej, pierwsze nauki odebrał w Splecie, potem wedle przyjętego zwyczaju, udał się na wyższe studia do Padwy, gdzie głównym jego nauczycielem był Picentini, szczególnie w języku greckim. Inni jego nauczyciele byli: Polla Fizmianus, Fideo Acciaveni i J. Jenesio. Młody Marko rychło znaczne zrobił postępy, biegłym był szczególnie w łacinie, filozofii, poetyce i wymowie. W 22-im roku życia, w imieniu studentów padewskich witał dożę weneckiego Nikola Marcelia znakomitą mową, która w podziw wprawiła słuchaczy.

Jak długo przebywał Marulicz w Padwie i kiedy do ojczyzny powrócił nie wiadomo, szczegóły bowiem jego życia są mało znane. Skromny i cichy, prowadził on życie samotne, oddając się praktykom religijnym; dużo się modlił, pościł i hojnie wspierał ubogich. Wszystkie téż pisma jego noszą cechę głębokiej pobożności. W podszym już wieku czas dłuższy przepędził w Rzymie, gdzie zbierał starożytne napisy; potem chcąc zupełnie usunąć się od świata, zamieszkał w monasterze „*u głuhoj dolini*“ niedaleko Spletu. Po dwuletniu tam pobyciu, powrócił do domu, gdzie dożywszy sędziwego wieku, umarł 1524 roku.

Dzieła Marulicza pisane prozą, rozdzielić się dadzą na teologiczne, filozoficzne i historyczne. Tu należy *Evangelistazium* dzieło osnute na trzech przedmiotach: wierze, nadziei i miłości; drugie, stanowiące jakoby encyklopedyę nauk moralnych (*De institutione bene beate vivendi*) dużo razy tłumaczono na wiele języków, okazuje iż autor znał dokładnie nie tylko Pismo Święte, lecz greckich i łacińskich pisarzy a głównie historyków kościelnych; dalej *Regum Dalmatiae et Croatiae geste*, oraz *Inscriptiones Salonitanae antiquae*, nie mówiąc o wielu pomniejszych. Poezye jego łacińskie obejmują hymny, ody, pieśni heroiczne, epigramaty, napisy nadgrobné; przedmiot do nich brany zwykle z Pisma Świętego lub żywotów świętych. Jeśli zaś polot poetyczny nie wszędzie jest utrzymany, za to klasyczne formy układu i stylu nadzwyczaj piękne.

Z utworów poetycznych Marulicza, pisanych w języku narodowym, najprzód wymienić należy „*historyę Judyty*” i „*historyę Zuzanny*”. W obu tych pieśniach przedmiot wzięty z Pisma Świętego, opisany gładkim potoczystym wierszem; forma poematów epicznych zachowana, nie wszędzie jednak jednostajnym jest duch poetyczny, choć nie brak miejscami pięknych i wzniosłych ustępów, które zjednały autorowi nazwę „boskiego poety” jaką obdarzył go współczesny mu Ariost. Tak np. w modlitwie Judyty przed zabicim Holofernesa piękne są ustępy:

Boże! daj niech spełnię, co jest godnym Ciebie,
 Łaski swój nie odmów, pokrzep służbę twoją;
 Strach odemnie odejm, dźwignij rękę moją!
 Niechaj spełnię dzieło, które myśl na płodzi,
 Niech się Ciebie boją, ludy i narody!...
 Teraz, teraz pada Twój gród Jeruzalem,
 Wybaw nas z niewoli, wybaw lud Twój, Panie,
 Niechaj ci upadną, co się wywyższają,
 Pokój daj cierpiącym, co się poniżają!...
 I we dnie i w nocy będę chwalić Ciebie,
 Gdy z Twoją pomocą spełnię dzieło wielkie...

Z głową Holofernesa Judyta wracając do miasta, stanąwszy przed bramą, woła do swoich:

Otwórzcie! otwórzcie! teraz Bóg jest z nami!
 Otwórzcie! otwórzcie! bo Bóg wszechmogący
 Swój naród wybawił, Swą pomoc udzielił,
 Nieczystych ukarał, nas łaską obdarzył.

W szóstej pieśni godną uwagi jest mowa Eliakima wielkiego kapłana świątyni do Judyty!

Oprocz powyższych pieśni większych rozmiarów, Marulicz napisał dużo drobnych poczty pobożnych a także przełożył wierszem z łacińskiego, „*Nauki mądrego Katona*”. Kto był rzeczywiście autorem tego utworu niewiadomo, pewnym jest tylko że w VIII już wieku ogólnie był znanym. Jako piękne prawidła i przepisy życia moralnego: „*Nauki Katona*” rozpowszechnione były na całym Zachodzie i na wszystkie języki tłumaczone, przekład zaś chorwacki Marulicza był już drugim, gdyż pan Kukuliewicz wynalazł rękopism gągolicki z 1468 roku w prozie pod tytułem: „*Knige Kata mudroga*.”

W zbiorze pieśni Marulicza (wydanym przez Akademię południowo-słowiańską w Zagrzebiu), znajdujemy jeszcze dużo innych pieśni, pisanych zawsze w duchu pobożnym, o Chrystusie i Przenajświętszej Dziewicy, dla której nasz poeta szczególne miał nabożeństwo; dalej „*Męka Chrystusowa*” i „*Naśladowanie Chrystusa*” w którym przedstawiony jest chrześcijański cel życia. Dwie zaś innego rodzaju pieśni: „*Tużenie grada Hieruzolima*” i „*Modlitwa sapatira Turkom*” uważać się mogą za historyczno-polityczne, w których autor dobitnie przedstawia smutny stan Chorwacyi, gnębionej przez Turków. Z głębokim przejęciem i rozpaczą woła poeta:

Wszechmocny Boże! który światem rządzisz,
 Gniew Twój od nas odwróć, zlituj się nad nami!
 Wstrzymaj swe karanie, spójrz na wierny naród,
 Co ciagle gnębiony turecką przemocą.

Wsie, sioła i miasta w płomieniach pożarów,
 Mężowie i żony w więzach prowadzeni,
 A dzielni junacy przez wroga pobici...
 Następują na nas, trwoga nas przejmując,
 Już naród Twój ginie, a tyś Go odstąpił..
 A oni nas więżą, pędzą do niewoli,
 Na nic nie zważają, ni na Twoją wiarę.
 Ale ty o Boże! grzechy nam odpuścisz,
 Niech lud Twój nie ginie, okaż zmiłowanie;
 Łaski Swój nie odmów i złam miecz pogański,
 I nie daj zatracić ostatek chrześcijański.

Tego rodzaju utwory wszędzie się pojawiły w owój epoce: wszelkiego rodzaju pisma, odezwy, wiersze i t. d. wzywały Chrześcijan do powszechnej walki z niewiernymi. Zamierzana i zawsze przygotowywana wyprawa powszechna na Turków, była na porządku dziennym: papieże wybierali składki i daniny, władze świeckie zgromadzały wojska, poeci opiewali grozę i obawę wzniecone w Europie przez potęgę wielkiego Solimana, wszyscy widzieli konieczność oporu. W Polsce jednej mniej może pisano, lecz brano się do rzeczy, a sąsiedzi chrześcijańscy, okrom obietnic i przyrzeczeń nie wiele się troszczyli czy przyległe kraje słowiańskie będą w stanie oprzeć się nawale tureckiej. Ta pieśń Marulicza, to skarga całego narodu na ucisk i kłębki jakich doznawał, napróżno kołatając nieraz o pomoc i wsparcie. Tenże sam Marulicz napisał był pierwój list do papieża Adryana VI, w którym opisując smutny stan Dalmacyi, zagrożonej przez potęgę turecką, przytem niedostatek obrony, wystawiał niebezpieczeństwo, grożące Węgrom, Wenecyi i całym Włochom i błagał papieża, aby wezwał ludy chrześcijańskie do wspólnej obrony. Ale głos jego był głosem wołającego na puszczy, tak jak wielu innych przed nim i po nim.

Ostatni wreszcie dział poezyi Marulicza, obejmuje pieśni humorystyczno-satyryczne. Rodzaj ten średniowiecznej komedyi znany był we Francyi i we Włoszech pod nazwą: *frottola*, *farsa*, *contrasto*, *sottie*, *farce*, w Polsce zaś rozpowszechniony został w pierwszych latach XVI wieku, w tym jednak rodzaju nie wiele pisał Marulicz. Do tegoż działu zaliczymy tak zwane „*prikazanja*“ z tą tylko różnicą, że te ostatnie zakrawają na poważniejszy już dramat. We Włoszech zwano je *Rapresentazioni*, *Festa*, *Commedia Spirituale!* w Niemczech *geistliche Schanspiele*, gdyż przedmiot do tych najpierwszych przedstawień scenicznych, wzięty był z Pisma Świętego, życia świętych i t. d. Ze względu na przedmiot, utwory te zwano *Misterja*, jeśli przedstawiały życie Chrystusa i mękę Jego, *Miracoli*, *Sloia*, *Esempio* jeśli przedmiotem ich były czyny lub męczeństwo świętych. Sztuki te przedstawiane były ludowi na placach publicznych przed kościołami, czasem w obecności królów, na uroczystościach narodo-

wych i t. d. Tak np. podczas wesela Zygmunta Augusta z Elżbietą przedstawiono na zamku krakowskim „*komedye i maszkarę*.“ O ile wiemy, pierwsze tego rodzaju przedstawienie miało miejsce w Polsce w 1506 roku. W tym jednak rodzaju Marulicz mało pisał. Jego „*Historje św. Panucyje*“ i dwie drugie sztuki są przekładem z włoskiego.

Współczesny Maruliczowi, Szyszko Menczetycz (Mensius), pochodził z jednej z najznakomitszych rodzin dubrownickich, pierwotnie z Rzymu przybyłyj. O życiu jednak Szyszka żadnych prawie szczegółów niema; Kukulewicz i Ljubicz powiadają, że przez lat siedem czy ośm stałe chował uczucia dla jakiejś Laury Dubrownickiej i wszystkie swe pieśni miłosne dla niej układał; nie wiadomo jednak kto była owa opiewana przez Menczetycza piękność, a może nie jednąj składał hołd uwielbienia w swych rymach, gdyż spotykają się w wierszach jego imiona: Kata, Katarina, Katarinica, Marya, Mandalena, Margeta, Nika, Pera i t. d. W każdym razie pieśni Menczetycza, dźwięczne i giętkie, niekiedy silne i namiętne, a zawsze pełne prawdziwej poezyi i uczucia, są najpiękniejszym objawem poetycznej twórczości Dubrowczan.

Giore Drżycz zostawił dużo pieśni miłosnych z téjże saméj epoki. Tyle tylko wiemy o nim, że nieszczęśliwa miłość dla młodzieńckiej córki Menczetycza, zaagłała go wstąpić do klasztoru; pieśni jego tęskne i rzewne opłakują smutne jego losy i zawiedzione uczucie.

W innym rodzaju zaskłynął pod tę porę Mavro Vetranic Cvavčie (ur. 1482, † 1576), także patrycyusz Dubrownicki. W młodym wieku wstąpiwszy do klasztoru Benedyktynów, był ich opatem około 1520 roku, ale potem opuściwszy swój klasztor, zamieszkał w jakimś monasterze na odludnej wysepce na morzu, gdzie pustelnicze wiodł życie, zachowując tylko piśmienne stosunki za swymi przyjaciółmi i dalej prowadząc swe prace literackie. Oprócz poezyi pisał także traktaty teologiczne, moralne i t. d. Odgłos jednakże wielkich wypadków współczesnych, które wstrząsły światem całym, dochodził do pustyni Vetranicza. Reforma kościoła, groźne wzmaganie się potęgi tureckiej, za rządów Mahometa i Solimana II, odkrycie Ameryki przez Kolumba, wszystko to wspomina Vetranicz w pismach swoich, rozbierając ważność zaszyłych wypadków, i znaczenie ich dla dziejów ludzkości. Umarł w późnym wieku, 1576 roku.

Vetranicz zostawił cztery dzieła dramatyczne. Oprócz Hekuby Eurypidesa, tłumaczonej z przekładu włoskiego, napisał *Ofiarę Abrahama*, *Zmartwychwstanie Chrystusa* i *Czystą Zuzannę*.

W *Oferze Abrahama* poeta ściśle się trzymał podania Pisma Św.. Jest to już zupełny dramat, znacznie wyżej stojący od współczesnych „*prikazanji*“ a rozpoczynający długi szereg utworów dramatycznych poetów dubrownickich. Znakomicie tu jest oddany charakter matki Sary, jak również pokora i posłuszeństwo sługi bożego

Abrahama. Boleść matki za synem wybornie odmalowana, wprawdzie Sara nie wie że ojciec prowadzi syna na ofiarę, Abraham zataił to przed nią, ale przeczucie matki odgaduje coś złowrogiego, gdy wśród ciemnej nocy Abraham każe jej budzić Izaaka, aby szedł z nim razem na górę ofiarną. W czwartym akcie napróżno sługi pocieszają Sarę, boleść jej jest niepocieszona, a dyalog znakomicie pigkuy; jest to raczej monolog, bo nie zważając na obecnych przemawia sama do siebie, do syna nieobecnego:

O! drogi mój synku! duszyczko kochana!
 Prześliczny jelonku z nad łąki zielonój,
 Kto ciebie przepłoszył i z matką rozdzielił?
 Orle złoto-pióry! dokądś uleciał,
 Kto w serce matczyne srogi strzał wymierzył?
 Pawiu pozłacany! gdzieś zaszedł, zabłądził?
 Już mija dzień trzeci, jak matka samotna.
 Mój siwy sokole! pociecho jedyna
 Cóż matkę ukoi, jej serce utuli?
 Jastrząbku wesoły! na Boga mi powiedz,
 U jakiej dąbrowy, gdzie jesteś w tej chwili i t. d.

Równie też piękna jest modlita Abrahama (w I akcie), gdy przyszedłszy z Izaakiem na górę ofiarną, spełnić ma smutną ofiarę. Lekkość wiersza i piękność języka odznaczają ten utwór Vetranicza; najniżej też tu jest próżnych retorycznych deklamacyi, które znajdujemy w drugich dwóch dramatach, wyżej wymienionych, a znacznie słabszych. Z innych jeszcze utworów poetycznych Vetranicza, zasługuje na wzmiankę poemat *Remeta*, w którym opisuje swe życie samotne na wyspie, i *pielgrzym* (Pelegriu), w którym maluje kraj rodzinny, Dubrownik i inne miasta. Wreszcie ostatnią jego pracą była *Italia*, gdzie występując jako patryota włoski, pragnie dla kraju tego swobody, sławy i niepodległości.

Do pierwszego tego okresu poezyi Dubrownickiej doliczyć jeszcze potrzeba Luczicza i Hektorowicza; pierwszy za przedmiot do swego poematu *Robinja* wziął walkę Chorwatów z Turkami, a w poemacie *Pochwała Dubrownika* wychwala swój gród rodzinny. Drugi, Piotr Hektorowicz, w poemacie swym „*Itanij*“ posiłkował się już poezją ludową.

Drugi okres poezyi narodowej dubrownickiej, w którym dosięgła najwyższego stopnia rozwoju, tak pod względem form zewnętrznych, jak też pod względem wewnętrznej wartości, rozpoczyna Czubranowicz a kończy Gundulicz, obok nich zaś widzimy liczne grono innych poetów; wymienimy tutaj głównejszych z pomiędzy nich:

Andrzej Czubranowicz (zmarły około 1550 roku), ogromną zjednął sobie sławę poematem komicznym *Cyganka (Jedjupka)*, który niezmierne miał powodzenie, współczesny mu zaś Mikołaj Nalesz-

kowicz (1510—1586), naśladowca i wielbiciel Tassa, oprócz siedmiu komedyi i dwunastu dramatów, pisał pieśni erotyczne, nadzwyczaj wysoko cenione podówczas. Maryan Darzycz (1520—1580) napisał także kilkanaście sztuk dramatycznych, z których najlepszą być miała komedia *Tirena*. Wspomnieć tu jeszcze należy o Dinku Ranjina (1536—1607), który czas jakiś piastował godność rektora Rzeczypospolitej, oprócz przekładów z Marcyala, Tybulla, Propercyusza i innych poetów starożytnych, zostawił dużo pieśni miłosnych, które odznaczają się gładkością wiersza i czystością języka. W tym samym rodzaju odznaczył się także Dinko Zlaticz († 1610), tłumacz Aminty Tassa, i Elektry Sofoklesa.

Najznakomitszym jednak poetą dubrownickim owéj epoki był Jan Gundulicz (1588—1638), bo potomek znakomitej rodziny dubrownickiej, z której kolejno było czterech rektorów Rzeczypospolitej, a potem jeden z wnuków naszego poety walczył w szeregach Sobieskiego pod Wiedniem. Gundulicz wykształcony na uniwersytetach włoskich, rozpoczął swój zawód przekładem „Jerzolimy wyzwolonej” Tassa, w którym podziwiać należy harmonią i melodią wiersza. Oprócz wielu sztuk dramatycznych (*Ariadna*, *Porwanie Prozerpiny*, *Galatea*, *Diana*, *Armida* i wiele innych), najwięcej cenioną była jego epepeja *Osmanida*, której przedmiotem była wojna Polski z Turcyą w 1621 roku ¹⁾. Z dwódziesięciu pieśni, składających ten poemat, dwie zaginęły i później dorobione były przez jego wnuka. Inny poemat Gundulicza: *Łzy marnotrawnego syna*, również wysoko był ceniony; z poematu tego dajemy tu ustęp w przekładzie hr. Leona Potockiego.

Kiedym niestety, porzucił dom drogi,
Kraje, pustynie, zwiedzałem;
Wszędzie rozkoszy szukałem!
Znalazłem smutek, gorycz i jad srogi:
Gdy niebo dotąd się chmurzy,
Pozostałem jak drzewo ścięte wśród burzy.
Mojego życia chwile są świadkami,
Co świat? co są jego dary?
Wszędzie niewinne ofiary!
Tam kaźden uśmiech płacić trzeba łzami,
Tam pociecha zdradę mieści,
I wśród szczęścia gotuje lub śmierć lub boleści.
Gdy pocałunkiem upaja i truje,
Uściskiem życie odbiera,
Zasłużoną chwałą zdziera;
Co było trwałem, niweczy i psuje,

¹⁾ Obszerzenie o Gunduliczu i jego dziełach patrz Bibl. Warsz. z 1841 roku, tom IV str. 265; tamże znajduje się w przekładzie polskim ustęp z 9-éj pieśni *Osmana*.

Różne kształty na się bierze,
Jak to powietrzem tylko karmiące się zwierzę ¹⁾.

Tak nieraz w życiu bez trwogi, bojaźni,
Z całego serca ufamy,
Bo jeszcze tego nie znamy
Co to pochlebstwo, co pozór przyjaźni!
Że przyjacielska dłoń szczera,
To samo dzisiaj ściska, co jutro rozdziera.

Tak i ocean wśród ciszy, pogody,
Wabi żeglarza z nad brzegu;
Niechaj go uchwyci w biegu:
Wnet go okrąża wskroś słonemi wody,
A bałwanów wściekłość wrząca,
Przepaść pod nim otwiera i w przepaść go wtrąca.

Od czasów Gundulicza aż do ostatnich lat istnienia politycznego Rzeczypospolitej dubrownickiej nie znajdujemy już równie znakomitych poetów, i piśmiennictwo dubrownickie chyli się do upadku. Chwilowo podtrzymuje je jeszcze Junius Palmoticz (1606—1657), który oprócz wielu sztuk dramatycznych, opartych na tradycjach starożytnego klasycyzmu, napisał także kilka utworów, których przedmiot wzięty był z życia narodowego; i tak: tragedję *Pawlimir*, dramat *Zapłistawa* i kilka pomniejszych. Inni współcześni poeci dubrownicy byli: Jakób Palmotycz († 1680), który napisał poemat *Dubrovnik ponovljen*, na pamiątkę trzęsienia ziemi, 1663 roku, które zniszczyło znaczną część Dubrownika; Władysław Minczeticz; Piotr Kanawalewicz autor pieśni na cześć Jana Sobieskiego; Jan Gundulicz, Mauro Orbin i wielu innych; żaden z nich jednak nie wyrównał swym poprzednikom.

W pierwszych latach XVIII stulecia zasłynął w poezji dubrownickiej Ignacy Dziordżicz (zmarły 1737 roku), odznaczający się nadzwyczajną erudycją i niezwykłą płodnością pióra. Pisał on po łacinie, po włosku, w języku narodowym i zostawił mnóstwo rozmaitego rodzaju utworów poetycznych. I następców jego godzien uwagi jeden tylko pisarz dubrownicki, Andrzej Kaszicz-Mioszycz (zmarły 1760 roku), zbieracz podań i tradycyi ludowych. W formie poetycznej przedstawił on całą historję narodu, podania jego, tradycye i wspomnienia, i wydał pod tytułem: *Razgovor ugodni naroda slovinskogo*. Dzieło to miało kilkanaście edycji, i nadzwyczaj wysoko jest cenione. Od czasów Kaszicza znajdujemy w Dubrowniku samych tylko tłumaczy i kompilatorów, lub od czasu do czasu jakąś pracę oryginalną, po większej części w zakresie religijnym.

¹⁾ Kameleon.

Wszystko to jednak wyrównać nie może dawniejszym utworom poetów dubrownickich. Upadek wreszcie Rzeczypospolitej, ostateczny cios zadał piśmiennictwu dubrownickiemu, które tak świetnych miało przedstawicieli w XVI i XVII stuleciu.

Żylińce, 27 kwietnia 1874.

FILIP KALLIMACH ¹⁾.

PRZEZ H. ZEISSBERGA.

Z niemieckiego przełożył K. P.

I.

Filippo Buonaccorsi da Gemignano, zwany *Callimachus*, urodził się 2 maja 1437 roku w *San Gemignano* we Florenckim, zkąd też mylnie Florentczykiem nazywany bywa. Jak sam powiada, rodzina jego pochodziła z Wenecyi. Ojciec jego nazywał się *Piero d'Angiolo di Cristoforo di Neri Buonaccorsi*, a trzech bracia, *Francesco*, *Ettore* i *Matteo*, z których pierwszy, w biografii przezeń napisanej, nazywa się hrabią (*conte*), mówcą i poetą. W rozmaitych swych pismach autor nasz nazywa się jeszcze „*de Thebaldis*;" niektórzy mniemają, iż matka jego z tego domu pochodziła. Zresztą rodzina Buonaccorsich zdawna znakomitą była w S. Gemignano. *Angelo Coppi*, który w 1535 roku pisał kronikę rodów szlacheckich w S. Gemignano, uważał *Bazochich* za jeden zę znakomitszych rodów, cizaś być mieli późniejszymi Buonaccorsi.

W młodościanym wieku znajdował się Filip Buonaccorsi w Rzymie, w szkole Pomponiusza Laeta, gdzie oddawał się naukom humanitarnym i gdzie przezwany został Kallimachem, ze względu może na jego talent liryczny. W szkole téj spotkał się z Platin'em, znanym autorem Historji papieży, a który zalecił go kardynałowi Ja-

¹⁾ Podajemy czytelnikom Biblioteki Warszawskiej życiorys Filipa Kallimacha wyjęty z obszernego dzieła p. H. Zeissberga: *Die polnische Geschichtschreibung des Mittelalters*, uwiecznzonego przez Towarzystwo księcia Jabłonowskiego w Lipsku (23 marca 1872). Autor znany już z kilku innych gruntownych prac w zakresie historii i literatury polskiej, przedstawia tu w oznaczonej epoce historję dziejopisarstwa w Polsce, życiorysy znakomitszych historyków, oraz dzieł ich krytyczny rozbiór. Wybrany ustęp o Kallimachu, opracowany na podstawie rękopismów znajdujących się w bibliotekach włoskich, po raz pierwszy przez H. Zeissberga użytkowych, przedstawia wiele ciekawych a nieznanych szczegółów o włoskim przybyśzu, którego imię tak ściśle jest związane z przeważnemi faktami dziejów polskich z końca XV wieku.

kóbowi Piccolomini i reverend. dom. Ravennas. Potem jednak między Platin'em i Kallimachem nastąpiło nieporozumienie dla przy czyn nam nieznanym.

Duch pogański, który panował w szkole Pomponiusza, i mrzonki polityczne, wymierzone przeciwko papieżowi Pawłowi II, tak nieprzyjaźnie usposobionemu dla humanizmu, zmusiły go do przesładowania rzymskiej akademii. Pod pozorem sprzysiężenia przeciwko niemu, członkowie jej, podczas karnawału 1468 roku, zostali uwięzieni i pod sąd oddani. Nie naszym jest zadaniem roztrząsać szczegóły tej katastrofy, dotąd niewyjaśnionej, takowa albowiem z tego tylko względu przedstawia dla nas zajęcie, iż w liczbie oskarżonych znajdował się także Kallimach. Udział jednak jaki przyjął on w tej sprawie, dokładnie znanym nie jest, i nie jesteśmy w stanie go rozjaśnić, ani z podać niezupełnie wiarogodnego a współczesnego mu Michała Cannesiusa, który napisał życie Pawła II w duchu nader stronnictwym, ani ze świadectw Platin'a, który był w liczbie oskarżonych akademików, ani wreszcie z samych pism Kallimacha, które ze względu na wmieszanie go w tę sprawę, z wielką oględnością używać należy.

Kallimach znajdował się w liczbie tych, którzy przez ucieczkę uniknęli więzienia, i szczęśliwszym był od swych towarzyszków Petrejus, który powtórnie był schwytanym i Pomponiusza, który z Wenecji do Rzymu dostawiony został. Platina, Pomponius Laetus, Petreius i inni akademicy, a także bracia i krewni Kallimacha, wszyscy byli uwięzieni i badani.

Platina w „Życiu Pawła II“ obszernie opisuje swoje uwięzienie i wysłuchanie. „Przyprowadzono mnie, opowiada on, przed Pawła, który zaledwie mnie zobaczył, zapytał: „Jako? więc ty śmiałeś przeciw mnie spiskować z Kallimachem?“ na co ja w poczuciu mojej niewinności odpowiedziałem, że żadnych z nim nie miałem stosunków. W najwyższym stopniu oburzony, groził mi torturami i śmiercią, jeżeli nie wyznam wszystkiego; wystawiłem mu więc powody, dla których uważałem Kallimacha niezdolnym do tego, o co go posądzano, gdyż nie posiadał potrzebnej energii, wymowy, odwagi, rozumu, środków, stronników, broni i pieniędzy. Miał bowiem mało rozumu, lubił sypiać dłużej jak P. Lentulus, a z przyczyny tłustego żołądka, leniwszym był od L. Crassusa. Zresztą nie był biskupem, mogącym utorować sobie drogę do pontyfikatu przez zamordowanie Pawła. Bo i rzeczywiście, cóż mógł zrobić Kallimach? do czego się ośmielić? Czy z językiem i kułakiem gotował się do walki? Czy dla przeprowadzenia tak wielkiego występku miał gotowych już ludzi, któremi mógł się posługiwać? Z pewnością że nie, a towarzysze jego ucieczki, Glaucus i Petrejus innymi także nie byli.“

Z ustępu tego widocznym jest, co też w dalszym ciągu swego opowiadania, sam Platina przyznaje, że gorzka nieprzyjaźń poróżni-

ła go z Kallimachem. W zupełnej jednak sprzeczności z powyższem podaniem, znajdują się inne tegoż Platin'a świadectwa: „Któż mógłby uwierzyć, pisał on w liście do kardynała Bessarion, że głupie mrzonki jednego Kallimacha, któremi gardziliśmy i które wyśmiewaliśmy, mogły nas wciągnąć w takie nieszczęście? Biada nam nieszczęśliwym, którzy dla czyjéjsz głupoty i szaleństwa pokutować mamy, i za to żeśmy nie wykryli mrzonek tego głupca, będziemy teraz torturowani i więzieni.“

Gdy więc Platina przy badaniach był torturowany, Kallimach i Petreius uchodzili z Rzymu.

„Przyznaję, opowiada sam Kallimach w późniejszym swym liście, pisanym do wojewody sandomierskiego Derśława z Rytwian, iż wówczas w Rzymie rozeszły się były fałszywe wieści, że uknuł spisek na życie papieża; lecz jednocześnie gdy uwiadomiono go o tém i ja także przestrzeżony byłem. Przerażony ogromem niezasłużonego oskarżenia, zrazu ukryłem się był, ale widząc iż sprawa ta przybierała coraz większe rozmiary, uciekłem potajemnie do Apulii. Papież nie mogąc mnie znaleźć, kazał mego brata a później przyjaciół moich uwięzić, wszystkie moje papiery i wszystko co miałem zabrać. Gdy naprózno mego brata i drugich poddawał torturom, a od żadnego z nich nic wydobyć nie mógł, wówczas aby nie być oskarżonym o lekkomyślne postępowanie, wszystkich ich zatrzymał w więzieniu na Engelsburgu. Jednocześnie, aby mnie schwytać, wysłał za mną Kaspra Chilicusa z kilku siepaczami. Ten ostatni zastał mnie w Trani w Apulii, nic jednak wymódz nie mógł od miejscowej władzy. Ztamtańda udałem się na dwór króla sycylijskiego. I tam także przyjechał on za mną, żądając abym był uwięziony. Gdy jednak otrzymać nie mógł tego co żądał, wyjechał do Rzymu zapowiadając iż papież użyje chociażby klątwy nawet, a zmusi króla aby mnie wydał. Gdy wreszcie po wysłuchaniu mego brata i moich przyjaciół, przekonał się papież, że podejrzenia jego nieuzasadnione były, zaprzestał dalszych poszukiwań i więcej już sprawy téj nie podnosił. Nic o tém nie widząc, popłynąłem do Grecyi, najprzód do Krety, a potem do Cypru, dokąd wraz ze mną przybyły wieści o całej mojej sprawie. Na Cyprze przebywał pod tę porę biskup biraceński (*episcopus byracensis*), legat papieżki, któremu poleceniem było zawarcie układów względem małżeństwa między królem wyspy a córką despoty Peloponezu. Legat ten natychmiast zażądał od króla abym mu był wydany, król jednak, dbały o swoją godność, nie chciał tego uczynić; legat przyrzekał mu nawet koronę królewską, dotąd odmawianą. Co więc, na przyszłość zabronił mu nawet w swéj przytomności mówić o mnie, przyrzekł mu tylko, że wydali mnie ze swego państwa, i wyznaczył mi termin, w ciągu którego dokąd zechcę mogę wyjechać. Wówczas udałem się na wyspę Chios, którą po kilkudniowym pobycie opuściłem, gdyż nie wiedząc jeszcze jaki obrot weźmie sprawa moja we Włoszech, chciałem zna-

leżć pewne schronienie, gdziebym mógł żyć spokojnie i bezpiecznie. W ten sposób przybyłem do Konstantynopola. Tutaj od podróżnych, przybywających z Włoch, dowiedziałem się że brat mój i krewni moi oddawna już wypuszczeni są na wolność, a majątek mój zwrócony, i że bezpiecznie powracać mogę, na co też pozwolenie wystane było za mną do Cypru. Myślałem tedy o powrocie do ojczyzny, gdyż zwyczaje i obyczaje ludzi, wśród których żyć musiałem, w wysokim stopniu były mi przeciwne. Wreszcie przybyłem do waszego kraju (do Polski), ażeby raz już Włochy opuściwszy, więcej jeszcze krajów poznać, wasz zaś zajmuje nie ostatnie miejsce wśród innych.“

Jakkolwiek krótkim był pobyt Kallimacha na wyspie Chios, to przecież poraz pierwszy doznać tam musiał przyjaznego przyjęcia. Ślad jego pobytu na tej wyspie zachował się w nadzwyczaj ciekawym rękopiśmie, który niedługo potem spisany został, a obecnie znajduje się w bibliotece laurentyńskiej we Florencyi. Rękopim ten spisał w 1473 roku w Chios Mikołaj Ugolinus. Zawiera on między innymi poczye Kallimacha i innych osób mających stosunki z Ugolinem, jak np. Marka Antoniusa Romanusa, tego samego zapewne, który w Rzymskiej akademii miał nazwę *Asclepiades*, i schroniwszy się na wyspę Chios, zmarł tam w młodym wieku, mniej więcej w czasie, w którym powstał nasz rękopis; znaduje się w nim bowiem żałośna pieśń Kallimacha na śmierć przyjaciela. Oprócz tego znajdujemy tu także cztery listy Kallimacha, pisane jak się zdaje z Konstantynopola do Baptysta Pacteriusa, który w tymże czasie przebywał na wyspie Chios. Nie wielki ten zbiorek poczyi, otwiera wiersz Kallimacha do Franciszka Ugolina, przy końcu zaś drugi, takż sam znajduje się. Ten Franciszek był zapewne krewnym Mikołaja, który ten zbiór ułożył, i jeden drugiemu polecił był Kallimacha. W pierwszej z tych dwóch pieśni, najpiękniejszej może ze wszystkich, jakie napisał Kallimach, w pięknych obrazach maluje on przygody, które jak drugi Ulisses w ciągu swęj wędrówki doznał, oraz przyjacielskie pożegnanie, gdy postanowił udać się aż nad brzegi Tanaïs. Jest to ta sama pieśń, którą potem zmieniwszy cokolwiek i dodawszy dokończenie swęj podróży, Kallimach przypisał ukońchanęj swęj Fanii.

Z obu tych pieśni, do Franciszka Ugolina i do Fanii, mniej więcej przynajmniej, obliczyć możemy czas pobytu Kallimacha w Konstantynopolu i przybycia jego do Polski. W pierwszej powiada on, że po dwakroć już rolnik orał i zasiewał pola, od kiedy Kallimach opuścił brzegi Lawinii. W drugiej zaś wspomina o „poczwórnych orance i żniwach.“ Że zaś Kalimach na początku 1468 roku z Rzymu uciec musiał, zatem przebywał w Konstantynopolu w drugiej połowie 1469, a przybył do Polski zapewne w pierwszej połowie 1470, a drugą pieśń ułożył w 1471 roku.

Oprócz przyczyn swojej podróży do Polski, które wyłuszcza sam Kallimach w powyżęj przytoczonym liście, to jest powszechnęj

współczesnych humanistów żączy podróży i wiedzy, Jovius powiada że Kallimach wiedząc o nieprzyjaznym usposobieniu króla Kazimierza względem papieża Pawła II, spodziewał się znaleźć opiekę na dworze jego, a Brutus dodaje, że przyczyną tego nieporozumienia było stanowisko papieża w kwestyi czeskiej, nieprzychylnie królowi. Niemniej także do podróży jego do Polski i to także przyczynić się musiało, że znajdował się tam Ainolfs Tedaldi, krewny Kallimacha, a jak się zdaje, kupiec, do niego też nasz poeta udał się najprzód.

Niewiadomym jest w jaki sposób Kallimach dostał się na dwór arcybiskupa lwowskiego Grzegorza z Sanoka, zapewne w skutek polecenia humanistów miejscowych. Do Lwowa przywiązało go wkrótce serdeczne uczucie dla wspomianej przezeń we wszystkich pismach Fanii Swentocha. Nic jednak o niej nie wiemy, oprócz tego co sam Kallimach o niej wspomina. Wychwala on nie tylko jej bogactwo, ale także szlachetne pochodzenie. W historyi Władysława III, przezeń napisanej, wymienia on jej dziada Leszka Bobricius (=Bobrek) i wraz z Grzegorzem z Sanoka zamieszcza go w rzędzie polskich magnatów, którzy towarzyszyli Władysławowi w jego pochodzie do Węgier. W wierszach Gallusa, nazywa ją „Bobritia.“

Mimo jednak iż gościnność, przyjaźń i miłość tak mu się uśmiechały, dnie smutku i niepewności jeszcze nie skończyły się były dla naszego wędrowca. Na sejmie w Piotrkowie, który w dzień św. Szymona i Judy (28 października) 1470 roku otwarty został, przybył Aleksander, biskup Forlijski, poseł papieża Pawła II, głównie w celu załatwienia spraw czeskich; jednocześnie, pod pozorem iż Kallimach uknuł był spisek na życie papieża, zażądał wydania jego. O przebiegu jednak układów, które w skutek tego prowadzone były w Piotrkowie, niedość jasne mamy wzmianki w pismach Kallimacha; z nich tyle tylko wyrozumiemy można, że postanowienie sejmujących, którzy pragnęli zjednać sobie papieża w sprawie czeskiej, nie nader było pomyślnym dla oskarżonego.

Ale Kallimach w obec burzy, która nad głową jego zbierała się w Piotrkowie, jak sam się wyraża, znalazł pewne i bezpieczne schronienie u Grzegorza z Sanoka. Rychło potem znajdujemy go w małym miasteczku Dunajowie, zwykłym miejscu pobytu biskupa. Ztądto (w Sobotę Wielkanocną 13 kwietnia 1471 r.) napisał on memoriał do Dersława z Rytwian, najbardziej wpływowego magnata a który na sejmie piotrkowskim nie był, lecz nie długo po zamknięciu go, wraz ze Stanisławem Ostrorogiem powrócił z poselstwa do cesarza Fryderyka.

Kallimach w liście tym powiada, iż wyrok piotrkowski nadto był surowym, gdyż wyrzeczony został bez wysłuchania go, bez widzenia go nawet. Przeciwno oskarżeniu uknuć spisku na życie Pawła II, broni się w ten sposób, w jaki tłumaczył go Platina przed papieżem. Tak wielkie przedsięwzięcie ten tylko mógłby zamierzyć, ktoby miał środki ku temu, lub połączył się z ludźmi, którzyby niemi rozporzą-

dzali. Żyli wprawdzie jego ojciec i bracia, ale nie posiadali ani władzy, ani potęgi, któreby mogły wzniecić obawę papieża, a on sam jako człowiek prywatny, tak ograniczone miał stosunki, że nikt mu nie zazdrościć nie mógł. Ztąd byłoby nierozsądnem mniemać iż chciał zająć miejsce zrzuconego papieża, lub téż objąć świecką władzę nad Rzymem. Jeśli zaś znajdzie się kto, co rzeczywiście tworzyłby zamiar podobny, byłoby to nie do przebaczenia, gdyż w ten sposób wznieciliby spory w świecie chrześcijańskim, i Włochy, które teraz łączyły się przeciwko wspólnemu nieprzyjacielowi chrześcijaństwa, na nowo pogrążone być mogły w wojnie domowej.

Państwo polskie, przez rezolucją sejmu piotrkowskiego, narażało się na śmieszność, gdyż sam papież, zważając na jego nieszkodliwość (Kallimacha), nie przykładał już wagi na wypełnienie swego żądania. Zresztą do króla sycylijskiego przybywał nuncyusz papieżki, żądając jego wydania, tutaj zaś i tego nawet nie było. Przynajmniej, jeżeli chciano zadość uczynić żądaniu jego nieprzyjaciół, to należało wydać go z kraju równie swobodnie jak przyjechał był, przez co i honor i wzgląd na Stolicę Apostolską nienaruszone pozostałyby. W miejscu zaś tego, bez wysłuchania uznano go winnym. Wrazie nawet, gdyby rzeczywiście był winnym, stosowniejszemy było dla godności państwa wyjednać dlań przebaczenie, zwracając w ten sposób papieża na drogę, którą postępować winien zastępca Chrystusowy na ziemi. Nikt prawie z Polaków papieża nie widział, słyszeli tylko o nim; wiedzą że jest namiestnikiem Bożym, że ma pełną władzę nad duszami, i mniemają że jest nadziemską istotą bez wad i ułomności, jednem słowem wolną od wszelkich kolei, jakim ulegają ziemskie rzeczy. Gdy jednak rozumieją, że i on także podległy jest wszelkim namiętnościom, że nieubłaganie dąży do spełnienia swój zemsty, to może zmienia swe poglądy i przekonają się, że raczej najsurowszym jest tyranem. Uwagi te wprawdzie nie znajdują uznania u legata i jego stronników, gdyż nadto są zaślepieni przez namiętność. Zadośćuczynienie ich żądaniom byłoby początkiem coraz większych wymagań Stolicy Apostolskiej.

Polska jest krajem potężnym, wielkim i wolnym, Polacy pamiętać powinni aby kraj swój w takim stanie następującym pokoleniom zostawili, w jakim odziedziczyli go po przodkach, i przedewszystkiem starannie unikać mają wszelkiej służebności. Inni także królowie nie tyle przez litość dla niego, jak przez chęć utrzymania swój niezależności, odmawiali jego wydania. Jeżeli zaś tak poważne i światłe zgromadzenie, bez rozpatrzenia nawet całej sprawy, wbrew wszelkim prawom, swobodnego i wolnego człowieka wyda na żądanie Stolicy Apostolskiej, to przewaga władzy papieżkiej wznieście się niezmiernie. Papieżowi nie chodzi o niego, ale następstwa owego wydania nader ważne być mogą. Zresztą sam papież uznał już jego niewinność, uwalniając z więzienia jego braci i krewnych, i jemu samemu przesyłając do Cypru pozwolenie powrotu do kraju. Co się wreszcie tyczy robionych mu zarzutów, iż uciekł do Sułtana turec-

kiego, z którym miał się jakoby znosić, to łatwo widzieć jak zarzut podobny jest bezzasadnym. Kallimach kończy wreszcie swój pamiętnik prośbą, ażeby Derstaw, w osobistej jego sprawie bronił godności państwa i zagrożonej jedności Włoch, a nawet całego świata chrześcijańskiego.

Pismem tém Kallimach dotknął drażliwej strony nie tylko samego Derstawa, ale także licznej partji, która usilnie pragnęła niezależności od kuryi rzymskiej. Sam nawet król skłaniał się ku niej. W skutek więc tego wynikł przychylniejszy dla Kallimacha pogląd na jego sprawę, tém bardziej iż groźny przeciwnik jego, papież Paweł II zmarł w tymże czasie (28 lipca 1471 r.). Za następcy jego Sykstusa IV, który odznaczał się wysokim wykształceniem umysłowem, zupełny nastąpił przewrót. Akademia odżyła na nowo, Pomponius Laetus i Platina znów do swych godności powrócili.

Dla Kallimacha także lepsze czasy nastały. Wprawdzie rok cały dosyć smutnie przeżył on w domu biskupa w Dunajowie, ale ścisłą z nim przyjaźnił zawarł, tak że z przyjemnością potem wspominał te chwile. „Grzegorz wyprzedzał zwykle, opisywał potem Kallimach, wszystkie moje pragnienia, chcąc osłodzić moje nieszczęście. Obcował on ze mną poufalej niż wiek i stan jego pozwalały mu na to: w częstych przechadzkach lub za stołem długie wiódł rozmowy, do późnej nieraz nocy przeciągające się; wszystko robił abym żadnego niedostatku nie uczuł, i w czułych troskach, często Fauniolę do sweutrapieniach. Z początku los mój zdawał mi się tak ciężki i przykry, iż sądziłem że lepiejby mi było gdybym był umarł albo nigdy do kraju tego nie przyjeżdżał.“

Inne jeszcze wspomnienie tych czasów towarzyszyło mu w późniejszej epoce jego życia: jestto przydomek „*Experiens*“ który sam sobie nadał, wspominając z goryczą przebyte w młodości swęj smutne koleje losów.

Jako dowód iż położenie naszego Kallimacha wkrótce się polepszyło, winniśmy zauważyć, iż w letnim semestrze 1472 r., zapisał się jako *scholar* na Uniwersytecie krakowskim. Zresztą sposób w jaki odsuwał czynione mu zarzuty i bronił się przeciwko nim, zwrócił nań szczególną uwagę króla, który mianował go nauczycielem łaciny swoich synów. Jeżeli pod tym względem nie mylnem jest podanie pewnego rękopismu, który niedługo później spisany został na żądanie wdowy po Kazimierzu, Elżbiety, to Kallimach jeszcze przed śmiercią Pawła II powołany został na dwór królewski; według bowiem tego świadectwa, w naukach jego Władysław także miał brać udział, wiadomo zaś iż ten ostatni odjechał do Czech 25 lipca 1471 r. wybrany królem przez stany państwa. Że zaś tegoż roku drugi syn królewski, podobnie wezwanie otrzymał od większości stanów węgierskich (1 października), zatem najmłodszy tylko synowie króla, Jan Albert i Aleksander, pobierać musieli nauki od Kallimacha.

Na nowém tém stanowisku, Kallimach ściśle mieć musiał stosunki z dotychczasowym nauczycielem i dozorcą młodych królewiczów, Długoszem. Błędem jest mniemanie, iż Długosz w swęj Historji polskiej nigdzie nie o nim nie wspomniał. Wprawdzie raz jeden tylko znajdujemy o nim wzmiankę, lecz nader zaszczytną dla Kallimacha. To zaś milczenie Długosza bynajmniej nas dziwić nie powinno, gdyż o wszystkich innych znakomitościach literackich swojego czasu, albo nie wspomina zupełnie albo bardzo mało. Z drugiej zaś strony, w pięknym wierszu Kallimacha, w którym chciał uczcić Długosza, posiadamy pewien dowód iż obaj mężowie wzajemnie wielki ku sobie mieli szacunek. Te ich stosunki przyjazne nie zmieniły się nigdy, chociaż, jak to dalej widzieć będziemy, w poglądach ich politycznych znaczna zachodziła różnica, tak samo jak spór literacki nie był w stanie naruszyć przyjaznych stosunków Zbigniewa Oleśnickiego i Eneasza Sylwiusza. W dalszym ciągu naszej pracy przekonamy się nawet, że nieraz Kallimach za podstawę własnych pism i utworów, brał podania Długosza, dodając do nich tylko formę zewnętrzną. Stosunki te z Długoszem zbliżyły Kallimacha do młodego Zbigniewa Oleśnickiego, którego wujowi-kardynałowi, Długosz przypisał swoją Historją polską. Ścisła przyjaźń jaka związała się między włochem i tym mężem znakomitym, odsunęła nawet wszelkie między nimi współzawodnictwo.

Kallimach skorzystał z okazji nominacji Zbigniewa Oleśnickiego (dotąd scholastyka krakowskiego) na podkanclerza koronnego (1472), pisząc doń list z powinszowaniem, który nie poruszając stosunków konkretnych, wykazuje obowiązki nowego urzędu w sposób humanistyczno-konwencyonalny. Poniżej podany będzie drugi list Kallimacha do tegoż Zbigniewa Oleśnickiego, w którym rozpatrywane są najważniejsze kwestye ówczesnej polityki polskiej. W ogóle Kallimach szybko wciągnął się w te nowe stosunki i zespolił się z niemi, głównie dlatego, iż dążył do porozumienia między Polską i swoją ojczyzną, opierającego się na jednakiach interesach i celach.

Usiłowaniom tym pomagała głównie polityka Wenecyi, która zawarwszy przeciwko Porcie związek z szachem perskim Usun-hassanem, oraz z władcą Karamanu, szukała także połączenia z północnymi państwami. W tym celu kilkakrotnie przyjeżdżali do Polski posłowie Rzeczypospolitej, a chociaż cel bezpośredni ich poselstwa osiągniętym nie był, to jednak następowało pewne zbliżenie obu państw. Z szeregu tych stosunków, zwracamy głównie uwagę na te, do których łączy się imię Kallimacha, przytém zaznaczyć wypada, iż udział jaki brał w tych negocyacyach sam nam opowiada. Pomiedzy wielu innemi stworzono wówczas w Wenecyi dość dziwny plan, ażeby z współudziałem sąsiedniego państwa polskiego, zjednać Tatarów do uczestniczenia w wojnie przeciwko Osmanom. Na początku 1474 r., jechał w tym celu Ambrosio Contarini, przez Polskę do Persyi, otrzymawszy jak świadczy sam Kallimach, z porady Ber-

narda Giustiniano polecenie, ażeby w Polsce u Kallimacha powziąć dokładniejsze wiadomości o Tatarach. Contarini, ciągnie dalej Kallimach, oddawszy mu listy, z któremi był wysłany, dalej jechał z dodaną mu eskortą królewską, a Kallimach przyrzekł że wypełni zadanie Giustiniana i wkrótce piśmiennie obszernie mu odpowie. W tym więc celu naradzał się on z kilku znakomitymi mężami, między innymi z Piotrem z Bnina, późniejszym biskupem władysławskim; wreszcie, całą tę sprawę przełożył królowi. W tych jednak naradach, większość okazała się przeciwną obmyślanym planom. Wedle nich bowiem, nie należało pobudzać do wojny tak dzikich plemion, gdyż przez to większe jeszcze można było wywołać nieszczęście i kroku tego żałować potem, tak samo jak Grecy, którzy Turków z Azji sprowadzili. Piotr z Bnina radził, ażeby dokładnie wykazać Wenecyanom powody, dla których uważano ich plany za niemożliwe, i przekonać ich o niebezpieczeństwie takowych. Tak więc z uznaniem króla, Kallimach ułożył pismo, które, chociaż oficjalnego charakteru nie miało i zdawało się zawierać osobiste tylko przekonania jego, wątpić jednak nie można, że przedstawione było królowi. Pisał on tutaj że zasługi królów polskich dla wiary chrześcijańskiej, wolne są od wszelkich podejrzeń. Co się zaś tyczy Tatarów, mówi iż rozmaite są onych plemiona. Giustiniano nie wymienia które z tych plemion użyćby można, czy zamieszkujące Azję czy Europę, czy też na granicy obu tych części ziemi osiadłe hordy. Tatarzy krymscy od czasu upadku Kaffy (1475), nadto są bezsilni, ażeby móżdż korzystnie walczyć z Osmanami, a hordy żyjące między Europą i Azją, wezwane na pomoc, musiałyby przechodzić przez kraje polskie, które przez to narażone być mogły na wielkie niebezpieczeństwo. Inny więc plan podawał Kallimach, zapewniając w ten sposób korzystniejsze dla Wenecyan stanowisko względem Turcyi. Wedle więc rady jego, Wenecyanie powinni doprowadzić do pojednania między cesarzem i królem Maciejem węgierskim, a wówczas połączona z nimi Polska pomyślnie przeciw Turcyi działaćby mogła.

Jakikolwiek w tych naradach brał udział Kallimach, cała ta sprawa miała czysto prywatny charakter, z którego granic nie wyszła, co z tego względu jest widocznym, iż ani wydana dla Ambrożego Contarini instrukcyja (11 lutego 1474 r.), ani też relacyja polska, nie wymieniają nawet imienia Kallimacha. Contarini wspomina tylko, że w Lublinie (=Lunberli), widział czterech synów Kazimierza i „znakomitego mistrza który ich uczył,“ nie wymienia go jednakże. Przypuszczać tedy można, iż ustną tylko instrukcyę mieć musiał od rządu Rzeczypospolitej. O istnieniu samego projektu ażeby Tatarów do wojny przeciwko Osmanom wciągnąć, wątpić nie można. Zresztą projekt ten nowym nie był. Już Zbigniew kardynał, w liście do Kapistrana uważa, że król dobrze robi, jeśli psów przez psy, Turków przez Tatarów pokona. Pośrednio potwierdza to przedstawienie Kallimacha i to, że W. książę moskiewski zatrzymałby posła weneckiego

Giovanni Battista Trevisano, który udał się był do Rossyi w celu namówienia Tatarów do napadu za Dunaj, uczynił zaś to przez obawę aby Tatarowie przeciwko niemu nie zwrócili się.

Niedługo potem nadarzyła się Kallimachowi sposobność pierwszego dyplomatycznego poselstwa. Powod do tego dała pokojowa propozycja, którą Mahomet II przesłał Kazimierzowi (15 marca 1478 roku), i którą ten ostatni, nie zmieniając swego stanowiska jako król chrześcijański, zamierzał zużytkować przeciwko Maciejowi swojemu przeciwnikowi; Kallimach tedy z podwójnym poleceniem wysłany został do Włoch: najprzód poleceniem mu było odciągnąć Wenecyę od projektów tatarskich, następnie udać się do Foligno, gdzie u papieża Sykstusa zebrał się był kongres posłów ksiąząt włoskich dla naradzenia się w kwestyi tureckiej i przedstawivszy propozycje pokojowe Porty, żądać aby odebrano królowi Maciejowi subsydy, które brał od Wenecyi i innych państw pod pozorem wojny z Turcyą, a które obracał na wojnę z cesarzem i Czechami. W Wenecyi tyle zdziałał Kallimach, że nietylko odjęto subsydy Maciejowi, lecz postanowiono, iż legat papieżki wysłany doń będzie, aby dopilnować zwrócenia summ już wypłaconych. W tym duchu zawiadomić miano posła rzezypospolitej w Rzymie, a tymczasem król polski tak długo mógłby ociągać się z ukończeniem pokoju, aż ujrzałby jaki skutek mieć będzie połączenie całych Włoch przeciwko Turcyi. W kwestyi tatarskiej, Wenecya postanowiła wysłać do Polski nowego posła w osobie Bartolomea Brando, zwłaszcza że w owym czasie połączenie z Tatarami prawie bezpośrednio zawarte już było, i chodziło tylko o przyzwolenie Polski na ich przechód. W Polsce rozmaicie zapatrywano się na propozycje Wenecyi; niektórzy z otoczenia królewskiego okazywali obrurzenie w skutek tych wymagań, mogących wywołać groźne dla Polski niebezpieczeństwa i składali całą winę na Kallimacha, który w Wenecyi niedostatecznie wedle ich zdania, występował przeciwko planom tak niekorzystnym dla nich. Inni znowu, między niemi biskup władysławski, okazywali większą przychylność żądaniom Wenecyi, w mniemaniu, iż należało nie opuścić sposobności korzystnej walki przeciw Porcie. Król skłaniał się także ku tym ostatnim i chodziło tylko o wynalezienie środków, zapewniających bezpieczeństwo dla kraju w razie przechodu dzikich hord. Tymczasem Kallimach nadjechał z Rzymu. Powtórzył on był papieżowi polecenie mu zlecenie w kwestyi subsydyów. Że propozycja ta zadawalniała państwa, które przyrzekły były owe subsydy, zatem mimo protestacyi weneckiego obrońcy, postanowiono nie posyłać ich nadal Maciejowi. Kallimach powróciwszy do Polski starał się wykazać iż jegoto pracą wymuszone było to postanowienie. W późniejszym jednak piśmie, przyczynę owego postanowienia przyznawał on i słusznie zawiści państw włoskich względem Wenecyi.

W Polsce raz jeszcze przemawiał on za sprawą wenecką. W obec zarzutów, iż przechód Tatarów przez kraje polskie wielce

niebezpiecznym być się zdawał, proponował Kallimach, ażeby Tatarów zachęcić do napadu na Azyę. Przez to podwójna korzyść byłaby odniesiona, gdyż najprzód niebezpieczeństwo, o którym tyle mówiono, byłoby usunięte, a powtórę potęga turecka w samém jéj ognisku byłaby zachwiana. Tymczasem Wenecyanie mogliby obsadzić wszystkie miejsca w Europie, które Turcy musieliby opuścić, aby oprzeć się Tatarom, a w razie zwycięstwa, korzyść Europy chrześcijańskiej ogromnąby była.

Atoli Kallimach zapóźno wystąpił z temi projektami, które tak jak wiele innych, łatwiej obmyślanymi niż wykonanymi były. Śmierć Usun-Hassana (1478), w skutek której potęga perska rozdrobniła się między jego synów: odpadnięcie i opieszałość dotychczasowych sprzymierzeńców Wenecyi, długi, w które wciągnęły ją długoletnie wojny przy wątpliwém powodzeniu; to wszystko przymusiło ją do zawarcia pokoju z Mahometem II, który téż podpisany został w Konstantynopolu 26 stycznia 1479 roku.

Gdy przez czas jakiś Wenecya zajęta była wewnętrznymi sprawami, Kallimach ciągle usiłował nadać polityce tego państwa kierunek pomyślny dla Polski. W ten sposób mógł być pewnym iż dyplomatyczne jego służby niezbędnymi będą dla króla.

Dla dokładnego zrozumienia celów, które sobie zaznaczył Kallimach, koniecznym jest bliżej rozpatrzyć stosunki Kazimierza do króla Macieja węgierskiego, którym wyłącznie prawie poświęcona jest polityka polska 1479 r. Ciągłe poróżnienie obu królów trwało jeszcze w tym roku. To zaś tém trudniejszém było do usunięcia, gdyż było ono następstwem nader ważnych okoliczności. Kazimierz nie wyrzekał się bynajmniej rozszerzeń swojego domu do Węgier i Czech, które wynikały w skutek małżeństwa jego z Elżbietą, córką cesarza Alberta II. Co się tyczy Czech, dosięgnął on swoich zamiarów; w stosunku zaś do Węgier, upornie przy nich obstawał. Dlatego więc jak to już wyżej powiedzianém było, wysłał on najmłodszego syna Kazimierza, jako pretendenta do Węgier i tylko niepewna nadzieja powodzenia była powodem, iż gdy w 1478 roku malkontenci magnaci węgierscy wysłali tajemnie posła do Kazimierza, zachęcając go do nowéj do Węgier wyprawy, król go bez odpowiedzi odprawił. Z losów Podiebrada, mógł Maciej widzieć swą przyszłość, tém bardziej iż szczęście skłaniało się ku stronie Władysława. To téż w 1478 r. zawarł on z nim pokój, zmniejszając w ten sposób liczbę swych nieprzyjaciół; jednocześnie zawierał traktat z mistrzem zakonu, który odmawiał hołdu królowi polskiemu, oraz wchodził w stosunki z biskupem warmijskim Mikołajem von Tüngen.

Obecnie było dwie drogi dla usunięcia nieporozumienia między obu państwami. Najpiérw przez pośrednictwo papieża, który dotąd tak widocznie wspierał Macieja, a powtórnie zjednuwszy sobie sprzymierzeńców jego, zmusić w ten sposób do zaniechania nieprzyjaznego względem Polski stanowiska.

Przeciwno pierwszemu planowi, Kallimach podał w 1479 roku memoriał do Zbigniewa Oleśnickiego, wówczas biskupa władysławskiego; pismo to rozpatrzmy tutaj w pobieżnym przeglądzie.

Są tacy, mniema Kallimach, którzy radzą wysłać powtórnie roztropnych posłów do papieża; tymczasem spodziewać się nie można aby ktokolwiek u cesarza, u doży i u papieża coś więcej wymódl był w stanie, od tych którzy pierwój z nim razem spraw polskich broniłi. Nic bowiem takiego nie zaszło, coby tą razą nadzieję większego powodzenia usprawiedliwić mogło. Propozycya pokoju od Turków zmusza rozpocząć jednocześnie z Turkami i z papieżem układy, przez co u jednych i u drugich wzbudzi się podejrzenie. Przeto należy porozumieć się dokładnie z tym, kto nie wystąpił jeszcze otwarcie jako nieprzyjaciel, a przyjaźń jego mądrze spożytkowana, byłaby w stanie czynione dotąd błędy naprawić. Nic słusznym zaś jest zarzutem, iżby owa propozycya pokojowa nadto była ogólnikową. Czyż on (Turek) miał powiedzieć: chcę zabrać Węgry albo chcę Niemcy lub Italię spustoszyć, a ty tymczasem siedź spokojnie i nie wspieraj ich ani radą, ani czynem. On podał tylko propozycyą, a rzecz jest Polski, najkorzystniej ją dla siebie zużytkować. Nie byłoby rzeczą roztropną, pogardliwie odrzucić tę propozycyą, bo na przyszłość zostawałby tylko oręż, którego łatwo jest wyciągnąć ale trudniej z godnością i sławą włożyć do pochwy. Przykład Czechów, którzy z Maciejem pokój zawarłi niczego nie dowodzi; do pokoju tego Czesi nie dążyli, lecz sam Maciej i on tak długo zachowywać go będzie, aż upadną przyczyny dla których obecnie potrzebował go. W ogóle nie należy nadto ufać Maciejowi, on bowiem więcej myśli o zdobywaniu nowych posiadłości niż o zabezpieczeniu posiadanej już własności. W pierwszym razie, może zyskać sławę i zdobycze swe rozszerzyć, gdy zaś byłby zagrożonym, liczyć może na pewną pomoc i obronę z nim razem zagrożonego chrześcijaństwa. Nadto pokój który zawarł z Czechami, bynajmniej stanu rzeczy nie zmienił. Do pokoju tego zmusiły go brak pieniędzy wyczerpanych w skutek wojny austriackiej, obawa buntów zostających na żołdzie a niepłatnych żołnierzy i wreszcie chłodny współdział państw włoskich. Któż jednak zaręczyć może, iż skoro te trudności usuniętemi zostaną, on znowu za oręż nie weźmie? Ale przypuściwszy nawet, że Maciej pragnie pokoju, to w przyszłości mimowoli wojnę przyjąć musi. Maciej zawdzięcza łasce papieżkiej całą swoją wielkość, przypuściwszy zatem iż z Czechami pokój utrzyma, to jednak zechce wdzięczność swą okazać zasłużonym dlań księżom, których całą dążnością jest przeciężyć i pokonać religijne wyobrażenia Czechów, jeśli nie siłą przekonania, to siłą oręża. Zatem pokój z nim nie przedstawia żadnej rękoi trwałości. Ale przypuściwszy chociażby, że ten pokój trwałym nawet być może, to pozostawi w jego ręku korzyści z posiadanych obecnie krajów i znacznych summ pieniężnych, które w przyszłości użyje na uzbrojenie wojska przeciwko nam. Możliwoby wpra-

wdzie zarzucić: co to szkodzić może, jeżeli pokój na pewien przeciąg czasu jest zabezpieczonym? Tymczasem uspokójmy Prusy, wyjaśnimy nasze stosunki względem Turków i Włochów, zjednamy dla siebie papieża, a także król czeski będzie miał czas wypocząć. Na to znów można odpowiedzieć, że nie należy zostawiać czasu Maciejowi ażeby mógł stać się silną podporą i opieką dla zakonu. Z Turkami wprawdzie nie można na pewno wdawać się w układy, te jednak jako pozor tylko, nadzwyczaj są pożądane. Pozor podobny, nie mógłby długo utrzymać się i nie byłby w stanie powstrzymać wybuchu wojny z Maciejem. Toż samo powiedzieć można o Włochach, którym nie należy zostawiać czasu, aby doznane rany zagoić zdołali. Papieża się nie zjedna, gdyż on z własnego przekonania działa przeciwko Polsce. Prośby i wezwania są już wyczerpane, innych teraz należy szukać sposobów, o których pierwój ustnie objaśniał. Król czeski nie wypoźnie podczas pokoju, lecz tylko upomną się u niego o obietnice, które uczynił był wstępując na tron. Od papieża nic więcej wymódz nie można, od tego co on już otrzymał w roku zeszłym, mianowicie, że posłki pieniężne wstrzymane zostały. Jakkolwiek trudno to było otrzymać, trudniejszym jednak byłoby wyrobić, aby te summy przysłane były do Polski. To zaś ostatnie postanowienie dlatego dotąd wykonaniem nie było, gdyż przesyłki pieniężne zależały od zobowiązania do wojny (przeciw Turkom). Dlaczego zaś wszystkie inne żądania dotąd bez skutku zostały, wyłożył on Zbigniewowi. Teraz ograniczyć się należy, aby obu tych postanowień ściśle się trzymać. To zaś najłatwiej osiągnąćby można za pomocą układu z Wenecją, którą on mimo osławienia przez złych i głupich ludzi, zjednał dla zamysłów Polski. Względem Włoch, połączenie z Wenecją jest dostateczne, należy tylko wysłać tam posła, do czego on sam chętnie się ofiaruje; posel ten powinien być także u cesarza, aby i tego przestaje być czynnym we Włoszech. Przez oziębłość i opieszałość zmusi się Wenecyan do związku z całemi Włochami. Wreszcie Kallimach prosi biskupa, aby te jego uwagi na sejmie objawił. Nikt, kończy on, silniej odemnie nie pragnie pokoju, gdyż wojownicze dążenia sprzeciwiają się moim skłonnościom i zdołnościom.

Kilka jednakże lat przeszło, nim Kallimach znalazł pożądaną sposobność do dyplomatycznego poselstwa do Wenecyi. Syn Mahometa II, Bajazet II (od 1481 roku), odnowił zrazu, jak się zdaje ową propozycję pokojową, około której wiązała się cała dyplomatyczna działalność Kallimacha. Gdy jednak przez zawieszenie broni, zawarte z Maciejem (1483 r.), zapewnił się z téj strony, wpadł on w 1484 r. do Bessarabii i wziął szturmem Kilię i Białogród, dwa miasta, które zaliczano do Mołdawii. Stefan, wojewoda mołdawski był przez to zmuszony uznać zwierzchnictwo korony polskiej, tak długo odrzucane i w 1485 r. w Kołomyi złożył hołd Kazimierzowi, w skutek czego, siły polskie oczyściły tę prowincję od Turków aż do obu

tych fortec. W tymże czasie, to jest przy końcu 1485 r., Bajazet odnowił przymierze z Polską, do czego przymuszony był tak przez powodzenie oręża polskiego, jak niemniej także przez wybuch wojny egipskiej. I teraz znowu przedstawiał królowi Kallimach, jak sam opowiada, iż stosowna chwila nadeszła, aby zająć całe Włochy, albo téż zachęcić Wenecyę do wojny, mającej na celu wygnanie Turków. Należałoby posłów tureckich z pomyślną odpowiedzią odprawić, a jednocześnie wysłać do Wenecyi swych posłów, w celu zachęcenia Rzeczypospolitej do przyjęcia pośrednictwa między Polską i Bajazetem. Wenecya bowiem wielkie ma znaczenie u Turków, którzy bez wątpienia, z obawy iżby się nie poróżnić z obu państwami, przystaną na układ, gdy zażądataj od nich zwrócenia Mołdawii, Lycostomum i Monacastrum, obu portów, które niedawno zajęli. Jeśli zaś Wenecya na to nie przystanie, to zachęcać trzeba Rzeczypospolitę aby teraz, gdy żadnej innej wojny nie prowadzi, wspólnie z Polską wystąpiła przeciwko nieprzyjacielowi i tak już upokorzonemu, przytém należy dać jej nadzieję, że Tatarzy wpadną w kraje Pontu. Aby zaś Turków bardziej jeszcze zatruwożyć, należy także cesarza do układów tych wciągnąć i nakłonić go, iżby wymógł na Wenecyi posiłki przeciwko Maciejowi. Naturalném następstwem tych negocyacji byłoby, iż Maciej z obawy Wenecyi odstąpiłby od swych zaborczych dążeń, albo uległby w nierównej walce: w obu razach, zwycięstwo świata chrześcijańskiego niewątpiwemby było.

Kazimierz przyjął te wnioski i przyłączył Kallimacha do poselstwa, które, składając się z dwóch znakomitych magnatów polskich, około kwietnia 1486 r. z Polski wyruszyło. W Kolonii posłowie zastali cesarza, który ze swych krajów dziedzicznych przez króla Macieja wygnany, przybył; tam był po odbytej niedługo pierwej (5 kwietnia), koronacji jego syna Maxymiliana na króla rzymskiego. Cesarz przystał na propozycyę posłów i przyłączył do nich jako pełnomocników swoich biskupa trydenckiego Jana Hinderbacha, Bernharda, Pergera i Jerzego Ellecheri. Także syn cesarza Maxymilian dodał ze swéj strony Bernarda Polemusa.

W dalszej drodze, posłowie spotkali w Padwie wysłańców Wenecyi, którzy jechali z powinszowaniem dla króla rzymskiego. Byli to Hermolaus Barbarus i Dominicus Trevisanus, z których pierwszy w imieniu Rzeczypospolitej, piękną mową powitał przybywających. W Wenecyi, poselstwo doznało także nadzwyczaj świetnego przyjęcia. Atoli odwlekały się układy, stanowiące cel ich przybycia, gdyż doża Marco Barbarigo ciężko był zachorował. Posłom cesarskim Signoria objawiła, że niedługo przedtém zawarli pokój z Maciejem, nie mogą zatem na nowo wojny z nim rozpoczynać. Gdyby jednak cesarz wystąpił przeciwko niemu w sposób stanowczo sprawę rozstrzygającej, nie braknie mu na ich poparcie. Pośrednictwa między cesarzem i Maciejem przyjąć nie chcieli, zapewne dlatego, jak słusznie domyśla się Kallimach, iż odpowiadało to ich interesom, aby Maciej zatru-

dniony był wojną, która przeszkadzała mu do nieprzyjaznych względem Wenecyi przedsięwzięć. Atoli Signoria okazała gotowość przyjęcia pośrednictwa między Polską i Turcyą.

Trzy dni po otrzymaniu téj odpowiedzi, posłowie odjechali z Wenecyi. Kallimach tylko pozostał tu jeszcze dwa miesiące, aby doczekać się odpowiedzi posła weneckiego z Konstantynopola, do którego Signoria przyrzekła pisać w sprawie polskiej. Tymczasem umarł doża, i Kallimach obecnym był na wspaniałym jego pogrzebie. Widok stowarzyszeń, które na nim występowały w swych różnorodnych ubiorach, dał pochop Kallimachowi zwrócenia się do malarza Giovanni Bellini, który wówczas był przełożonym bractwa San-Marco, w celu bliższego rozpatrzenia tych stowarzyszeń i ich znaczenia. Z wielu innymi także znakomitymi mężami, zawarł Kallimach ścisłe stosunki podczas pobytu swego w Wenecyi, i tak z Markiem Dandolo, synem Andrzeja, znakomitym prawnikiem, z Piotrem Contareno Adorni, autorem znanéj Historji Wenecyi, z Antonim Leonardico, geografem i wielu innymi. Na pogrzebie zmarłego doży miał mowę Paolo Pisano. Pochwały jakie zjednał sobie przez to, dały powód do dysputy, która w mieszkaniu Kallimacha między wielu uczonymi miała miejsce, a dotyczyła w ogóle wymowy, w szczególności zaś rozwoju jęz we Włoszech. Kallimach powiada że dysputę tę później opisał i wydał. To pismo atoli, dotąd odnalezioném nie było.

Gdy po dwóch miesiącach, oczekiwana odpowiedź z Konstantynopola nie przychodziła, Kallimach nie mogąc już dłużej czekać, postanowił odjechać do Polski, uprosiwszy Signorią aby za nim odesłała listy jeśli nadejdą.

Przez czas jednak długi żadnej nie miano wiadomości i król polski postanowił odnowić na dwa lata pokój z Turkami. Ponownie tedy poselstwo powierzoném było Kallimachowi, który w towarzystwie okazałego orszaku z wiernym swym sługą Nicolo, wyruszył w podróż w 1487 roku. Instrukcye, z jakimi Kallimach pojechał do Konstantynopola, są nam nieznané; tyle tylko wiadomo, iż zawarte zawieszenie broni zostawił Turków w posiadaniu obu twierdz nadgranicznych. W następnym jeszcze roku nie zaniechał Kallimach projektów swoich, jak to widzieć się daje z listu jego pisanego w 1492 r. do biskupa Jana IV, z którym jednocześnie przesłał opis układów prowadzonych z Wenecyą. Przytém wyraża tam nadzieję, że państwa północne pojedną się i sprawę chrześcijaństwa za własną przyjmą.

(Dokończenie nastąpi).

AKADEMIA UMIEJĘTNOŚCI

W KRAKOWIE.

Dnia 15 czerwca r. b., zastępca protektora Akademii umiejętności w Krakowie hr. Alfred Potocki, zagał drugie doroczne jój posiedzenie następującemi słowy: „W imieniu Jego Cesarskiej Wysokości, Najdostojniejszego Protektora, mam zaszczyt, zagajając dzisiejsze posiedzenie Akademii umiejętności powitać was panowie! I w tym roku Akademia wszelkich starań dołożyła, aby podnieść naukę i umiejętność, i dlatego to panowie z prawdziwem zadowoleniem spojrzć możecie na dokonane prace w ubiegłym roku. Wdzięczne uznanie waszj pracy gorliwěj możecie panowie spostrzedz także i w żywym udziale, jaki między naszymi współobywatelami, którym na rozszerzeniu umiejętności zależy, ta instytucya znalazła, a w tém leży właśnie rękojmia, że poważne badania Akademii w dziedzinie nauki i umiejętności, w coraz dalsze koła rozchodzić się będą. Miejmy niezachwiańą nadzieję, że tak jak dotąd i w przyszłości Akademia, wypełniając na polu nauki wzniosłe swoje zadanie, stanie się godną najwyższych łask Najjaśniejszego Pana, jakie od powstania jój, tak obficie na nią spływały.”

W odpowiedzi na powyższą przemowę, prezes Akademii dr. J. Majer zabrał głos, z którego podajemy ważniejsze ustępy: „Jak w historii politycznej zmieniają się godła, gromadząc około siebie siły pochopne do spełniania odpowiednich im zamiarów; tak w historii nauk od czasu do czasu występują hasła, nęcące jeśli nie blaskiem prawdy, to przynajmniej urokiem nowości, jeśli nie rzeczywistj to przynajmniej pozornj, dzielące pracowników na obozy wrogie, bo przekonane, że każdy zdobył dla siebie wyłączny przywilej prawdy, w moc tego przekonania postępujące z czołem wysoko wzniesionem, i dlatego niezdołne dostrzedz tego, co obóz drugi mógłby mieć w sobie rzeczywiście dobrego.

„Jaką praca ta była ostatecznie w roku upłynionym nauczy pogląd, którego skreślenie było zadaniem kolegi sekretarza generalnego. Uwagi powyższe niech posłużą za tło do tego obrazu; do nich się też ograniczam, zmuszony zajmować się nietyle dokonaną pracą, ile raczej warunkami mającemi wpływ na jój rozciągłość i postęp.

„Takiemi dziś jeszcze do przesytu powtarzanemi hasłami stał się dawny eksperymentalizm w formie pozytywizmu i w porównaniu z dawniejszym zeskromniały metafizycyzm. Zaciekłość stronnicza, tłumiac trzeźwiejsze z obu stron poglądy, doprowadzała do tego, że z jednjej strony dosyć było ująć w rękę mikroskop, zajmować się doświadczeniami, sprawdzaniem dawnych, dostarczaniem nowych faktów, choćby najwięcej dla nauki przydatnych, żeby być zgoła odsądzonym od czci naukowej, jeśli tylko nie było zarazem zagłębień

przechodzących zakres doświadczalny, bo sięgających aż po ostateczną przyczynę. Z drugiej znowu strony, dosyć było przyznać jakieś prawa apryorycznym badaniom rozumu, a nawet pokusić się tylko o uogólnianie zdobytych już faktów celem docierania do ich pierwotnego źródła, tak sobie zjednać pogardliwe nazwisko metafizycznego marzyciela.

„A cóż mówić o prawdzie wśród tych sprzecznych obozów? O! nie lękajmy się o nią! Jednostronność musi doprowadzić do tego, że idącym jej śladem grunt chwiać się zaczyna pod nogami, i chcący niechcący po daremnych wysileniach, muszą oglądać się za inną pomocą. Tak w obec stwierdzonych faktów, metafizycy ujrzyć musieli konieczność liczenia się z nimi i ograniczania przez to samopas wybujałych zapędów rozumu; zwolennicy przeciwnego obozu uderzą czołem, jeśli zdobyta rozumem ogólna zasada rozświeci pojedyncze fakta i światłem z téj wysokości rzuconém, jaśniej stawi przed oczy cel i kierunek dalszych usiłowań. Powiedział niegdyś Szyller o przyrodnikach i metafizykach:

Słusznie się nienawidzicie,
Na związek jeszcze zarano;
Prawda, gdy się rozdzielicie,
Dopiero będzie poznana....

„Czy wielki poeta dziś jeszcze to orzeczenie uważałby za słuszne, powiedzieć nie umiem; samo jednak uznanie owego związku za przedwczesny, dowodzi, że widział on jego możność, jeżeli nie konieczność w przyszłości. Stosując to do naszych obozów, mamy przekonanie, że już nie od dziś objawu tego zaprzeczyć nie można. Padają systemata poczęte i wyległe z czystej rozumowej abstrakcyi, dumnie lekceważące wypadki drogą ścisłych doświadczeń i spostrzeżeń zdobyte; gdy znowu z drugiej strony, pracownicy na polu doświadczeń szukają światła uogólniającego rozumu, przekonani, że szczegółowe wypadki ich badań, dostarczają koniecznego materiału, lecz w swém odosobnieniu prawdziwej umiejętności stworzyć nie zdołają.

„Na tém to skrzętném uwzględnianiu a oględném kojarzeniu kierunków, sprzecznych napozór, bo różnych w metodzie, zmierzających wszelako do jednego celu, polega konieczna swoboda umiętnego badania i pożądana na tém polu harmonia działania; taką to cechę, tuszymy sobie, miała i mieć będzie praca naszej Akademii. Żeby ją jednak zrobić wydatniejszą, dłuższego potrzeba czasu, niż tego dozwala dotychczasowe istnienie.

„Co do środków zewnętrznych, otrzymała Akademia ze strony państwa w roku zeszłym zasiłek odpowiedni stale tym tytułem wprowadzonej do budżetu pozycyi. Toż samo rozumieć można o rocznym zasiłku ze strony gminy miasta Krakowa.

„Ze strony kraju: uchwała sejmu z r. 1873 przyznająca Akademii roczny zasiłek w ilości 10,000 złr., w roku ubiegłym pierwszy raz

w wykonanie wprowadzona, posłużyła do takiego stopnia podwyższenia pozycji budżetu, iż przy tej jedynie pomocy Akademia była w stanie dokonać tylu publikacji, ile ich w roku zeszłym dostarczyła, nie bez wielkiego nakładu pracy i kosztów.

„Ze strony obywatelstwa obu części Galicyi, z wyjątkiem jednego objawu najżyczliwszej chęci, w skutku jednak dotąd wątpliwego, środki były w r. z. nie tylko nie przymnożone, ale boleśnie wyznac, przynajmniej do jakiegoś czasu uszczuplone zostały. Życzliwość ową zawdzięczamy ś. p. ks. Pękalskiemu, który kodycyłem swoim z dnia 9 stycznia 1873 r. zapisał na fundusz Akademii wierzytelności, wynoszące razem przeszło 3,000 złr., o które jednak spór sądowy jeszcze za życia testatora rozpoczęty, dotąd ukończony nie został.

„W myśli wspierania niezamożnej młodzieży tutejszego uniwersytetu, doszła w r. zeszłym po długich przewodach prawnych uzyskana, i prawie do $\frac{1}{3}$ części obniżona reszta summy 5,000 rs., legatem ś. p. M. Konarskiego z Odessy na powyższy cel przeznaczonj. Jedną część tej należitości spłacił dłużnik bez jej uszczuplenia jeszcze przed 13-tą laty ówczesnemu Towarzystwu Naukowemu.

„Środki i pomoce naukowe Akademii wzmogły się w r. zeszłym znakomicie w zbiorach fizyograficznych i w bibliotece, gdy tymczasem przybytki do zbioru starożytności były bardzo nieznaczne. Na pierwszym miejscu wspomnieć nam tu przychodzi o wzbogaceniu muzeum fizyograficznego znakomitę, bo przeszło 1,000 okazów obejmującym zbiorem zoologicznym. Zbiór ten niegdyś przez Kazimierza hr. Wodzickiego ofiarowany uniwersytetowi, przez ten, zgodnie z wolą pierwotnego właściciela i zezwoleniem ministerstwa, odstąpiony został Akademii, w słusznym przekonaniu, że jego topograficzne znaczenie więcej się zgadza z zadaniem naszej komisji fizyograficznj, niż z potrzebą systematycznj nauki w uniwersytecie, znajdującj właściwą pomoc w jego zamożnym gabinecie zoologicznym.

„Biblioteka Akademii, prócz niewielu nabytków z własnego funduszu, jako niezbędnej pomocy w przedsięwziętych pracach, otrzymała przeszło 1,000 dzieł z ofiar prywatnych, między którymi kilkasć z daru p. Waltera kupca i obywatela tutejszego. Podniosło to liczbę dzieł, które dotychczas posiada, blisko do 13 tysięcy egzemplarzy.

„Akademia pomna, że bez oparcia się na tych zdobytych wszechstronną pracą naukowych pomocach, postęp byłby niepodobny, zwróciła uwagę na źródło, które aczkolwiek własnego jej zbioru wzbogaciłoby nie mogło, niemniej przecie stawszy się dla niej dostępne, byłoby nader wielką pomocą dla nauki dziejów ojezystych. Źródłem tym znakomitę i w swym rodzaju jedynę w Polsce, są zbiory Władysława księcia Czartoryskiego. Do niego udał się zarząd Akademii z prośbą o sprowadzenie ich do Krakowa, a przynajmniej o częścio-we użyczenie do użycia w miarę zachodzącj potrzeby. Zbiory księ-

cia sprowadzone też będą do Krakowa, nad który według własnych jego wyrazów, nie mógłby znaleźć miejsca odpowiedniejszego. W stunkni weszła Akademia w roku zeszłym z 26-u Towarzystwami i Akademiami, do których dodając dawniejsze, liczba ich wynosi obecnie przeszło siedemdziesiąt.

„Kończąc ten pogląd na zasoby naukowe i materyalne środki Akademii, nadmienić winienem, że brak miejsca przy rozszerzającym się zakresie czynności i wzrastających naukowych zbiorach, których obecne umieszczenie ma z konieczności raczej pozór składu niż systematycznego uporządkowania, oddawna uczuwać się dawał. Gdy więc dom dotychczasowy, z którym zawsze łączyć się będzie wdzięczne wspomnienie trudu, poświęcenia i ofiary ś. p. kasztelana Wężyka, potrzebie wystarczyć nie mógł, Akademia zmuszona była nabyć dom sąsiedni. Niepomału przyczyniło się do tego przekonanie, że bez niego obejść się nie potrafi; że zaś nie dokonawszy tego gdy się zdarzała sposobność, po przejściu tej posiadłości w inne ręce, warunki jej nabycia stałyby się daleko uciążliwsiemi. Użyła ona w tym celu części swego żelaznego funduszu; nie mogąc naruszać reszty, przebudowanie całego nabytego domu w sposób odpowiedni potrzebie, widzi się zniewolona odłożyć na później.

„Otóż treściwy pogląd na jedną stronę warunków naszej działalności. Drugą stronę stanowią, jak się wyżej wyraziło, własne siły wewnętrzne przedstawiane przez członków powołanych do grona Akademii. W zeszłoroczném sprawozdaniu nadmienilem, z jakim upragnieniem oczekiwała Akademia zatwierdzenia członków zagranicznych. Nastąpiło to rzeczywiście dekretem Najjaś. Pana z dnia 30-go kwietnia 1874 roku, wszakże nie w tej zupełności, w jakiej przedstawiła ich Akademia. Trudności co do zatwierdzenia niektórych, dotąd nieszczęściem usunięte być nie mogły.

„Nie obeszło się w r. z. bez bolesnej straty w gronie Akademii. Kiedy z kolei o niej mówić mi przychodzi, pomny obecnego zadania, do tego jedynie okresu ograniczylbym się powinien. Jakże wszelako nakazać sercu milczenie, gdy boleśnie dotknięte świeżemi razami, szuka ulgi w objawie uczucia, które je przepętnia? Jakże nie wspomnieć o świeżej mogile, która pokryła zwłoki ś. p. Józefa Kremera, jednego z pierwszych powołanych do naszego grona, dyrektora wydziału, założyciela i przewodniczącego komisyi filozoficznej, wytrwałego pracownika na polu nauki, którego prawie już zastygająca ręka dzierżyła jeszcze pióro, jednoczące z wytwornością głębokość, a niech mi będzie wolno powiedzieć, życzliwego kolegę z czasu ławy szkolnej i życia w obozie, w zawodzie nauczycielskim i akademickim? Jakże nie wydać westchnienia na wiadomość o ledwie zastygłych zwłokach ś. p. Karola Libelta, filozofa, estetyka, obywatela w pełnem znaczeniu tego wyrazu, do głębi serca dobrem kraju przejętego, równie z Kremerem niezmordowanego pracownika na polu nauki, i równie z nim głośnego imienia, bo wdzięcznie od-

brzmiewającego, jak daleko sięga zakres polskiej mowy? Dwie to zaiste gwiazdy znikłe tak współcześnie z horyzontu nauki, jak jednej nocy nikną jedna po drugiej spadające gwiazdy! Jakże wreszcie nie wspomnieć o cichym w zawodzie swoim pracowniku ś. p. Adamie Aleksandrowiczu, nadzwyczajnym członku Akademii?

„Z pomiędzy członków czynnych zmarłych w r. z., zakończył pracowity żywot ks. Augustyn Theiner, członek zgromadzenia oratoryanów w Rzymie. Postawiony na straży najważniejszych źródeł do dziejów kościoła, gromadził on wiadomości z wytrwałością, jaka mimowoli przywodzi na myśl słynną w swoim czasie skrzętność i pracowitość oratoryan i benedyktynów. Poświęcając swą pracę różnym gałęziom historii, pozostawił też źródła, które na długo zaślalać będą uprawiających różne jej epoki. Jak dalece źródła te zlewają się też z naszego kraju historią, dopomagając do jej rozjaśnienia i uzupełnienia, poświadczą obecni na tém polu pracownicy, poświadczą i ich następcy w dalekiej przyszłości.

„Z kategorii członków nadzwyczajnych straciliśmy Hipolita Sereżyńskiego i Andrzeja hr. Zamoyskiego.

„Oto jest obraz błogich i bolesnych zdarzeń dla Akademii w ciągu ubiegłego roku. Kończąc rzecz moją, wyrażam serdeczną podziękę tobie zacna publiczności, za życzliwy udział okazany nam zgromadzeniem się w tym naszym przybytku. Sąd publiczny nie może być nam obojętny nie w osobistym, lecz publicznym interesie: przychylny, zrodzi błogie poczucie dopełnienia obowiązku; nieprzychylny, uczyni nas oględnymi, ale nie chwiejnymi na drodze, jaką przed sobą widzimy. Wytrwałość będzie naszym hasłem, a za nią, da Bóg, pójdzie i uznanie.“

Po przemowie prezesa, sekretarz Akademii D-r Szujski odczytał obszernie i szczegółowe sprawozdanie z prac nadesłanych Akademii, działalności komisji, darów i wydawnictw. Ku końcowi tego przeglądu, dającego obraz szybkiego rozwoju Akademii, prof. Szujski rzucił kilka poglądów na stosunek Akademii do kraju; zdobywa ona już sobie uznanie za granicą, lecz w otoczeniu najbliższego społeczeństwa natrafia na zimną atmosferę. Po zajmujących szczegółach i pięknych myślach, zawartych w odczycie p. Szujskiego, odczyt hr. St. Tarnowskiego „O pośmiertnych pismach kasztelana Wężyka,“ uzupełnił posiedzenie, wzbudzając powszechne zajęcie: Członkowie Akademii, tak miejscowi, jak zamiejscowi, zgromadzili się niemal w komplecie. Naprzeciw estrady, zajętej przez zastępcę protektora prezesa i sekretarza zasiadli dr. Zyblikiewicz, prezydent miasta, delegat namiestnictwa szambelan Bobowski i inni zwierzchnicy władzy; publiczność obu płci zgromadziła się licznie.

Ułamek „Tragedyi żebraczej”

z 1552 roku.

Wiadomo, że oddawna rzadkie inkunabuły polskie zwracały na siebie uwagę uczonych i miłośników przeszłości. Przedmiot ten i dziś budzi zajęcie. Ze praca podobnego rodzaju acz zmusna, może oddać w pewnym zakresie przysługę literaturze ojczyściej, nie wi dzimy potrzeby udowodniać, a natomiast dzielimy się wiadomością o znalezionym przez nas ułamku w okładzinach księgi pisanéj w róż nych czasach (rozpoczętej 1559 r., skończonej 1777), a zawierającej, oparte na powadze prawa magdeburskiego niektóre akta wójtow skie b. miasta, a dziś osady Krzyżanowic położonych w gubernii Kie leckiej, powiecie Pinczowskim.

Nie myślimy przeceniać ważności tego odkrycia, ale widzimy się w obowiązku oznajmić, że po skrzętném przeczytaniu dzieł nie których źródłowych bibliograficznych jak: Janockiego, Bandtkiego „*Historja drukarni krakowskich*,” Lelewela „*Bibliograficznych ksiąg dwoje*,” Hieromina Juszyńskiego „*Dykcjonarz Poetów Polskich*,” Wójcickiego „*Teatr starożytny w Polsce*“ (2 tomy) i tegoż autora, „*Biblioteka starożytnych pisarzy polskich*” (6 tom.), żadnej wzmianki o rzeczonej książce nie znaleźliśmy, choć w przytoczonych dziełach, a szczególnie w Janockim i Lelewele rzadsze inkunabuły polskie wymieniono. Ułamek ten składa się z trzech kartek in 8-o minori. Na pierwszej kartce mieści się tytuł:

*Thragedya żebracza, nowo
uczyniyona
Wybiyano w Krákowye
przez Łazárzá Andryswiciá
Roku 1552.*

Na odwrotnej stronie kartki tytułowej znajduje się drzeworyt, wyobrażający osoby w pochodzie. Druga kartka, zawierająca przed mowę i dedykacją całkiem uszkodzona; z pozostałych ułamków od czytać można, że wzmiankowana tragedia dedykowaną była uczo nemu Andrzejowi Trzeciewskiemu, autorowi wielu dzieł prozą i wier szem pisanych, sekretarzowi króla Zygmunta Augusta. Na pozosta łych dwóch następnych kartkach znajdują się wiersze, które tu do słownie, w dzisiejszej pisowni przytaczamy:

Argument.

Posłuchajcie wszyscy mało,
Co się mnie widzieć przydało:
Widziałem jednego roku,

Przed Częstochową w *Potoku*, ¹⁾
 Wszystko zuchwałe żebraki,
 Zgromadzone jako szpaki,
 Przespiecznie tam poczynali,
 Nikogo się niewstydali;
 Nabożeństwo porzucili,
 Godowali, dobrze pili,
 I wójta sobie wybrali,
 Trzeci pieniądz mu składali.

Pytałem ich zkądby byli,
 A na co się zgromadzili.
 Odpowiadali mi śmieje:

„Byliśmy gdzie i ty, w kościele,
 Idziemy z gór, drudzy z dołu,
 Zeszliśmy się tu to społu.
 Chodząc do tej miłej *świątci*, ²⁾
 Gdzie co dadzą przebóg *wzytci*,
 Ieśliby nas podarował,
 Będziec każdy z nas dziękował,”

Ali wnet po małej chwili,
 Wesele sobie stroili;
 Z gospodarzem się zmówili,
 Piwo wszystko zakupili,
 Tam wszystko po woli mieli,
 I byli hojnie weseli.

Trafił się kupiec z przygody,
 Zwiódł z nimi swar, miał *złe gody*;
 Przestraszyli go cepami,
 Byli wszyscy i z babami;
 Był tam w strachu w *wyelgyey* męce,
 Bo nań były gęste ręce,
 Ale ich dojeżdżał słowy,
 Miał na nie język gotowy.
 Temi je pobudził na *sye*,
 Musiał *pirzchnąć na zad zasye*,
 Gdy mu oczy suto *pyaskyem*,
 Za *ssyyę* dano *pocyaskyem*.
 Rozmaicie go ćwiczyli,
Wacek ³⁾ wzięli, kijmy bili;
 Tak baby jako dziadowie,
 Poczynili znaki w głowie.

¹⁾ Mowa o Potoku Złotym, własności hr. Krasińskiego, w gubernii Piotrkowskiej, powiecie Bendzińskim.

²⁾ Świątce—ia, święte miejsce.

³⁾ Wacek, worek, torba, kaleta.

Jam spokojem w kącie siedział,
 Co miało być, dobrzem wiedział;
 Wołałem tak uleż cało,
 Niźliby się w łeb dostało.
 Słyszac takie rozmawianie,
 Uczyniłem to spisanie,
 Na *Tragedyę* wystroił,
 Co ten kupiec z dziady broił!

Persony które rozmawiają

Wójt		Wrywant
Dygudey,		Pędziwiatr,
Gospodarz,		Zyszka,
Kupiec		Kłysz,
Pisarz,		Wilkołek,
Szczudło,	Trzy	Mitiana czarow(nica)
Parzychost,	baby	Magora czarow(nica)
Dygudey,		Sambura, pani
Toboła,		młoda,
Gołba,		Panna.

Act Pierwszy,

Wójt mówi ku towarzyszom.

„Nuże bracia posłuchajcie,
 Coście poczęli konajcie;
 Niechaj k'nam przyjdzie pan młody,
 Chceli nam wystroić gody,
 Aby swój umysł objawił,
 Coby się każdy przyprawił.

Wójt mówi.

Samo się nam dobrze wodzi,
 Kiedy społu chodzą młodzi,
 Będziec wszystko dwornie, strojnie,
 Jedno nalewajcie hojnie.

Przytoczony ułamek zasługuje na bliższą uwagę z dwu przyczyn: raz z powodu drukarni, w której tę „tragedyę“ wyłoczono, powtórę dla swęj starożytności w rocznikach dziejów polskiej dramaturgii. Co do pierwszego punktu, rzecz się tak ma: wszystkie książki, wyłoczone w drukarni Łazarzowej ¹⁾, (a więc i ułamek rzeczonyj

¹⁾ Drukarnia Łazarzów otrzymała nazwisko od pierwszego jej założyciela Łazarza Andrysiowicza i istniała pod tą firmą według Lelewela (str. 181 tom I, Bibliografi: ksiąg dwoje) przez 97 lat. Żadna podówczas drukarnia, mówi w dziele swém Lelewel i w piękności i liczbie wydrukowanych dzieł i w ich ogromie nie wyrównywała ofioynie Łazarzów. Ubiegać się może o wielką chwałę z najpierwszymi podówczas w Europie typografiami. P. A.

tragedyi) według twierdzenia Janockiego, pod względem wartości bibliograficznej należą do wielce poszukiwanych. Dlatego też, o ile nam się zdaje, Lelewel w dziele „Bibliograficznych ksiąg dwoje“ przytaczając rzadsze dzieła polskie (tom I, str. 133—161), szczególniejszą zdaje się zwracać uwagę na książki, z Łazarzowej oficyny pochodzące. Co się zaś tyczy drugiego punktu, to dość nadmienić, że dyalogi komiczne, do których i wspomniona tragedia należy, pod tę właśnie porę drukiem zaczęły być ogłaszane.

ks. Władysław Siarkowski.

KORRESPONDENCYA.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

W rozmaitych pismach została umieszczona mylna wieść, jakoby szkoła nasza zamkniętą została. Szkoła w ogóle nie została zamkniętą. Nakazem naczelnego prezesa W. Ks. Poznańskiego wydalić się miało z niej kiku profesorów i znaczna liczba uczniów. Wykonanie tego rozkazu przecież w skutek starań podjętych w ministerstwie, ztamtąd telegraficznie wstrzymaném zostało.

Donosząc to upraszam szanowną redakcyę o łaskawe sprostowanie téj mylnéj wieści, w części redakcyjnój, z nadmienieniem, że wykłady pótrocza zimowego rozpoczną się dnia 15 października r. b.

Z poważaniem

Dyrekcya Wyższej Szkoły Rolniczej Imienia Haliny

Żabikowo, 3 lipca 1875 roku.

d' Au.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Pisma Towarzystwa ekonomistów austriackich. Kwestya waluty. Referat D-ra Teodora Hertzki ¹⁾. Wiedeń, u Manza, 1875. Str. 60.

Niedawno zawiązane w Wiedniu Towarzystwo ekonomistów austriackich, na pierwszym swoim zjeździe rozbiierało rozmaite kwestye, ekonomiczném położeniem kraju wywołane. Kwestye te przedstawili członkowie Towarzystwa, którzy mieli je sobie oddane do referatu. Referaty ogłoszono drukiem.

Zjazd odbyty w Wiedniu zastanawiał się nad kwestyami podatkowemi, kredytowemi, celnymi i taryf dróg żelaznych. Przedstawili je zebraniu pp. Biliński, Hertzka, Höfken, Hübeck, Wirth i inni. Z prac tych najwięcej ogólnego zajęcia wzbudza referat D-ra Hertzki o kwestyi waluty. Zamierzylimy dać go poznać czytelnikom Biblioteki, uzupełniając wiadomościami z innych źródeł zaczerpniętymi.

Austria, tak jak większa część państw europejskich, zmuszoną bywała niejednokrotnie uciekać się do nadmiernego pomnożenia znaków obiegowych dla zaradzenia gwałtownym potrzebom finansowym. Pierwszy okres wojen z Rzeczpospolitą francuzką i Napoleonem, spowodował w ciągu lat kilkunastu wypuszczenie tysiąca sześćdziesięciu milionów złotych austriackich w bankocetlach. Tak znaczna ilość monety papierowej uległa obniżeniu swojej wartości do sześciu za sto. Nie znaleziono na to innej rady nad ogłoszenie bankructwa. Patentem z roku 1811, zredukowano wartość bankocetli na $\frac{1}{3}$ część, czyli na 20 za sto; wymieniono je nie na gotowiznę, lecz na inne papiery zwane wykupnemi (*Einlösungsscheine*). Gdy wszakże wojny toczono w latach 1813—1815 pociągnęły za sobą zwiększenie ilości papierów wykupnych z dwustu dwunastu na pięćset dwadzieścia ośm milionów, i te papiery spadły w kursie do czwartej części imiennej wartości. Po przywróceniu pokoju założony został bank Austriacki w roku 1816, mający za jeden z celów mu naznaczonych, przywrócenie normalnej cyrkulacji w Austrii. Powierzono bankowi wycofanie z obiegu *einlösungsscheinów*, co miał dopełnić płacąc za nie swojemi biletami lub gotowizną, według żądania zgłaszających się o wymianę. Wymianę uskuteczniano po kursie z początku chwiejnym, w roku 1820 na 40 za sto stale oznaczonym. Operacya ta stale przeciagnęła się aż do

¹⁾ Po niemiecku, tytuł w oryginale brzmi: „Schriften der Gesellschaft oesterreichischer Volkswirthe. Die Valuta-frage. Referat von D-r Theodor Hertzka.

piątego dziesiątka bieżącego stolecia. W obiegu pozostała tylko gotówka i bilety bankowe. Gdy wymiana tych ostatnich na gotowiznę odbywała się bez trudności, przyjmowane były w obiegu na równi ze srebrną, a nawet jako dogodniejsze przy większych wypłatach, zyskiwały mały nadatek ¹⁾. Zaświadcza to Tegoborski w swoim dziele „O finansach austriackich” (str. 98—99 wydania niemieckiego). Twierdzeniu tego autora jako współczesnego i posiadającego dobre źródła informacji, dajemy pierwszeństwo przed przeciwnym twierdzeniem D-ra Hertzki, który na stronie 48 swojej broszury pisze, że w owym czasie banknoty w obiegu publicznym zaledwie istniały i służyły tylko do obrotów bankierskich.

Cóżkolwiekby Austrija około roku 1848 cieszyła się przywróceniem normalnego stanu swojej waluty. Ilość wypuszczonych przez bank austriacki biletów zwiększała się stopniowo, ale nie przeszła przyzwyczajonej miary.

Wypadki przecież lat 1848 i 1849 (wojna włoska, powstanie węgierskie) wtrąciły znowu Austrię w otchłań papierowej cyrkulacji, z której aż dotąd wydobyć się nie może. Finanse austriackie i przed rokiem 1848 nie były w świetnym stanie; zachwianie się pokoju zwichnęło stanowczo ich równowagę. Rząd począł znowu wypuszczać papierową monetę. Bank czas jakiś starał się wprawdzie utrzymać wymianę biletów swoich na srebro, lecz po wyczerpaniu dwóch trzecich części swego zapasu gotowizny, zmuszony był (22 maja 1848 r.) zawiesić wymianę. Następstwem tego był spadek wartości obiegowej biletów, spadek, który różne przechodząc koleje, trwa po upływie lat dwudziestu siedmiu.

Zastanawiając się nad zmianami, jakim w ciągu tego czasu uległ stan cyrkulacji w Austrii, znajdziemy że w dwóch peryodach, obok biletów bankowych, wypuszczane były w tym kraju i papiery skarbowe. Miało to miejsce naprzód w latach 1848 do 1852. W ostatnim roku przywrócono znowu wyłączność obiegu biletów bankowych. W roku 1866 powrócono do systemu podwójnej emisji bankowej i skarbowej i ten systemat utrzymuje się dotychczas. (Bilety jedno, pięć i pięćdziesięcio-guldenowe są skarbowe).

Zwracając następnie uwagę na łączną wysokość cyrkulacji i stan nadatku, ku czemu posłużyć może zestawienie cyfr przez pana Hertzkę w tablicach 1 i 21 podanych, znajdziemy, że okolicznością głównie wpływającą na wysokość cyrkulacji austriackiej i na jej cenność czyli

¹⁾ Przewodnik naukowy i literacki za rok 1874, I, wydrukował artykuł p. Kubali p. t.: „Mieszczanin w XVII wieku.” Są w nim wyciągi z księgi sklepowej Jana Markowicza kupca korzennego w Krakowie. Markowicz na oznaczenie ażyja używa wyrazu nadatek; zamiast płacić ażyjo, pisze nadawać (str. 408). Uznając te wyrazy za właściwe, spróbowałem w niniejszym artykule wprowadzić je na nowo w użycie. Lindo w Słowniku swoim, powyższego znaczenia wyrazów: nadatek i nadawać nie zamieścił.

na wysokość aźja, były w tym okresie wypadki wojenne. Każda wojna albo prowadzona przez Austryę, albo nawet zagrażająca jej tylko, pociągała za sobą zwiększenie ilości znaków obiegowych i zmniejszenie ich kursu w stosunku do srebra. Od tego prawidła jeden tylko znacznie-szy postrzegamy wyjątek. W roku 1868 wypuszczenie znacznej ilości papierów zwiększając wysokość cyrkulacyi, obniżyło jej kurs bez wpływu zewnętrznych okoliczności. Lecz i ten wypadek lubo wydarzony w czasach niezakłóconego pokoju uważać można za skutek jakkolwiek nie bezpośredni, wojny austriacko-pruskiej, prowadzonej w r. 1866.

Drugą uwagą następczą się z przejrzenia tablic wykazujących stan obiegu i nadatku jest, że po każdym zwiększeniu się tych obojga, następowała epoka, w której przy stosunkowo ustalonym pokoju, kurs papierów dążył do podwyżki, a to bez stanowczego względu na okoliczności, czyli i o ile zmniejszyła się równocześnie ilość biletów będących w obiegu. Widocznie cyrkulacya lubo z początku nadmierna, po jakimś czasie układa się do równowagi z potrzebami społeczności, które tak sobie przyswajają nadmiar cyrkulacyi, jak organizm obce sobie żywioły z czasem chłonie i trawi.

Zgodnie z powyższemi postrzeżeniami możemy odróżnić w stanie cyrkulacyi austriackiej od roku 1848 do 1874 pewne okresy poczynające się zawsze zwiększeniem cyrkulacyi i spadkiem jej wartości, a w dalszym swoim przebiegu wykazujące polepszenie się waluty; czasami zaś, lubo nie zawsze i zmniejszenie się ilości znaków obiegowych. Trwa to aż do następnego kryzysu, przyczem nie od rzeczy będzie wskazać na ten patologiczny symptomat, że przy każdym nowym kryzysie, cyrkulacya wykazuje cyfry rosnące w porównaniu z cyfrą, do której doszła w kryzysie poprzednim.

Okresy cyrkulacyi austriackiej od roku 1848 przyjmujemy następnę:

Pierwszy okres od rewolucyi lutowej (1848) do wojny wschodniej (1854).

W tym okresie cyrkulacya pod wpływem ówczesnych wypadków wzrasta do 255 mil. (1850). Następnie zniża się stopniowo do 188 milionów. Zaburzenia czerwcowe 1848 r. w Paryżu; wojna z Węgrami (1849); zatargi z Prusami (1850), podnoszą do 17%, 22% i 33% aźjo, które następnie spada do 6½%, 7% i 8%.

Drugi okres od wojny wschodniej (1854) do wojny włoskiej (1859).

Pod wpływem uzbrojeń i obaw wywołanych wojną wschodnią, ilość znaków obiegowych zwiększoną została prawie o 200 milionów; aźjo doszło w roku 1854: 27,75%. Odtąd pomimo iż cyrkulacya co do ilości trwa w mierze, przedstawiając tylko małoznaczące różnice; aźjo stopniowo zmniejsza się aż do końca 1858 r. Nawet przesilenie handlowe z r. 1857 podniosło aźjo tylko do 8%. Jak wiadomo zamierzono z rokiem 1859 wrócić do normalnych warunków cyrkulacyi, otwierając kassę wymiany, gdy przemówienie Napoleona III na przy-

jęciu noworoczném 1859 r., zapowiadając wydaną następnie w kwietniu t. r. wojnę, obaliło przywróconą już prawie równowagę cyrkulacji austriackiej. Rozpoczyna to trzeci okres trwający od 1859 do wojny prusko-austriackiej w roku 1866.

Porównyując poprzedni kryzys roku 1854 z kryzysem 1859 r., znajdziemy że w ostatnim roku zwiększenie cyrkulacji nie było tak znaczne co w pierwszym. Wyniosło bowiem tylko 80 milionów zamiast 200. Pomimo tego, spadek kursów był i znaczniejszy i trwał dłużej niż w kryzysie kampanii krymskiej. Ażjo w roku 1859 podane jest przez D-ra Hertzkę tylko na 20,62%, lecz w roku następnym wzrasta do 32,25%, a w roku 1861 nawet do 41,25%. Tak silne było wstrząśnięcie, któremu uległa Austria skutkiem wojny włoskiej! Odtąd w latach 1862—1866 starano się skutecznie o zmniejszenie wysokości cyrkulacji, co zaniehdbaném było w poprzedniej epoce pokojowej, od 1854—1859. Cyrkulacya spadła o przeszło 120 milionów, czyli do 351 milionów. Wynosiła zatem przeszło o 30 milionów mniej, niż w roku 1858. Ażjo zeszo w końcu 1865 roku do 8,32%; wynosiło 4% więcj niż w końcu 1858 r.

Czwarty okres rozpoczyna wojna prusko-austriacka w roku 1866. Okres ten trwa do wojny prusko francuzkiej w roku 1870. Przebieg tego okresu nie jest tak normalny co dwóch poprzednich. Dzieli się on na dwie połowy. W pierwszej, po nastąpionj podwyżce ażja, zwykłą koleją rozpoczyna się jego spadek, lecz spadek nie trwa do końca okresu, ale tylko do sierpnia 1868. Zwiększenie cyrkulacji z powodu potrzeb skarbowych daje w tym czasie powód do nowego zwiększenia nadatku. Zwiększenie cyrkulacji w roku 1866 wynosi 148 milionów, lecz wzrost jój nie kończy się z tym rokiem. Widzimy cyfrę prawie o 50 milionów wyższą w roku 1867 a rok 1868 podnosi cyrkulacyą o nowe 134 miliony, tak że ogólna jój ilość przewyższa 682 miliony. Ta okoliczność przerwała—czego cyfry przez pana Hertzkę podane dostatecznie nie uwydatniają—rozpoczęte już zniżenie ażja, które przeszedłszy w r. 1867 24%, spada do 1 sierpnia 1868 r. do procentów 11. Odtąd poczyna się nowy wzrost nadatku, który w marcu 1869 r. przechodzi 24% a potem znowu spada.

Piąty okres rozpoczyna wojnę prusko-francuzką w latach 1870/1. Pod wpływem tój wojny ażjo doszło 31% i stało ciągle wyżej 20%. Dopiero w latach 1872, 3/4 zniżyło się stopniowo do 5%, pomimo że ogólna wysokość cyrkulacji w tym okresie czasu wzrastała (w roku 1873 doszła swego maximum około 703 mil.). Rok 1874 przedstawia cyfrę o 70 mil. niższą. Cyrkulacya wynosi już tylko 630 mil; zawsze więc jest wyższą niż w roku 1869, niż w jakimkolwiek z lat, rok ten poprzedzających, oprócz 1868.

Peryody przez nas odróżnione w stanie cyrkulacji austriackiej od 1848 do 1875 różnią się od podanych przez p. Hertzkę (s. 13). Odstąpiliśmy od jego układu z namysłem, uzasadniając nasze postąpie nie powyżej zamieszczoném wyjaśnieniem. Układ p. Hertzki ma za

podstawę lata kalendarzowe. Lecz wypadki wpływające na stan kredytu, nie trzymają się kalendarza, nie następują zawsze z początkiem roku, ani też wpływ ich nie kończy się z jego upływem. Jeżeli skutkiem tych wypadków ażjo wznosi się nagle i peryod jego wzrostu nie trwa roku całego, peryod ten znika w przedstawieniu p. Hertzki. Zład rozpoczyna on np. z rokiem 1854 peryod zniżenia się ażja; tymczasem wybitną cechą finansową tego roku było właśnie podniesienie się ażja. Nie zwracając dość bacznój uwagi na podniesienie się ażja poprzedzające jego spadek, p. Hertzka nie wskazuje żadnej prawidłowości w przebiegu różnych faz, które przechodziła cyrkulacja austriacka, ani też nie odnosi tych faz do istotnych ich przyczyn. Nie było to wprowadzie jego głównym zadaniem, niewłaściwe jednak przedstawienie okoliczności ubocznej, ujęło dokładności jego szacownej z innych względów pracy.

Praca ta spowodowana długo trwałym chorobliwym stanem cyrkulacji austriackiej ma za punkt wyjścia różnice istniejące w zapatrywaniu się na konieczność przywrócenia normalnego stanu cyrkulacji, co jedni za rzecz nagłą uważają, inni zaś skłonni są puścić w odwołkę.

Ostatni na uzasadnienie swego zdania przywodzą, jak p. Hertzka nadmienia, cztery następne uwagi: 1-o, że obniżony kurs papierów obiegowych w Austrii działa tak samo jak cło ochronne przeciwko konkurencyi zagranicznej; że w obecnej chwili kiedy stosunki produkcji ulegają w Austrii przesileniu, niebezpiecznymby było tę ochronę usunąć; 2-o że przywrócenie normalnego obiegu zmniejszyłoby ilość środków obiegowych, co pociągnęłoby za sobą zwyżkę stopy procentowej, a to znowuż wpłynęłoby niekorzystnie na produkcję; 3-o, że dla przywrócenia normalnego obiegu wypadłoby zaciągnąć znaczną pożyczkę, której koszt nadweryżyłby równowagę i tak już utrzymać się nie dałaby finansów austriackich; że uciekać się do tego środka nie ma potrzeby, gdy ażjo stopniowo się zmniejsza i można się spodziewać zupełnego wyrównania kursów bez jakiejbądź operacji finansowej; 4-o, że w obecnych okolicznościach łatwo mogłaby nastąpić potrzeba pomnożenia ilości biletów obiegowych skarbu, a tak ofiary ekonomiczne i finansowe jakieby poniesiono dla przywrócenia normalnego obiegu okazałyby się nadaremne.

Odparciu tych czterech zarzutów poświęcił p. Hertzka swoją rozprawę.

Najobszerniej rozszerzył się nad zarzutem pierwszym, którego rozbiór zajmuje dwie trzecie części i rozprawy.

Pan Hertzka przyznaje, z pewnym jednak ograniczeniem, że ażjo na papierach działa jako środek ochronny dla przemysłu krajowego. Ceny towarów będących przedmiotem handlu wywozowego układają się do równowagi na targu świata w stosunku do złota lub srebra, a gdy te szlachetne kruszce zyskują nadatek w jakim kraju, ceny towarów idą w tym kraju w górę, w przecięciu o całą wysokość ażja.

Natomiast ceny towarów w handlu detalicznym lub niemających bezpośredniego związku z handlem zagranicznym, do których należą pierwsze potrzeby życia i płaca robotników, doznają wprawdzie także wpływu obniżenia się wartości papierów; lecz wpływ ten daleko wolniej skutek swój na nie wywiera, niż na cenę towarów będących przedmiotem handlu zagranicznego. Opóźnienie to w pochodzie cen jest jeszcze większe co do płacy robotników niż co do cen pierwszych potrzeb życia. Ztąd wynika że producenci przemysłowi w chwilach spadania waluty czyli podniesienia się aźja, mają istotnie z początku pewną korzyść, bo za wyrób swój biorą ceny wyższe, odpowiednie podniesieniu się aźja, a przeciwnie za pierwsze potrzeby życia i za najem robotników płacą przez pewien czas po cenach dawniejszych.

Ale chwilowa ta korzyść jest więcej niż wyrównaną w razie odwrotnym, t. j. przy podniesieniu się waluty czyli znizeniu aźja. Jeżeli ceny pierwszych potrzeb życia i płace robotników nie zdążają na równi z cenami towarów będących przedmiotem handlu zagranicznego za postępem aźja, to naodwrot znizenie się cen przedmiotów pierwszego rodzaju wolniej jeszcze następuje w skutek znizenia się aźja, niż ich pochód zwykłowy.

Pan Hertzka twierdzi nawet, że płaca robotników w Austrii zwiększa się wprawdzie skutkiem wzrostu aźja, ale nie spada wcale skutkiem jego znizenia. Pan Hertzka przypisuje to zjawisko ekonomiczne brakowi rąk do pracy w Austrii, skutkiem czego łatwiej jest robotnikom korzystać ze sposobnej chwili jaką następuje wzrost aźja, dla otrzymania podwyżki płacy, niż pracodawcom obniżyć tę płacę w razie zmienienia aźja (str. 38). Wygórowana cena pierwszych potrzeb życia i płacy robotników, niekorzystnie oddziaływa na produkcją krajową, zwłaszcza tam gdzie spotyka konkurencyę zagraniczną. Ztąd p. Hertzka stawia wniosek, że chwianie się waluty uszkadza jak najmocniej produkcją krajową, a tak upada zarzut, iż przywrócenie równowagi cyrkulacyi mogłoby zaszkodzić produkcji.

Wywody swoje tu w streszczeniu przywiedzione, p. Hertzka poprzedza szeregiem tablic cyfrowo wykazujących stosunki z wywodami temi związek mające.

P. Hertzka dowodzi naprzód (tabl. 1), że cena waluty wyższa lub niższa, nie wywierała stanowczego wpływu na handel zagraniczny, gdy stosunek przywozu do wywozu okazuje się być niezależny od stanu aźja.

Dalsze tablice (2—20) ułożone według najrozmaitszych kombinacyi rachunkowych wykazują ten rezultat, że ceny w Austrii podniosły się w ciągu ostatnich lat 26 w daleko wyższej mierze niż za granicą, a to nietylko co do różnych gatunków zboża, lecz i co do innych przedmiotów i że ta zwyżka cen, licząc je na srebro, głównie miała miejsce w czasach polepszenia się waluty papierowej, a była daleko mniejsza w czasie spadania waluty.

Porównyując ceny austriackie z zagranicznymi, p. Hertzka wyłączył ceny zboża dlatego, że uznanem jest powszechnie a szczegółowo wykazanem przez pana Laspeyres, iż skutkiem ulepszonych komunikacji, ceny zboża dążąc do urównowazenia się, zwiększyły się więcej w krajach wywozających zboże niż w krajach potrzebujących przywozu, w Anglii nawet spadły. Zrobimy tu przeciw uważę, że gdy inne prócz zboża przedmioty, przez pana Hertzkę do porównania stawione należą do płodów surowych, ulepszenie komunikacji nie pozostało i na ceny tych przedmiotów, bez ważniejszego wpływu, lubo nie w takim może stosunku jak co do zboża.

Ceny zagraniczne stawiane do porównania przez p. Hertzkę, który w tym punkcie użył w części za podstawę pracy p. Karola Strasburgera i wyraża się z uznaniem o tym naszym ekonomście, pochodzą z Niemiec, Szwajcaryi, Anglii, wyjątkowo z Francyi t. j. z krajów wyżej w rozwoju przemysłowym stojących niż Austria. Wypadek porównania byłby pełniejszy, gdyby p. Hertzka zwrócił był uwagę i na ceny społeczne w krajach na równi lub mniej od Austrii rozwiniętych. Jego wniosek o większym wzroście cen przy spadku srebra niż przy zwiększeniu się jego wartości w stosunku do papierów, polega na zestawieniu cen przecięciowych w ciągu przyjętych przez niego peryodów spadania i podnoszenia się ażja. Wykazaliśmy powyżej dlaczego ustanowienie tych peryodów uważamy za niedokładne; wpływa to niekorzystnie na pewność osiągniętych rezultatów.

Rzucą następnie p. Hertzka wątpliwość, czyli owe fenomena zwyżki cen nienależałoby przypisać nieurodzajom, podwyższeniu podatków i prowadzonym wojnom raczej, niż chwianiu się waluty (s. 33).

Aby wątpliwość tę rozstrzygnąć p. Hertzka podaje ogólny pogląd na urodzaje w Austrii w różnych latach, porównywa je z poprzednimi podaniami stosunkami cen równoczesnych i przychodzi na tej podstawie do wniosku (str. 34), że wypadek żniw nietylko nie wyjaśnia dostatecznie fluktuacji cen, ale nawet stoi z temi fluktuacyami najczęściej w najwyraźniejszej sprzeczności. Co do podwyższenia podatków p. Hertzka jest zdania (str. 34—36), że podwyższenie ogólne podatków nie wpływa na ceny; nakładanie podatków na szczególne przedmioty, czyni je droższymi, lecz z takich przedmiotów tablice p. Hertzki objęły tylko piwo, którego ceny rzeczywiście podniosły się znacznie niż inne, co jednak dokładności ogólnego twierdzenia nie osłabia. Zresztą największa zwyżka cen przypada właśnie na lata, w których podatki nie były podwyższane. Wpływ wojen okazuje się także mało znaczącym i dla wytłumaczenia fenomenu zwyżki cen nie wystarcza (str. 36—37)

Tak więc trzy inne, niż fluktuacja waluty okoliczności, mogące wywrzeć wpływ na podniesienie się cen, nie okazały się stanowczymi.

Nie zaprzeczając wyników starannych badań p. Hertzki, nie pominiemy następczących się nam wątpliwości, które w przyjęciu wniosków p. Hertzki doradzają, zdaniem naszym, wielką ostrożność. Zgadamy się z nim na to, co zresztą dawno ekonomiści już utrzymywali,

że ceny przedmiotów handlu zagranicznego okazują większą wrażliwość na stosunki waluty niż artykuły pierwszych potrzeb życia i płace robotników; ale właśnie ze względu na tę okoliczność nie można zaprzeczyć trudnościom, jakie towarzyszą przywróceniu normalnej cyrkulacji. Ztąd w przywiedzeniu do skutku tej reformy zwracać należy większą bacność na czasowe i miejscowe stosunki, niż tego potrzebuje p. Hertzka przypuszczać się zdaje.

Drugi zarzut przeciw natychmiastowemu przywróceniu równowagi cyrkulacji polega na przypuszczanym wpływie tej operacji, na podwyższenie się stopy procentowej.

P. Hertzka zarzut ten odpięra przywołując głównie: że chwianie się waluty odstręcza kapitały zagraniczne od napływu do Austrii, gdzie nadto, jak niekorzystny kurs wekslowy dowodzi, pieniądze mają mniejszą wartość niż zagranicą; zatamowanie zaś przyptywu obcego kapitału przyczynia się do podwyższenia stopy procentowej (str. 51).

Trzeci zarzut przeciw przywróceniu normalnej cyrkulacji polega na przywiedzeniu, że operacja finansowa potrzebna dla dopięcia tego celu obciążałaby skarb austriacki znacznym wydatkiem, którego nie zdaje się zachodzić potrzeba, gdy kurs papierów w ostatnich czasach ciągle się podnosi i dąży do wyrównania ze srebrem.

P. Hertzka odpowiada na to, że faktyczne przywrócenie równowagi cyrkulacji t. j. zniknięcie nadatku, gdyby nawet, co jest wątpliwym, spodziewać się go można, nie zaradziłoby złemu, niedając żadnej rękojmi, że przy najmniejszym wstrząśnieniu cyrkulacja znowu się nie zachwieje. Trzeba więc użyć środków stanowczych, wycofać z obiegu wszystkie bilety skarbowe, jako niewymienialne na srebro. Koszt pożyczki w tym celu zaciągnąć się winnej, p. Hertzka oblicza na 13 mil. gulden. rocznie; mniema przecież że skarb zyskałby przez ustanie ażja 3½ mil. rocznie na opłacie procentów od długu krajowego w srebrze płatnych; 2½ mil. zyskałby skarb na zakupach materiałów, których ceny spadłyby, jak p. Hertzka mniema o całą wysokość ażja. Podzielając nawet to przypuszczenie, znajdziemy zysk sześciu mil. osiągnięty kosztem 13 mil. wydatku. Popierając swoje zdanie p. Hertzka, dodaje, że skarb zyskałby wysokość ażja na całości swoich wydatków a przedewszystkiem zabezpieczyłby się przeciw znaczniejszym stratom, jakie go spotkać mogą w razie nowego podniesienia się ażja.

Jest nieco prawdy w tych twierdzeniach, sędzę jednak, że p. Hertzka zbyt różowo rzeczy widzi, kiedy na końcu swojej broszury stawia tezę, że skarb przywracając równowagę waluty, bezpośrednio ztąd korzyść odniesie (str. 60). Kto wpadł w jamę, ten rzadko bez szwanku z niej wydobyc się zdoła.

Nakoniec zarzut czwarty, że nadaremnie byłoby przywracać równowagę cyrkulacji wczasach tak niepewnych jak nasze, gdy lada chwila nastąpić może potrzeba nowych emissji papierów, p. Hertzka odpięra przywiedzeniem, że właśnie z tego powodu, iż wypuszczenie papierów obiegowych przez skarb jest lekarstwem w ostatnich razach, po-

treba możność użycia tego lekarstwa zapewnić przywracając równowagę cyrkulacji w czasie pokoju.

Brozura p. Hertzki, jakkolwiek nie podzielamy wszystkich jego poglądów, zasługuje na uwagę, szczególniej ze względu na bogaty materiał nagromadzony w licznych tablicach. Każdy zwolennik nauki ekonomicznej z pożytkiem i przyjemnością odczyta rozebraną przez nas pracę.

F. Z.

Ostatnie chwile księcia wojewody (Panie Kochanku). Z papierów po Glince spisał J. I. Kraszewski. Warszawa 1875. Nakład Gebethnera i Wolffa. W drukarni J. Jaworskiego, (w 12-ce str. 195).

Żadna z najznakomitszych postaci mężów XVIII stulecia, od czasów konfederacji Barskiej, nie była tak popularną w całym narodzie jak książę Karol Radziwiłł, zwany *Panie Kochanku*. Litwinów uwielbienie dla niego nie miało granic, jak koroniarze znowu z upodobaniem powtarzali jego dykteryjki i dowcipy, bądź jego własne, bądź na rachunek Pana Kochanku wytworzone.

Zaprawdę oryginalna to była postać tego, jak starzy Polacy nazywali *panosza*, który utrzymywał na swoim koszczie sześć tysięcy nadwornego wojska, całą Litwą trząsł i ogromne bogactwa posiadał.

Pamięć księcia Karola z przeszłego wieku w żywem słowie podana, przechowała się długo i w pierwszej połowie naszego stulecia: odżywił ją Henryk Rzewuski w *pamiętkach Soplicy*, a w ostatnich latach J. I. Kraszewski coraz częściej nam ją przypomina, już to w drobnych utworach dramatycznych, już w zajmujących opowiadaniach. Powab jaki ma nasz ulubiony pisarz do téj postaci, łatwo możemy wytłumaczyć tém, że najmłodsze lata dziecinne przepędził w Białej, w szkołach wówczas istniejących, gdy zamek Radziwiłłowski powoli szedł w ruinę, ale wszystkie jego zakątki pełne były wspomnień wielkiego magnata.

Te wspomnienia studenckich czasów tém silniej odżywiają się w każdym, im bardziej w lata sędziwe zachodzi.

J. I. Kraszewski, pod gołdem na czele położoném:

„*Sicut vita
Mors ita.*”

rozpoczyna opowiadanie *Glinki* o księciu *Panie Kochanku*. Zbliżały się widocznie ostatnie chwile jego życia. „Okrutnie się zmienił, sposepniał, znudniał, stał się milczącym, ponurym, obojętnym na wszystko. Bywało siądzie na krześle, ręce na brzuchu splecie, palcami nabrzękłemi kręci, głowę na piersi zwiesi, sapie i milczy.“

Dodajmy do tego, że Bóg go największém kalectwem dotknął, bo ślepotą.

Z Nieświeża jechał teraz do Białej. W Sławatyczach odpoczywa dni kilka. Tu Glinka z urywanych słów księcia dostrzega, że go jakaś tajemna troska gniecie. Poplątane wspomnienia z lat dawnych od czasów konfederacji Barskiej z późniejszymi zdarzeniami, odpedzał ze swęj pamięci. Ale wśród nich, jak kamień ciężyło widmo niewieście: z trwogą słyszał nieraz wymówione słowa:

— A widziałeś ją? Taka piękna jak i była, taka dumna i nieubłagana. Nie przebaczyła mi *Panie Kochanku!* nie! czekać muszę i dusza nie wyjdzie z ciała aż mię ona rozgrzeszy!

Kiedy Glinka tój spowiedzi pana swego słucha, i imię jakiegś *Felisi* zachwycił we śnie jego wyszeptane, uprosił starszego dworzanina łowczego Wiśniowskiego, który oddawna był w służbie księcia, ażeby mógł go w tём objaśnić.

Łowczy rozpoczyna swą opowieść od hulaszczycch lat młodych *Panie Kochanku*, kiedy w okolicy Nieświeża wszystko przed nim drżało, gdy nie znał hamulca swoim zachciankom i namiętnościom burzliwym i po całej Litwie znano go z tych wybryków nieraz krwią oblanycch.

W Słuczczyniie mieszkał szlachcic niemajątny ale starego rodu, Mikołaj *Wojźbun* a tytuł nosił wojskiego, mający jedynaczkę cudnej urody, zaręczoną z chorążym kawaleryi narodowej Tomaszem Dulembą. Cała okolica brzmiała pochwałami piękności córki pana wojskiego; mówiono tész o tём w Nieświeżu, a Wołodkowicz ciągle kładł w uszy księciu o jēj wdziękach i powabach.

Raz w czasie wieczornej pijatyki, wzięto na zęby Wojźbunównę, a ciągle powtarzano, iż ten książęcy kasek szlachcicowi się dostanie, a książę, wówczas *miecznik* zżymnął się i krzyknął:

— Milczałbyś *Panie Kochanku*, przecię to nie po ślubie a choćby i tak było, jakbym zechciał..

Wołodkowicz się roześmiał i wyrzekł:

— Nie wszystkiego chcieć można...

— Milcz! zawołał książę groźno, ja tego, *Panie Kochanku*, nieznam... co nie można.

Zapamiętał dobrze Radziwiłł swoje słowa, a kiedy dworzanie o urodzie panny Wojźbunówny nie zaprzestawali mu podszeptywać, powziął zgubny zamiar, poznania jēj, i zmuszenia do wzajemności dla siebie. Dowiedziawszy się gdzie ją zobaczyć może, pod pozorem więc łowów wybrał się do kniei, i obóz rozbito w miejscu niedalekiém od kościoła parafialnego, do którego *Rabka Czerwona*, dziedzictwo Wojźbuna należała. Książę przebrany z łowczym Wiśniowskim wcisnął się w ką zacienny.

Właśnie naprzeciwko nich, w pierwszej ławce siedziała z ojcem Wojźbunówna. „Ojciec stary, siwy, figura poważna; choć koło niego ubogo było, na senatora wyglądał. Szaraczkowo zawsze się nosił, jak

to starzy Litwini byli nawykli, w makowym kontuszu. Głowa łysa, włosów już na nią mało co; kręsa przez czaszkę od pałasza taka, że małoby się w niej palec nie schował. Znać za młodu rąbać się lubił. Obok niego klęczała córka: choć malować taka w niej krasa, słuszna bardzo... szykowna, wejrzenie śmiałe, oczy czarne, usta dumne. Patrzała w dużą książkę rozłożoną przed nią i wzroku prawie nie odwróciła od niej przez całe nabożeństwo. Wojski też ręce, w których *koronkę* trzymał, złożywszy, napamięć pacierze odmawiał. Książę się wpatrzył w pannę tak, że o modlitwie zapomniał: przez całą *summę* oka z niej nie spuścił i *po supplikacyach*, ludzie już wychodzili, a on jeszcze patrzył na nią. Gdy się pospolstwo do drzwi ruszyło, przebrał się przez lud drogę sobie torując młody i piękny mężczyzna, w mundurze kawaleryi i *submitował się* ojcu i paninie. Stary go uśmiechem przywitał, a Wojźbunówna rękę mu podała i razem z kościoła wyszli. Za nimi i *Panie Kochanku* z Wiśniowskim się wysunęli niepostrzeżenie. Wózek niepoczesny, parą koni zaprzężony a raczej *kalamaszka* stała, czekając na nich: młody Dulemba dosiadł konia, i tak razem do Rabki pociągnęli.“

Panie Kochanku zadumany i milczący wrócił do myśliwskiego obozu.

Nie taił się z głębokim wrażeniem, jakie młoda i piękna jedynaczka wojskiego na nim zrobiła. Odtąd szukał wszelkich sposobów ażeby ją mógł widzieć i rozmawiać. Zręcznie uchwycił kilka razy sposobność spełnienia swych życzeń, ale gdy w młodej dziewicy znalazł chłodne przyjęcie, dumę, a nawet wstręt do swjej osoby, co zobalone postanowienie, ażeby ją porwać z domu rodzicielskiego. *Panie Kochanku* doznał w tych odwiedzinach zniewagi, gdy usłyszał słowa pałace starego szlachcica:

— Słuchaj ty, mieczniku litewski, ty co swojemi szałami pocziwe gniazdo kalasz, młokosie ty opętany, jeśli się nogą ośmielisz stąpić na mój grunt, tak mi Boże dopomóż i Najświętsza Męko Jego, jak psu w łeb ci strzele!

Nie długo *Fanie Kochanku* spełnił powzięte postanowienie i z tłumem dworzan podpiętych i przyjaciół swego domu, napadł dwór Wojźbuna; wyłamano bramę, a gdy ranny stary szlachcic nurzał się we krwi własnej, gdy córka odważna daremnie go ratować chciała, porwana została i uwieziona.

Po tygodniu w którym książę branki swojej nie odstępował na odległym folwarku, niewiadomo jakim sposobem Wojźbunówna uciekła. *Panie Kochanku* wrócił do Nieświeża, ale wielce zmieniony i smutny. Tymczasem wieści nadeszły że ojciec z córką schronili się do Wilna i tam zamieszkali. Okrzyk zgrozy i oburzenia na gwałt szanowanemu szlachcicowi zadany, wzniosł się po całej Litwie. Zuchwały panek, teraz trawiony zgryzotą, z trwogą oczekiwał wytoczenia procesu ze strony wojskiego. Opuścił go zwykły dowcip i *dykteryjki*

Radziwiła. W tój niepewności zostawał, ani się uspokoił wiadomością o odpowiedzi Wojźbuna starego, gdy się z ran wyleczył, kiedy go adwokaci namawiali na rozpoczęcie sprawy:

— Nie do sprawiedliwości ludzkiej, ale do Bożej się uciekam! Nie pozwę Radziwiłła przed trybunał inny, tylko na sąd ostateczny przed Tego sędziego, co wszystkich nas sędzić będzie na Józefatowej dolinie. Po co mam pozywać, łba mu nie zetną, a córki méj wstydu, moich utrapień i krwi wylanéj nie wynagrodzi mi niczem: na toby całej Radziwiłłowszczyzny niestało. Nie żądam od niego nic. Bóg pomścić umié. Nie poszanował mojego dziecka, nie będzie miał dzieci.... umrze bezpotomnym!

Słowa te zaciążyły na możnowładcy, jakby klątwa Boża, tém więcej, że uczuł prawdziwą miłość do Felicyi Wojźbunówny. Wystął więc swego przyjaciela i towarzysza najazdu nieodstępny Wołodkowicza wraz z łowczym Wiśniowskim i piętnastu tysiącami dukatów w złocie, ażeby za spalony dwór i napad wynagrodził, a przyniósł mu starca i jego córki przebaczenie, bo nie miał spokoju ani we dnie ani w nocy.

Wołodkowicz spełnia polecenie, staje przed Wojźbunem ofiaruje złoto. Usłyszawszy to wojski, w uniesieniu zerwał się z pięściami ściśniętymi z łózka i począł rękami rzucać:

— Pieniędzmi! pieniędzmi chce mi płacić ten Krezus obrzydły! zakrzyczał; u was się wszystko na dukaty redukuje: cześć, poczciwość, rany, łzy, spokój, wstyd, honor: wszystko! Znikczemniiali magnaci nauczyli was wszystko sprzedawać i za wszystko brać pieniądze; alem ja jeszcze się rodził wtedy, gdyśmy inni byli!

Rzekł i pokazał drzwi posłom Radziwiłła.

Wśród tój rozprawy z ojcem nadeszła córka, a widząc upór Wołodkowicza, zaczęła zachęcać starca, ażeby opuścili skromne swoje schronienie. To zmusiło zuchwałego przyjaciela księcia do opuszczenia ich progów.

Daremne były dalsze jego zabiegi, ażeby zyskać przebaczenie: *Panie Kochanku* kazał pieniądze złożyć w klasztorze, ale z nich grosza Wojźbun nie dotknął. W kilka lat, pod pozorem łowów, Radziwiłł z Wiśniowskim oddzieliwszy się od orszaku myśliwych, zajechał do odbudowanego dworu w Rabce. Tu zastawszy złamanego wiekiem starca, błaga o przebaczenie i w pokornych słowach prosi o rękę jego córki. Ojciec odsyła do niéj możnego zalotnika; Felicyi oczy zapałyły:

— Jabym miała rękę oddać temu, co mi cześć odjął! zawołała, nigdy! W sercu, zamiast poszanowania i miłości, mam wzdargę i niechęć, która w nie wrosła, której nigdy wyrwać nie potrafię. Nie żoną byłabym, ale nieprzyjacielem donowym i mścicielem honoru mojego. Nie! nigdy! Zapóźno mości księżu, dziś to wygląda na urągawisko.

Daremnie *Panie Kochanku* zanosi rzewną prośbę, w słowach miękkich i kornych; spotyka gniew, zawziętość, a gdy błaga o przeba-

czenie za napad i porwanie, pełną goryczy otrzymuje odpowiedź zakończoną temi słowy:

„Niech ci Bóg przebaczy, ja nie mogę, chyba bym cię konającym widziała“!

Złamany i poniżony, prawie bez pamięci opuszcza dworek Wojzbuna. Pomimo to wszakże pamięć Felicji coraz droższą stawała się dla wielkiego pana, który teraz dopiero przekonał się, że te dary *fortuny* jakie mu los udzielił, nie zawsze i nie wszędzie mają swoją potęgę i znaczenie.

Stary wojski umiera, córka Rabkę sprzedaje i znika. Daremnie w Nieświeżu pragną zachwycić jakichkolwiek wieści: przepadła jak kamień w wodę. Po wielu latach gdy Wiśniowski zachorzał w Wilnie, w Siostrze miłosierdzia Maryi poznaje, lubo wielce zmienioną, piękną Felicję. Powiedział o tém księciu, który polecił klasztor hojnie opatrzyć ale pod warunkiem ażeby ona o tém nie wiedziała.

Stare to dzieje które opowiedział Glince łowczy Wiśniowski. Książę coraz z siłą opadał, gorączka go trawiła; czasami humor dawny wracał i wtedy bajki różne opowiadał, jak o Warszawie, która według niego przed potopem już istniała. Wreszcie dał rozkaz do wyruszenia w drogę, aby się copędzją do *Białej* dostać.

Zamek w niej obszerny i wspaniały otaczały wysokie ziemne wały, przerosłe drzewami i głębokie fosy, które zasilala rzeka *Krzna*, tuż poza ogrodem miejscowym płynąca. Wielka puszcza, blisko trzy mile długa i obszerna z dziewiczymi kniejami, pełna była grubego zwierz. Nie brakło tu łosi, jeleni, sarn, niedźwiedzi i dzików, a liczne stada wilków, nieraz postrachem napełniały całą okolicę.

Zamek piętrowy, tak na dole jak na pierwszym pięttrze miał sale wielkie i liczne komnaty ozdobne. W oficynach po lewej stronie, były jeszcze liczne mieszkania dla gości. Podwórze rozległe, z którego i sam gmach i warowna brama z wieżycą okazałe się przedstawiały.

Książę jakby przeczuwał swój zgon bliski, osowił i wzdychał ciężko, a z sił coraz więcej spadał; ale się nieco uspokoił gdy poczuł że już jest „na swoich śmieciach.“

Doktor nadworny widząc potrzebę ciągłej troskliwej opieki nad chorym, będąc sam strudzony, jak i ulubieni dworzanie przybocznicy, poradził, ażeby przy księciu posadzić siostry zakonne, które w pobliżu zamku miały swój klasztor. Wysłany Glinka, stanął przed panną starszą, która zaraz wezwała siostrę *Maryę* do pomocy spiesząc do księcia. Na to imię zwrócił dworzanin na nią uwagę i domyślił się w niej Wojzbunówny. Potwierdził ten domysł i łowczy Wiśniowski, lekając się spotkania z chorym panem.

Stały obie zakonnice przy jego łożu, i tu *Panie Kochanku* dowiedział się że jego ukochana *Felicja* stoi przy nim. Prosił o jej rękę, a gdy drżąca siostra podała mu ją, pochwycił i ponióśł do ust.

„— Siostrzo Maryo, począł książę, siostrzo Maryo! Bóg tak zrzędził, abym bez twojego przebaczenia na świat lepszy nie odszedł. Bo-

gu miłosiernemu chwała na wysokościach. Przyszła ta godzina, o której proroczo mówiłaś w Rabce: o przebaczenie proszę!

Milczenie było straszne i długie. Wojźbunówna oczy sobie zakryła, zbierała myśli, ust otworzyć tak rychło nie mogła; aż powoli jasnym i wyraźnym głosem rzekła:

— Niech ci tak Bóg przebaczy, jako ja przebaczam!

Odetchnął książę wojewoda, rękę którą trzymał do ust przycisnął i westchnął puszczać ją.

Po komunii i przyjęciu Sakramentów, z różańcem *Sierotki* Radziwiłła, i uśmiechem na ustach zakończył życie *Panie Kochanku*.

Taką jest treść opowieści J. I. Kraszewskiego, zaprawdę mistrzowskiem piórem skreślonej. Utwór ten do najpiękniejszych tego pisarza należy. Jeżeli Henryk Rzewuski wybornie nam księcia *Pana Kochanku* zcharakteryzował w paru obrazkach, w chwilach pohulanki sejmikowej, J. I. Kraszewski przedstawia tę postać w szerszym daleko obrazie, w ostatnich dniach życia, gdy ślepotą dotknięty, złamany chorobą, śpieszy z gorączkową niecierpliwością do ulubionego zamku w Białą, ażeby w nim zasnąć na wieki.

Zatrzymaliśmy się dłużej nad tą opowieścią, raz dla wysokiej wartości artystycznej, powtóre, dla wierności malowidła do najdrobniejszych szczegółów księcia *Pana Kochanku*, który w dziejach Rzeczypospolitej XVIII stulecia przeważną grał rolę, i był w niej najpopularniejszą jak mówiliśmy postacią, górującą po nad wszystkimi magnatami polskimi.

Bogacz największy w dawniej Polsce, hojnością i rozrzutnością zmarnował olbrzymią fortunę; burzliwych namiętności, gotowy do spełnienia gwałtu, niewahał się w uniesieniu rozlewać krew niewinną i urągać się prawu, a obok tego, gdy ochłonał, czuł niesprawiedliwość wyrządzoną i starał się ją naprawić, bo mu jego serce samo i sumienie gorzkie robiły wyrzuty. Kochał kraj, ale nic dla niego pożytecznego uczynić nie umiał; miał porywy szlachetne, ale były bezowocne. Stał z godnością w opozycji, która mogła zbawiennie wpłynąć na losy narodu, ale w nią działać, ani nią kierować nie umiał. Pan pięciu tysięcy wsi i 1290 miast i miasteczek, miał z nich rocznego dochodu do czterdziestu milionów złotych polskich, nie rachując intrat jakie dać mogły ogromne puszcze i nieprzejrzone lasy, z wyrobów dziegciu i smoły, klepek i gontów, masztów i budulcu okrętowego; lecz zabronił sam tego, ażeby zwierza niepłoszyć, i mieć na zawołaniu książęce łowy, w gronie przyjaciół i gości.

Wszyscy współcześni panowie gasną przy nim, a głośny Mikołaj Potocki, znany powszechnie pod imieniem *Pana Kaniowskiego*, w pieśni nawet ludowej nieraz wspominany, wygląda nikczemnie, z okrutnych zaś postępków i pastwienia się nad słabszemi, obudza jedynie wzgardę.

Panie Kochanku góruje po nad wszystkimi, nie tylko bogactwem, ale humorem i dowcipem; dykteryjki jego dotrwały naszych czasów, imię jego pleśnią niepamięci u nas nie zaszło, gdy w stolicy dawniej

ordynacyi, w Nieświeżu i okolicach, pamięć tego możnowładcy już zupełnie się zatarła.

W skróconej treści podaliśmy tylko opowieść naszego autora; nie możemy jednak zapomnieć głębokiego wrażenia czytając ustęp, gdy w majaczeniu gorączkowym przypomina sobie dawne wypadki swego życia i jakby w jasnowidzeniu przeczuwa upadek swego domu. Była to wróżba niedaremna: wraz z jego zgonem rozpoczął się ten upadek, a Bóg, jakby za grzechy, pierwszy gromym swoim rozpoczął ruinę wspaniałego zamku w Białym, który w całości trwał jeszcze i czekał tylko na przybycie nowego pana. Naciągnęła straszna burza, piorun uderzył w lewe skrzydło zamkowe, zerwał część dachu i obalił kawał grubej ściany. Wtedy okazał się od strony ogrodu i rzeki, w tym wyłomie ozdobny w piękne rzeźby salon, a ulubiony *Pana Kochanku*. Od tej chwili upadek gmachu się rozpoczął. Nie było ręki, ażeby czuwała nad nim, a nie wielkiego wymagało nakładu żeby wyłom wspomniany naprawić. Ale lud zaczął uważać uderzenie piorunu, jako wolę wyższą do zagłady zamku. Wyważono drzwi, zaczęto nocami wynosić sprzęty, obrazy i kosztowne zabytki, które opisuje J. I. Kraszewski. Stary burgrabia nie mógł zaradzić tej napaści, zawsze w pomroce wieczornej wykonywanej. W krótkim czasie, nagie tylko ściany pozostały z ozdobnymi rzeźbami i marmurowemi kominkami. I te wydarto, a gmach niedawno tak okazały, przedstawiał smutną ruinę. Dziś i mury rozebrano do szczętu, miejsce tylko zostało gdzie wznosił dumne wieżyce.

Obok wizerunku księcia Karola, wydatniejszą tu postacią starego Wojzbuna i pięknej jego córki Felicji, która przy nieporównanych wdziękach, hart duszy ojca przechowała i w całym majestacie godności niewiasty polskiej jaśnieje. Oryginalną jest figura burgrabiego zamku białskiego, *Napiórkiewicza*, z którym *Glinka*, autor tego niby pamiętnika, zwiedza cały gmach i poznaje mało znane dzieje rodu Radziwiłłów jak i zamknięte zawsze sale i komnaty zamkowe.

Wszystko w tej opowieści a raczej *powieści historycznej* oddycha życiem i prawdą, a czytelnik przeniesiony w tamte czasy i miejsca, widzi je dokładnie, słyszy tę mowę zmarłych, czuje gorące słowa gasnącego *Pana Kochanku* i nieraz z nim razem boleje.

Postać i rola jaką odegrał on za swego żywota, pamięć jaką po sobie zostawił, godna byłaby oddzielnej wyczerpującej monografii. Materyały po temu są bogate. Oprócz wielu wspomnień rozrzuconych po dziełach z czasów Stanisława Augusta, już w naszym okresie mamy obszerny życiorys *Pana Kochanku* skreślony przez Edwarda Kotłubaję w szacownej jego pracy: „*Galerya Nieświeżska portretów Radziwiłłowskich*“ (Wilno 1857 r.) oraz nadzwyczaj zajmujący: „*Pamiętnik o księciu Karolu Radziwiłł*“ pisany podług archiwum nieświeżskiego. Rękopism ze zbiorów Wiktora hr. Baworowskiego“ (Lwów 1864 r.). Do charakterystyki zaś jego posłużyć dobrze mogą tak wspomnienia

H. Rzewuskiego, jak w *Starych gawędach i obrazach* podane i opowiadanie powyższe J. I. Kraszewskiego. K. Wł. W.

Jedlnia, w niej kościół i akta obelnego prawa, przez ks. Józefa Gackiego. Radom. W drukarni Jana Kantego Trzebińskiego, 1874 r. (w 8-ce str. 278).

W zeszycie majowym r. b. naszego pisma podaliśmy sprawozdanie o monografii wsi *Paczolowice*, przez Józefa Louis. W niej już wyraziliśmy nasze zdanie o ważności i potrzebie kronik naszych wiosek, które nieraz bogaty przynoszą plon do dziejów rolnictwa i gospodarstwa narodowego. Nie powtarzając więc raz wypowiedzianych myśli, ograniczymy się na podaniu treści nowej monografii Jedlni, przez znanego i zasłużonego dobrze badacza przeszłości krajowej.

Autor podzielił pracę swoją na trzy działy: w *piętej* podaje wspomnienia dziejowe o Jedlni, w *drugiej* opisuje kościół w niej będący; w ostatniej mówi o *aktach prawa obelnego w Jedlni*.

Dawna to wieś w gubernii Radomskiej położona: wspomina o niej Długosz w księdze XI *Dziejów*. Władysław Jagiełło często tu przemieszkował gdy wracał z Litwy do Korony i zapusty w niej przepędzał. Najszlachetniejszą stała się Jedlnia od r. 1430 przez statut w niej ułożony, mocą którego zebrani panowie i liczne rycerstwo, przyrzekli jednego z królewiczów po zgonie ojca na następcę przyjąć.

Ogromna puszcza jedlińska pięć mil długa, a trzy mile szeroka, gdzie gruba zwierzyna żyła swobodnie, wabiła nie mało króla do tej wioski. Dotąd za Jedlnią ku Kozłowu jest knieja *meszne*, gdzie *mechy* czyli niedźwiedzie miały legowiska. Jeżeli w starém Mazowszu, w puszczech Kurpiowskich kwitnęło gospodarstwo *bartne*, czyli chów pszczoł dzikich po lasach, Jedlnia słynęła także z bartnictwa. Po całej puszczy okolicznej z jakich tylko chcieli sosen, włościanie tworzyli barcie i rzadki ktoby tu ich *nie dział* i *obłazić* po bartnym powrozie nie umiał.

Sosnę poczytywano za własność królewską, lecz ją *wydziać* czyli barć zrobić, *zatworzyć* czyli przygotować, pszczoł, kiedy osiadły, od ich wrogów pilnować, na wiosnę ratować, w jesieni umiejętnie podebrać, a na zimę zaopatrzyć należało do bartnika, za co też brał trzy części miodu a czwartą (*quartam*) oddawał do królewskiego dworu.

Liczna gromada bartników rządziła się prawem *obelnem*, które znaczyło toż samo co prawo *bartne*. Ks. Gacki w trzeciej części swęj monografii, podaje obszernie wypisy podług rękopisu zachowanego z prawa obelnego w Jedlni.

Kto podał myśl zgubną, komisji przychodów i skarbu Królestwa Polskiego, wytepienia w lasach rządowych gospodarstwa bartnego

nie wiadomo: błachy pozór niebezpieczeństwa pożaru z powodu używania węgla rozżarzonych przy *podkurzaniu* pszczół dzikich przez bartników dla podbierania miodu, był podstawą do wydania reskryptu z d. 22 grudnia 1836 roku, którym polecono zawiadomić bartników, że każdy włościanin może ścinać drzewo bartne i odpiławszy z niego pieńki z pszczołami, takowy z lasu wywieźć bezpłatnie.

Był to piorun zniszczenia dla gospodarstwa bartnego. Włościanie tak tu jak w osadach Kurpiów na Mazowszu z osłupienia przeszli w rozpacz. Od tylu wieków barcie po puszczech i lasach istniały, a pożaru nie było, bartnicy nawykli do tego *bożego robaka*, który im tyle korzyści przynosił, że łzami w oczach obchodzili swoje knieje, załamywali ręce i darli sobie włosy z głowy. Takiej rozpaczki byliśmy sami świadkami w osadach Kurpi na Mazowszu.

Zaczęto spełniać wydany rozkaz, powalano odwieczne sosny z barciami: sam ich upadek zabijał setki rojów i zaledwie lichy procent ocalał z tysięcy barci leśnych, a i te przeniesione do ogródków wiejskich wkrótce pomarniały! Sosny spuszczone popłynęły do Gdańska; większą ich część gdy pokupu nie było, budulec i masztowiny piłowano i rabano na sążnie opałowe, ażeby tylko sprzedać!

Rok 1858 można zapisać w dziejach naszego gospodarstwa, jako ostatni kres zacieklego wyniszczenia w granicach Królestwa Polskiego bartnictwa leśnego. Wieki na to pracowały, jedna prawie chwila, takie prawdziwe bogactwo ludu, tak w Mazowszu jak i w puszczy jedleńskiej zabiła! Pozostały jedynie jako pamiątka ustawy bartnicze, i język który podobnie jak flisowska terminologia na rzekach, wyrobił się w puszczech i kniejach nieprzejrzanych okiem. Dla badacza dawnego prawa polskiego, *akta prawa obelnego w Jedlni* stanowiąc mogą wielce ważny materiał.

Mnóstwo w tej szacownej monografii znajdujemy szczegółów mało znanych lub nie znanych dotąd badaczom. Tak włościanie Jedlni, proboszczowie miejscowi uważali za własność kościoła i starannie zapisywali w metrykach, który ochrzczony był *ex sanctuario, subditus ecclesiae*; lecz nawzajem włościanie ci po śmierci proboszcza pozostałość uważali za swoją i jak puściznę grabili: oprócz tego pozostały jako zabytki praw zwyczajem tylko dawnym poświęconych tak co do spadku po ojcu i matce, jak i do wiana panny młodej. Autor przywodzi tu nie mało rysów charakterystycznych i przesądów miejscowego ludu, jak obrzędów weselnych, a obok tego zwraca uwagę na wydatne zmiany jakie zaszły od roku 1858. Rzecz to najżywotniejsza dla nas i z tego powodu cały ten ustęp dosłownie przytaczamy.

„Każde wesele dawniej oprócz jadła, piwa i kosztu na dwóch najmniej muzykantów, wymagało około 60 garncy gorzałki w domu panny młodej i tyleż w domu pana młodego. Bo dotąd po jednym ślubie bywają tu dwa wesela, osobne u rodziny pana młodego a osobne u rodziny panny młodej. U obojga znajdują się sąsiedzi, przyjaciele, krewni, powinowaci, rodzice chrzestni, zwani tu *pan ojciec* i *pa-*

ni matka, jako też kumowie, z którymi się do chrztu trzyma, a których tu więcej szanują jak swojaków. Ale dzisiaj, we środę to jest po ślubie, jest kawa, obiad, piwo, tańce i czysta herbata kosztem żeniących się; nazajutrz to jest we czwartek, wszystko toż samo, tylko piwo kosztem składanym zaproszonych gości. Na *prąqbabę* teraz nowa męzátka zaprasza do domu tylko rodziców swoich i męzowskiich i częstując ich u siebie daje dowód, że jest już prawdziwą gospodynią.

„Do roku 1860 na całą wieś ledwie dwa kożuchy liczyłeś. Siwą sukmaną z lekkiego swój roboty nie dość sfolowanego sukna, bez podszewki, bez guzików, ledwie pasem włóczkowym do ciała przyciągniętą, obchodził się zimą i latem każdy gospodarz. Reszty ubrania dostarczało własne nie bielone płótno. Szyja i piersi zawsze były obnażone. Ozdóbką u dzieci do lat ośmiu: krajka opasująca koszulę a u wyrostka już w sukmankę odzianego czerwona tasiemka zawiązująca koszulę pod szyją. Dziś nie masz domu gdzieby nie było tołuba i pomniejszych kożuszków. Sukmany wprawdzie jak wrzód, ze swojej wełny, ale zrobione porządnie ze stanem i zapięciem. Dziecko jeszcze chodzić nie umie, a już je ubierają w kamizelkę, dalej w *spancerrek*, a do szkoły już idzie w sukmance. Starsi i młodsi na szyi miewają szaliki. Do pokrycia głowy zwykle służy *kaszkiel* sukienny z daszkiem, a u poważniejszych czapka z siwym baranem.

„Kobięty wprzód za najpyszniejszy ubiór miały na lato perkalowe *odziewadło* i *raituch* muślinowy, a na zimę wełnianą *pstruchę*. Z sukna kupnego, w kaftanik i *przyjaciółkę* ubierały się tylko zamożniejsze, a najbogatsze świeciły lisami, na głowę zaś zawiązywały chustki białe *niklasowe*, a niektóre ponsowe zwane *francuzkiem*. Dziś wszystkie ubierają się latem w gorsety, mając na ramionach i na głowie chustki *szalinowe*, w zimie zaś stroją się w kaftany różnych materji watowe albo w szuby lub katanki podbite futrem baranków lub lisów. Do ślubu zawsze jeszcze ubierają głowę panny młoděj w masę wstążek, spuszczających się pękem na plecy.

„Dawniej nie znalazłeś we wsi ani jednego szybowanego wozu, dziś wszystkie co do jednego, nawet wołowe, są kowane. Brony wszędzie żelazne. Dawniej do kościoła ledwie na Boże Narodzenie i na Wielkanoc kilku lub kilkunastu przyjeżdżało, reszta przybywała pieszo; teraz w każdą niedzielę ze wszystkich wsiów pełno furmanek pod kościołem.

„Dobytku teraz ma więcej komornik niż dawniej gospodarz, bo każdy swój grunt doprawia pilnie i znawozi, do czego służy siano, zakupywane na łąkach lepszych lub u włościan innych parafii. Dawniej nie starano się o dobre konie, bo takie bezustannie zabierano na podwody, mało dbano o dobre woły, bo takie do najcięższego gruntu wyprzedzano za pańszczyznę.”

Z dalszego ustępu widzimy, że gdy przedtém w czasie zapust cała wieś szalała i „topiła się w gorzálczaném pijaństwie,” od 1858 roku młodzież wiejska nie w karczmie ale w swoich domostwach bawi

się przy szklance piwa, pod okiem swych krewnych. Rzadko widziano w kościele ażeby kto trzymał książkę do nabożeństwa, teraz ledwie jest kto, co by jej nie miał. W chatach zamożność widoczna, naczynia kuchenne i sprzęty domowe w dostatniej liczbie i ozdobniejsze; w izbie czystość i porządek, a w miejsce przylepianych obrazów częstochowskich na ścianę, obecnie wiszą w ramach roboty stolarskiej.

Jakaż to uderzająca różnica, w życiu, zamożności i potrzebach włościanina. Pociuszającą jest nie mało podana przez autora wiadomość, że starsi wiekiem niemający sposobności chodzenia do szkoły, od młodszych uczą się w wieczory zimowe czytać, przekonani o potrzebie tej nauki.

Z dawnych zwyczajów i obrzędów pozostało wiele starożytnych w Jedlni, jak palenie ogni sobótkowych w wigilią i w dzień św. Jana; o wielu mamy tu zajmujące wspomnienie, których się żywa pamięć dotąd przechowała w tradycji.

R.

Gramatyka języka francuzkiego, na podstawie języka polskiego, opracował J. A. M. Borski, nauczyciel języka francuzkiego w c. k. Akademii technicznej, lektor tegoż języka w Uniwersytecie lwowskim. Lwów, nakład Gubrynowicza 1875 r.

W obecnej książce otrzymujemy bodaj czy nie po raz pierwszy wykład teoretyczny języka francuzkiego, oparty na podstawie naszego, wolny od przesadnych zachceń gramatyki powszechniej, (jakiemi obalamcał młode umysły Noel i Chapsal), ale zato wyczerpującej najistotniejsze właściwości formy i składni francuzkiej. Przez opuszczenie definicyi, zostawiając je komu należy, autor miał czas i miejsce na wyłączenie tych punktów, o które uczącemu się idzie przedewszystkiem. Przez całe dziełko, obok kursu głównego przeprowadzony jest i odmiennym oznaczony drukiem kurs dopełniający. Takie poprzedzenie subtelnosci językowych zarysem ogólnym, przedstawiającym naturę języka w liniach prostych, uważamy za nader pedagogiczne.

Biorąc za podstawę język krajowy, nasz autor w żadnym dziale nie schodzi z tej podstawy, co również zasługuje na uznanie. Tak np. w dziale o *wymawianiu* ostrzeżę, iż Polacy spółgłoskę *s* przed *y* i zmiekczejają, co jest wadliwem.

Naukę autor p. Borski nader stosownie skrócił wyrzuceniem tego, czego istotnie nie było. Tak np. deklinację sprowadził do zmiany rodzajnika, usunął dawno zarzucone czasy przeszłe dwuskładowe.

Starannie też i praktycznie opracował p. Borski składnię. Metodę syntaktyczną p. Borskiego pokazujemy dla próby w teorii użycia czasów.

„Powiedzieliśmy że *imparfait* wyraża stan, współczesność (czasy dokonane, czynność szybko spełnioną). Ztąd po czasie przeszłym w zda-

niu głównem używa się *Imparfait*, wszakże (§ 630) może tu stać i *Présent*, jeżeli czynność podrzędna odbywa się istotnie w chwili, w której mówimy. „*Il prétendait que son frère est un homme de génie.*“ Wyrażone zaś przez *Imparfait*, słowo być (*que son frère était*) mogło dać do myślenia, że brat już nie żyje“.

Co do użycia czasu warunkowego po spójniku *si*, jakoby wbrew ogólnej zasadzie (§ 632 dodatek) zrobilibyśmy szanownemu autorowi uwagę, że to *si* nie jest już spójnikiem warunku, lecz *częstką pytającą*.

Za ważną zaletę poczytujemy panu Borskiemu, że w przykładach na składnię, w której właśnie zawiera się duch mowy, nie zatrzymał się wyłącznie na stereotypowym okresie Ludwika XIV i wieku XVIII, jak jego poprzednicy, lecz wprowadza i język współczesny: Thiers'a, W. Hugo, Lacordairéa, i t. p. Gorąco zalecamy tak uczącym jak i uczącym się niniejszą pracę p. Borskiego. F.

Bibliografia Polska XV—XVI stolecia. Zestawienie chronologiczne 7200 druków w kształcie rejestru do bibliografii, tudzież spis abecedowy tych dzieł, które dochowały się w bibliotekach polskich, przez K. Estreichera. Wydanie Akademii Umiejętności, staraniem komisyi bibliograficznej. Kraków, czcionkami drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego. 1875 r. (w 8-ce str. XVI—226).

Obok wydawnictwa ogromnych rozmiarów *Bibliografii polskiej* Karola Estreichera, z XIX stolecia, której już pierwszy zeszyt trzeciego tomu mamy, niez mordowany pracownik w oddzielnej książce ogłosił spis dzieł z dwóch pierwszych wieków, od chwili pojawienia się wynalazku druku.

Każdy ze studyjących bliżej dzieje literatury krajowej, oceniać musi wysoką wartość takiej bibliografii, bo ona, rzecz można stanowi główny i jedyny materiał, z którego dopiero można osnuwać te dzieje dalekiej przeszłości. Jakkolwiek taki katalog niewiele może nauczyć podając jedynie tytuł, format, objętość i rok wydania, ułatwia jednakże niezmiernie prace badaczowi, bo wskazuje nasamprzód plony i obfitość duchowej pracy narodu w określonym zakresie, i jej skarbiec, który rozpoznac i ocenić należy, ma za główne zadanie. Prócz tego wskazuje wszystkie gałęzie nauk, które uprawiano, przewagę jednych nad drugimi, z kąd łatwo wybadać kierunek myśli, uczuć i potrzeb umysłowych zgasłego pokolenia. Samo zestawienie cyfr wydawnictw, czyż nie jest nawymowniejszym dowodem ruchu umysłowego społeczności każdej? Karol Estreicher w dwóch tych wiekach podaje liczbę druków na 7200, kiedy w całej Słowiańszczyźnie głuche panuje milczenie oprócz Czechii. Nie powątpiewamy że znajdzie ich się daleko więcej,

gdy właściciele księgozbiorów zechcą bliżej rozpatrywać zabytki piśmiennictwa, jakie potrafili zdobyć i od zatury uchować.

Niedosyć że mamy w tej książce spis abecedłowy druków polskich, które się dochowały w zbiorach bibliotecznych; ciekawy w końcu znajdujemy tu wykaz druków na każdy rok przypadających. Gdy od roku 1455 do 1474, od jednej książki do trzech widzimy druków, już w roku 1573 przenosi setkę a lata od 1584 do 1590 wykazują cyfry poważną 1112 dzieł, a od 1591 do 1600 wychodzi 1180 z pod prassy.

Wydawca sam należycie ocenia wartość swój pracy.

„Pierwszy raz zebrane w takiej liczbie druki, mnogością swoją silnie przemawiają za tém, czego dowodzone na innéj drodze. Oświecona Polska staje tutaj w pełni sił umysłowych swoich, oświata jej niezaściankowa lecz europejska. Europa cała pisała i mówiła językiem szkolnym naukowym, to jest po łacinie, Polska cała pisze i mówi językiem naukowym to jest po łacinie. To nie wada jej, to jej zasługa. Cudzoziemcy uczeni nieustannie napływają do niej i odpływają, biorąc udział w pospolitej pracy umysłowej, a każda kwestya naukowa, religijna i społeczna, poruszona na kończynach świata owoczesnego, prze-wija się, przerabia i przetrawia w wielkiem laboratorium ducha narodowego w Polsce. Prawda faktu tego w obec książki przemawiającej suchemi datami i cyframi, już więcej zaprzeczyć się nieda.“

Myśli tej poparcie znajdujemy w pomienionej książce, bo K. Estreicher, podaje w niej druki zagraniczne z XV wieku, nawet te które napozór żadnej z polską oświatą styczności nie mają, to jest druki tłoczone przez drukarzy Polaków, np. w Hiszpanii, dla poświadczenia, że chociaż nie pozostały obfitsze z tej epoki ślady drukarstwa u nas na miejscu, jednakże drukarze polscy szli już w zaraniu druku z Polski, niosąc dobrodziejstwo nowego wynalazku w obczyznę, że zatem sztuka ta. nie była Polsce obcą, że być musiała i była w Polsce uprawiana. W XVI stóleciu Polska liczy mogła setkę drukarzy i niemniejszą liczbę uczonych zagranicznych zjeżdżających do niej, lub z nią w styczności będących.

Tu także pomieścił wydawca dzieła *Erazma z Roterdamu*, *Melanciona*, *Sigoniusza*, i wielu uczonych obcych, które jakkolwiek nieodnosiły się osnową swoją do naukowości polskiej, lecz mężowie ci dzieła tu wymienione, przypisywali Polakom. „Ztąd wniosek łatwy (mówi K. Estreicher) że cała oświecona Polska w XVI wieku, pozostawała w nieustannych związkach ze światem uczonym europejskim, że każde drgnienie żywsze, we Włoszech, Niemczech i Francyi, kończynami życia swego dosięgało Polski; że ogólny ruch oświaty europejskiej był ogólnym ruchem jej oświaty, że Rzeczpospolita polska łączyła się związkami ducha, z rzezapospolita uczonych całego ówczesnego świata.“

Książka o której mówimy wymagała niemało pracy, i wielu badaczy. Wydawca nie zataja ich zasług w tém dziele; największe zaś położyli ś. p. Jan Szlachtowski, który materiały nagromadzone przez

K. Estreichera odnoszące się do XV i XVI w., wydzielił z wieku XVII i XVIII, ułożył alfabetycznie i krytycznie ocenił. Ale zmarł przedwcześnie mąż ten prawdziwej nauki w listopadzie 1871 r. Sekretarz akademii J. Szujski zaniemógł obłożnie. Umysł jego czynny, nieumie próżnować i w chwilach największych boleści. Z kartek po Szlachtowskim ułożył dla swego użytku, w celach zebrania materiału dziejowego chronologiczne zestawienie 4000 druków. Układ ten pokazawszy się nadzwyczaj praktyczny, przyjętym został przez K. Estreichera, który go powiększył, uzupełnił, i w tej formie jak widzimy go na początku Bibliografii polskiej wydrukował.

W obszernym przedmowie autor podaje nam szczegółowe wiadomości o przygotowanych pracach tego dzieła, i pojedynczych bibliografach, co do niego przyłożyli rękę, zanim się ułożyło w całość wydaną.

Na czele też jej, z nietajoną pociechą ducha, pisze te słowa:

„Otrzymujesz wyrozumiały czytelniku książkę niepozorną, za którą tęsknili od lat wielu bibliomanowie, historycy literatury, nauczyciele polskiej literatury, zbieracze bibliotek, mężowie pracy poważnej, zgoła wszyscy, dla których nieobojętną jest i historia i literatura nasza¹⁾).

Za godło położył tego dzieła wiersz z Kalderona:

„Człowiek przepada, żyje gromada.“

A jak mówi dobre naszego ludu przysłowie:

„Gromada to wielki człowiek.“

W tym też dziele praca jednostek daje obraz wymowny powstania i rozpowszechnienia drukowanych książek dla ogółu, gdy w poprzednim okresie, myśl wyższa, spowita w rękopiśmienne foliały, uwięziona w bibliotekach zamożniejszych rodzin, spoczywała niedostępna dla społeczności.

Zwolna pracą nieustanną a wytrwałą K. Estreichera, wzbogaca się literatura nasza zbiorami bibliografii z różnych epok. Dzieło, o którym mówimy, stanowi początek: *Bibliografia XIX stulecia*, koniec wydawnictwa; brak tylko XVII i XVIII, ale i potem przygotował niezmordowany badacz, obfite materiały, które się ciągle uzupełniają, z krytycznym przeglądem. Za lat kilka, gdy bibliografia naszego

¹⁾ Kiedy ostatnie arkusze druku tego dzieła przesyłał nam Karol Estreicher, w załączonym liście z Krakowa z d. 30 kwietnia r. b. pisze z wyraźną a szlachetną radością: „Bibliografia XV i XVI wieku jako treściwy rejestr będzie złotą książką dla ozerpiących z niej: nie wątpię o tym, pomimo że wiele tam nieuniknionych błędów w przekręcaniu nazwisk. Już teraz czynie poprawki i dopełnienia; a ileż ich urośnie, gdy rzucą się do książki szperacze. Nie każdy jednak zrozumie, że w te kilkanaście arkuszy wsiąkło wiele lat uciążliwych studyów, i tyle dobrej chęci tylu pomocników. A jakież to rzuca światło na naszą oświatę! Jest to zresztą książka w swoim rodzaju, bodaj jedyna w literaturze bibliograficznej.“

okresu wyjdzie w całości, rozpocznie się druk dwóch poprzednich wieków. Wtedy będziemy mieli dokładny *Inwentarz* duchowy tego skarbcza narodowego, w który każde stolecie dorzucało złotą *przedzę swych myśli i swych uczuć kwiaty*.

K. Wł. W.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Lipiec 1875 r. — Nakładem redakcy *Kroniki Rodzinnéj* wyszły: „*Wspomnienia o Adamie Mickiewiczu, opowiedziane najmłodszemu bratu przez Maryę Górecką,*” (Warszawa 1875 r., w 12-ce str. 78). Rzewna to a pełna zajęcia opowieść, malująca wiernie poetę wśród kółka rodzinnego, przy domowym ognisku i w gronie bliższych przyjaciół domu. Stanowi ona ważny przyczynek do życiorysu Mickiewicza i dopełnia wydaną *Korrespondencyą*, oraz wyborne *Listy z podróży* A. E. Odyńca.

— *Rocznik Towarzystwa Osad rolnych i przytułków rzemieślniczych za rok 1874.* (Wydawany staraniem zarządu Towarzystwa. Warszawa 1875 r. w 8-ce str. 128 i 162). Jestto trzeci z kolei *Rocznik* od chwili zawiązania się pomienionego Towarzystwa: obejmuje okres półtora roku, t. j. od d. 1 lipca 1873 r. do 31 grudnia 1874 r. Dzieli się na dwie części: pierwsza obejmuje: „Sprawy Towarzystwa warszawskiego Osad rolnych i przytułków rzemieślniczych,” druga: „Wiadomości o Zakładach dla poprawy nieletnich.”

— W dalszym ciągu „*Systematycznego kursu nauk,*” który wychodzi nakładem księgarni Stanisława Arcta w Lublinie, ogłoszoną została: „*Pedagogika*, obejmująca zasady i metody moralnego, fizycznego i naukowego wychowania dzieci, ze szczególnym względem na potrzeby wychowania domowego. Wyłożył August Jeske.” Warszawa 1875 r. (w 8-ce str. 352). Wydawnictwo tak użyteczne dla każdej rodziny, zasłużonego doznało przyjęcia. Drukowane w 2,000 egzemplarzy już wyczerpane zostało i nowa edycja przygotowaną zostanie.

— *Współka wydawnicza księgarzy warszawskich*, stosownie do ogłoszonego prospektu, regularnie po dwa zeszyty na miesiąc ogłasza *Dzieła Szekspira*. O publikacyi téj już mówiliśmy w poprzednich zeszytach naszego pisma. Mamy już dziewięć zeszytów, które obejmują w tłumaczeniu Stanisława Koźmiana, dramata: *Król Jan* i *Król Rydzard II*, w przekładzie Józefa Paszkowskiego *Król Hendryk IV*, w przekładzie L. Ulrycha: *Król Hendryk V*, *Król Hendryk VI*, część pierwsza, i *Król Hendryk VI*, część druga.

— Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa opuścił prasę drukarską: „Pamiętnik Babunii.“ Dziełko poświęcone dorastającej młodzieży, przez Władysławę z Rogozińskich Izdebską, autorkę „Wieczorów z Babunią.“ Nakładem tejże księgarni wyszedł tom drugi pism lekarskich Dr. T. Chałubińskiego: „Zimnica.“

— Pani Józefa Kamocka b. nauczycielka gimnazjum żeńskiego i niższych zakładów naukowych w Warszawie, wydała w obszernym tomie *Teoryę stylu polskiego*. (Warszawa. 1875 r. Z drukarni Instytutu głuchoniemych i ociemniałych, w 8-ce str. 273). Dzieło to jako podręcznik, zarówno w zakładach żeńskich jako i wychowaniu domowem, nie małe może oddać usługi.

— Nakładem księgarni Michała Glücksberga księgarza i wydawcy czasopisma: „Bluszczu“ wyszło dzieło p. n. „*Niewiasta polska w początkach naszego stolecia*“ (1800—1830), przez K. Wł. Wójcickiego. (Warszawa 1875 r., w 12-ce str. 348).

— *Albumu Jana Matejki* zeszyt drugi już wykończony i w obieg puszczony został. Trzeci obejmie najnowsze wielkich rozmiarów utwory genialnego malarza. Najpierwszy z ksylografów polskich *Jan Styfi* warszawianin, zaczął rytować do ostatniego zeszytu większy obraz, podług własnoręcznego rysunku samego mistrza.

— Tygodnik *Ilustrowany* dał nam piękny portret i wielce podobny *Karola Forstera* zasłużonego pisarza i wydawcy, z krótkim życiorysem.

— We wsi *Siemkowicach* powiecie wieluńskim odkryto na polach, przy drodze obszerne cmentarzysko, zapełnione urnami glinianymi. Oprócz kości przepalonych i popiołu, dotąd żadnych innych zabytków nie znaleziono. Może skrzętne badania dalsze potrafią je odkryć.

— Nakładem redakcyi *Niwy* wydana została komedia Edwarda Lubowskiego, w czterech aktach, p. n. *Nietoperze*. (Warszawa. 1875 r. w 8-ce str. 75). Przedstawiona na scenie warszawskiej w początkach r. b., doznała świetnego przyjęcia.

— W Wilnie, drukiem Józefa Zawadzkiego wydana została: „*Chronologia* czyli nauka podziału czasu, zastosowana do zrozumienia i ułożenia sobie kalendarza” (1875 r., str. 67) przez Antoniego Odrowąża Kamińskiego. Wiadomości tu zebrane są ciekawe i pożyteczne: czytelnik może nabrać wyobrażenia bliższego o kalendarzu i jego układzie.

— W *Odessie*, czcionkami drukarni słowiańskiej Józefa Bukowieckiego, wyszła *tragedya* w pięciu odstępach: *Julian odstępca* przez R. S. (nakładem autora, w 8-ce str., 65).

— *Nieboska komedya* Zygmunta Krasieńskiego, ogłoszoną została r. b. w przekładzie rosyjskim w czasopiśmie w Moskwie wychodzącem p. n. *Ruski Wiestnik*. Równocześnie prawie w tygodniku czeskim: *Lumir*, ogłoszono kilka większych wyjątków z tego poematu dramatycznego, tłumaczonych przez Fr. *Żherskiego*; przypominamy, że w tym języku pobratymczym, przed kilkunastą laty wyszedł w Pradze,

tegoż poety piękny przekład *Irydiona*, poprzedzony uczoném studyum o Zygmuncie Krasieńskim.

— *Monografia Lublina*, przez Władysława K. Zielińskiego, w dwóch tomach, ukończoną została. Tom pierwszy obejmuje: Opis szczegółowy wszystkich istniejących, zniesionych i rozebranych kościołów, gmachów; szczegółową historję ulic i kamienic, zakładów, pomników, przedmieść i folwarków należących do wójtostwa lubelskiego, cmentarzy, bram i murów miejskich.

Tom drugi zawiera: Historję szczegółową miasta Lublina; spis biskupów chełmsko-lubelskich i lubelskich; wojewodów, kasztelanów, starostów lubelskich, marszałków i wice-marszałków trybunału lubelskiego, oraz wykaz wszystkich dyplomów, nadań, erekcyi i t. d. odnoszących się do historii miasta.

W opisie miasta trzymał się autor porządku ulic, podając monografią każdą niemal kamienicę.

Oprócz tego niejako dzieło oddzielne a uzupełniające tę monografią stanowi będzie *Dyplomatarjusz Lubelski*, obejmujący przeszło 600 dokumentów zachowanych bądź w oryginałach, bądź w kopiach wierzytelnych, bądź w oblatkach tylko, a odnoszących się do praw miasta Lublina, erekcyi kościołów i klasztorów, przywilei nadanych osobom prywatnym, a mającym styczność z dziejami Lublina, cechem, gminie izraelskiej, zgromadzeniom, bractwom, i t. d. Najdawniejszy dokument w tym Dyplomatarjuszu pomieścić się mający pochodzi z 1317 roku.

— Wiadomo z dziejów literatury naszćj, jakie zasługi położył na niwie polskiej ś. p. Edward hr. Raczyński. Wykryty w tych czasach nieznaną zupełnie utwór muzyczny, skomponowany przez niego, daje poznać iż w młodości swćj był zamiłowany także w muzyce i posiadał talent kompozytorski.

Po ostatnim rozbiorku kraju, ojciec Raczyńskiego wezwał Antoniego Wejnerta muzyka nadwornego króla Poniatowskiego, na kapelmistrza do Rogalina, gdzie tenże artysta przebywał od r. 1795, blisko do r. 1805 ucząc przytćm na fortepianie tak Edwarda jak i Atanazego Raczyńskich. Obecnie w papierach Antoniego Wejnerta wynaleziono marsz skomponowany na orkiestrę przez Edwarda. Utwór ten oddano do Instytutu głuchoniemych i ociemniałych, aby po ułożeniu na sam fortepian, wychowañcy niewidomi mogli go dać poznać publiczności. Byłoby bardzo pożądanćm, iżby go także wylitografowano w zakładzie instytutowym.

— Znane są Zenona Fisza, piszącego pod pseudonymem Tadeusza Padalicy, wydane w Wilnie 1856 r. *Opowiadania i krajobrazy* w 2-ch tomach, z których jeden najwyborniejszy obraz p. n. *Zosia Żytkiewiczówna* podaliśmy w Bibliot. Warsz. z r. 1855. Obecnie niektóre z tego dzieła szkice Ukrainy wyszły w przekładzie rossyjskim w Kijowie.

— Już dawniej w naszym piśmie mówiliśmy, że p. Jan Karłowicz przygotowywa do druku dużo kompozycyi Moniuszki, dotąd jeszcze nie wydanych. Obecnie coraz nowe utwory się wynajdują i liczba ich tak dalece już urosła, że wystarczy na kilkaset stronnic druku. Wkrótce druk się rozpocznie. Teraz właśnie znaleziono ciekawy utwór Moniuszki. Jest to komedyo-opera w jednym akcie pod tytułem: *Biuralisci*, napisana w r. 1832. Wtedy Stanisław miał lat 13 i był w 4-ćj klasie gimnazjum mińskiego. Cała partytura, złożona z sześciu numerów, dochowana jest w całości. Podobnie młodocianego utworu kompozytora *Halki*, jeszcześmy dotąd nie posiadali.

— „Raj Utracony” Milтона, przełożony na język rosyjski, używa ogromnego powodzenia. Robią jego tanie wydawnictwa ludowe, i teraz właśnie wyszła w Moskwie taka edycja w 7,200 egzemplarzach.

— Pan B. Dybowski napisał dzieło pod tytułem: *Beiträge zur näheren Kenntniss der in das Balkai-See vorkommenden niederen Krebse aus der Gruppe der Gammariden*, które wydane zostało kosztem rosyjskiego Towarzystwa entomologicznego w St. Petersburgu. Jest to owoc kilkoletnich poszukiwań odbytych przez p. Dybowskiego, przy pomocy p. Godlewskiego w wodach Bajkału; p. Dybowski dużo pracy i nie mało własnego grosza poświęcił na ten cel.

Gamarusa, w potocznej mowie zwanego raczkciem, znano w Bajkale 6 gatunków; pp. Dybowski i Godlewski urządziwszy stosowne przyrządy, sięgali do głębokości 1,373 metr. i znaleźli nowych gatunków 95 i odmian 26.

Do dzieła dołączono 14 tablic kolorowanych rysunków, dokonanych przez pp. Wrońskiego i Zienkowicza. Trzy pierwsze tablice wykonane w Paryżu. dają dokładne pojęcie o prawdziwym artystycznym smaku pomocników p. Dybowskiego; tém większa szkoda, że pozostałe 11-cie, zakład litograficzny w Lipsku wykonał niedbale i przez to odebrał pracom p. Zienkowicza rzeczywistą artystyczną ich wartość.

Prace p. Dybowskiego w świecie uczonym uzyskały powszechnie uznanie, my zaznaczymy tu jeszcze jedną zasługę: miłość nauki i niezłamaną energią pracy. Autor osiadł nad brzegiem Bajkału w pustyni, bez książek specjalnych, ze szczupłemi funduszami; obmyślił i wykonał odpowiednie przyrządy, sięgnął do nieznaną dotąd głębokości w wody Bajkału, zebrał obfity materiał, opisał i podzielił na gatunki.

Dzieło o którym mówimy zawiera tylko część prac dokonanych przez p. Dybowskiego.

— Nie tak to dawne czasy, kiedy w Warszawie a nawet w całym Królestwie był pierwszym i jedynym Karol Beyer, znany archeolog i numizmatyk, który otworzył zakład dagerotypów, a następnie fotografii. Obecnie zakłady fotograficzne warszawskie zyskały sobie

w całym świecie rozgłos zasłużony, nadto stały się one jakby rodzajem metropolii, z której uzdolnieni młodzi adeptci sztuki rozchodzą się po całym świecie, zakładając na własną rękę pracownie i nadając swym firmom wyrobione imiona.

W obecnej nawet chwili, polskie firmy fotograficzne reprezentowane są we wszystkich niemal większych miastach Europy, nie sięgając już do innych części świata, gdzie zapewne także ich nie brak.

Z głośniejszych firm znane są: w Paryżu hr. Ostoróg (Walery); w Londynie Maleszewski, w Brukselli Staszak, w Medyolanie Strzębosz; w Mentonie Ostroga, w Moskwie Konarski i wiele innych. Wszystko to są firmy znane z doskonałości swych produkcji pod względem sztuki, również z zasobów materialnych, jakimi dziś rozporządzają.

— Towarzystwo sztuk pięknych w Krakowie odbyło w pierwszych dniach lipca r. b. swoje doroczne posiedzenie. Przewodniczący ks. Marceł Czartoryski zagał je przemową, w której wspomniął o stracie, jaką Towarzystwo poniosło przez śmierć trzech członków dyrekcji: Makowskiego, Januszkiewicza i Kremera, na miejsce których nowo wybrały został jeden tylko hr. Stanisław Tarnowski, ponieważ w r. z skutkiem wejścia do dyrekcji trzech członków z grona artystów, komplet etatem przepisany został wyjątkowo przekroczony. Połączenie dokonane w r. z. między Towarzystwem bratniej pomocy artystów i Towarzystwem sztuk pięknych, dobre wydało owoce. Liczba akcyj wzrosła z 2,904 do 3,312; dochód z wstępu na wystawę wynosił 2,544 złr., to jest przeszło dwa razy więcej niż w r. z. Przychód ogólny doszedł do cyfry 19,419 złr. 90 ct., z czego zakupiono dzieł sztuki za 10,239 złr. Fundusz Towarzystwa powiększył się o 1,000 złr. i wynosi obecnie 6,375 złr. Jako premium rozdana będzie członkom reprodukcja obrazu Matejki „Kazanie Skargi,” wykonana w Warszawie. Zaliczek i pożyczek zwrotnych udzielono artystom w kwocie 1,800 złr.; na nagrody konkursowe uczniów szkoły sztuk pięknych 220 złr.

— Na konkurs dramatyczny krakowski (rok 1875/76) przeznaczili: hr. Franciszek Łubiński 300 złr., hr. Jan Zamoyski 200 złr., a dawniej już hr. Artur Potocki przeznaczył corocznie 200 złr., na cały czas istnienia obecnej dyrekcji.

— Nakładem księgarni i wydawnictwa „Czytelnia ludowej,” wyszedł w Krakowie (1875 r.) „Ilustrowany Przewodnik po Krakowie i jego okolicach.” Wydanie ozdobne, ryciny litografowane i drzeworyty ładne, druk wyraźny, obok treści pełnej rozmaitości i dokładnego planu Krakowa, zalecają to dzieło. Jest tu wszystko opisane, co tylko podróznego w Krakowie zająć może: kościoły, zamek, groby królów, pałace, stare domy, a opisane dobrze i krótko. Część informacyjna jest bardzo obszerna. Okolice również dokładnie opisane, jakoteż zakłady kąpiel mineralnych w całej Galicyi. Nie wątpimy, że każdy

udający się do Krakowa, zaopatrz się w tę książkę. Kraków pod wielu względami daje wzór i dobry przykład innym miastom i życzyliby należało, ażeby którykolwiek z księgarzy wszedł w ślady i wydał również dokładny „przewodnik po Lwowie,” którego brak wszystkim do tego miasta przyjeżdżającym czuć się daje.

— Nakładem tejże drukarni wyszedł „Najnowszy i najpierwszy wykład snów, oraz najnieomylniejszy sposób wygrania na każdej loteryi, spisany dla pożytku grających, przez Kazimierza Góralczyka.” Jestto książka, którąby należało rozpowszechnić po wszystkich chatkach, kuchniach i przedpokojach. Przeciwno przesądowi używa autor jego własnej broni i skutecznie go zwalcza. I tak: jeżeli się komu śni młyn, jestto ostrzeżenie, że kobiety przez gadatliwość swoją nabawią się kłopotu, a mężczyzn sen taki ostrzega, aby niepotrzebnych kłótni nie wszczynali. Żyd rzemieślnik, dobrego przyjaciela znaczy, a lichwiarz zapowiada wroga, który dybie na to, aby ojcowizny pozbawić. Do tego są dołączone powiastki, mające na celu powstrzymanie od rujnującej gry na loteryi.

— Trąba obrzędowa górników wielickich, rodzaj tak zwanych u Niemców *Trinkhörner* lub *Wilkomów*, liczy się do nader cennych wyrobów złotniczych z XVI-go wieku. Jestto róg bawoli, okuty srebrnemi obręczami, podtrzymywany przez postać Herkulesa wyrobioną ze srebra. Na skówce wyryty rok 1534, orzeł Jagielloński, wąż Sforcyów, oraz herby Bonarowa i Ogończyk; z czego jasne, że za królowania Zygmunta i Bony w r. 1537, ową trąbę obrzędową sprawił górnictwu wielickiemu Seweryn Bonar, kasztelan sądecki, żupnik, którego żona Kościelecka z domu, Ogończykiem się pięczętowała. Wyrób nader piękny, ozdobny, w stylu odrodzenia. Zabytek ów podziwiano, ceniono, cieszo się nim; więc w licznych reprodukcjach artystycznych upowszechniano jego wizerunek. Tak np. p. Karol Beyer fotografował róg wielicki w *Albumie krakowskiej wystawy starożytności*; Towarzystwo naukowe krakowskie zyskało jego geometryczny rysunek; Muzeum wileńskie piękną akwarellę; w kalendarzu zaś krakowskim dano drzeworyt. Wreszcie gdy zarząd salin posłał ów klejnot górników wielickich na wystawę powszechną, tam zwrócono nań uwagę. W *Mittheilungen*, organie komisji konserwatorskiej wiedeńskiej (Tom XVIII z r. 1873 str. 312), ukazał się drzeworyt rogu wielickiego, wykonany wybornie w ksylograficznym zakładzie państwa. To zyskanie szerszej sławy, było dla naszego zabytku nieszczęściem. Niedawno bowiem, gdy go po skończonej wystawie odesłano z Wiednia do Wieliczki, dzienniki galicyjskie rozniosły niefortunną wiadomość, że róg zaginął. Spodziewać się należało, że prokuratora zrobi użytek z tych doniesień. Gdy przecież sprawa w milczeniu tonąć się zdawała, sądził professor Łepkowski, że zarówno traktowanie rzeczy z urzędu jako i jawność, są w tym razie konieczne; a zatem *ex privata diligentia* udał

się do pana Adama Gorczyńskiego konserwatora zabytków pomnikowych (na obwody Wadowicki i Bocheński) z życzeniem, aby na miejsce pojechał, o fakcie zaginięcia tak cennego zabytku się przekonał i uczynił co mu z urzędu zrobić wypada. Dowiadujemy się, że pan A. Gorczyński jeździł do Wieliczki, gdzie się przekonał, iż róg górników wielickich rzeczywiście został skradziony, o czém przesłał raport do komisji centralnej konserwatorskiej, doradzając, aby oprócz śledztwa, zarządzone nadto rozesłanie po zbiorach europejskich wizerunków naszego zabytku. Oczywiście bowiem, że go skradziono nie dla zysku, jaki przynieść mogły skówki srebrne, ale w celu sprzedania do zbiorów publicznych zagranicznych, lub zbieraczom prywatnym, którzy się na wystawie wiedeńskiej w wartości owego zabytku rozpatrzyli. Sądzymy więc, że oprócz władz policyjnych i sądowych, oprócz górników i mieszkańców Wieliczki, nadto i podróżnicy nasi zwiedzający zbiory europejskie, przyczynić się mogą do odszukania zaginionego rogu, témbardziej, że zarządzone śledztwo, dotąd okazało się bezskuteczne.

— Wydział krajowy galicyjski ogłosił konkurs na projekt budowy gmachu sejmowego. Nagród premiovych jest cztery: 4,000 guldenów, 2,500 i dwie po 1,500. Sędziów zamianuje wydział krajowy; mają do nich należeć: dwaj członkowie wydziału i czterej architekci z pomiędzy znaczniejszych a nie biorących w konkursie udziału. Projekta winny być nadesłane do wydziału krajowego przed dniem 31 grudnia r. b., potem przez dni czternaście wystawione na widok publiczny będą, poczem sędziom do ocenienia oddane. Koszt całej budowy gmachu sejmowego i wydziałowego nie ma przechodzić 500,000 guldenów. Zgłaszającym się architektom da wydział wszelkie wyjaśnienia, program budowy, plany gruntu na którym gmach ma stanąć.

— W auli uniwersyteckiej we Lwowie odbyła się habilitacja doktora Stanisława Smolki, w pierwszych dniach lipca r. b. Przedstawił on w treściwej prelekcji, jak po upadku Ottokara i jego myśli politycznej stworzenia państwa słowiańskiego nad Dunajem, Habsburgowie, w celu tak dynastycznym jak i politycznym, ubiegali się o ten kawałek ziemi słowiańskiej. Mieli oni jednak do walczenia z niemą opozycją narodową w Węgrzech, która niejednokrotnie bądźto kogo ze swego łona na tron wynosiła, bądź też udawała się do potężnych podówczas Jagiellonów, jedynych naturalnych przeciwników Habsburgów. Jagiellonom jednak nie udało się utrwalić sobie tron węgierski, a walka między Ferdynandem II a Zapolyą, ostatnim kandydatem narodowym, rzecz całą rozstrzygnęła. Na tém zakończył doktor Smolka swoją prelekcję.

— Cztery akwarelle Grotgera znajdują się w zbiorze p. Juliana Kołaczkowskiego we Lwowie, autora „Słownika rytowników polskich.“ Jedna przedstawia „Spacer na Kahlenbergu pod Wiedniem,“ druga „Polowanie na lisy,“ trzecia „Posąg Matki Boskiej,“ czwarta „Cztery konie cugowe wjeżdżające do dworu.“

— We Lwowie, za upoważnieniem namiestnictwa, zawiązało się Towarzystwo drukarzy. pod nazwą: „Ognisko”, mające na celu przedewszystkiém wzajemne kształcenie się za pomocą odczytów, wykładów i t. p., a wreszcie zabawę. Instytucya ta dla „żołnierzy myśli“ może być z wielkim pożytkiem.

— W Pomorzanach w Galicyi, zmarły niedawno dziedzic, hr. Pruszyński, posiadał bogate i dobrze uporządkowane archiwum rodzinne, zawierające wiele ciekawych aktów historycznych z XVI-go wieku, a nawet i z dawniejszych czasów. Za życia nie dozwalał nikomu przystępu do tych zbiorów, a po śmierci jego, spadkobiercy sprzedali całe archiwum handlarzom na centnary, po 5 guldenów!

— Towarzystwo przyjaciół nauk w Poznaniu odbyło dnia 1 lipca r. b. półroczne swoje posiedzenie. Najprzód oddano hołd pamięci Libelta, prezesa Towarzystwa, a vice-prezes pan Stanisław Koźmian, zdał sprawę z czynności zarządu w ubiegłym półroczu. Jednym z ważniejszych tego sprawozdania szczegółów było znów wspomnienie o Libelcie, jemu to bowiem Towarzystwo winne było początkowanie najpomysłniejszych swych przedsięwzięć i ich spełnienie, np. jubileusz Kopernikowy, pomnożenie znakomite zbiorów Towarzystwa, oraz pozyskanie po długim tułactwie własnej dla nich siedziby, dzięki przyjaźni jakaś p. Libelta łączyła z ś. p. Sewerynem Mielżyńskim. Dr. Kazimierz Szulc zdał sprawę z czynności wydziału historycznego, który przygotował do druku ważne prace, jak: „O stopniu cywilizacji Słowian pogańskich“ (jest tam i rozprawa o autentyczności kamieni mikorzyńskich); „O kandydaturze duńskiej na tron polski po śmierci Wiśniowieckiego;“ sprawozdanie o dziele Dr. Kętrzyńskiego p. t. „O narodowości mieszkańców Prus Wschodnich za czasów krzyżackich;“ „O ruinach na ostrowie lednickiej jeziora;“ „Najnowsze zabytki średniowiecznej polszczyzny.“ Prócz tego na żądanie Akademii krakowskiej, jeden z członków Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego, zajął się ułożeniem słownika nazw miejscowości w księstwie Poznańskim i Prusach Zachodnich, na niemieckie nazwy zamienionych. Słownik ten wkrótce wyjdzie z druku. Wydział historyczny powiększył się o kilkunastu członków, przez przyjęcie podanych kandydatów. Sprawozdanie z czynności wydziału lekarskiego, okazuje między innymi, że założono czytelną medyczną liczącą obecnie 13 członków miejscowych i 3 zamiejscowych; dzieł abonuje się 11. Fundusz czytelnicy powstaje ze składek członków i 30 tal. rocznej subwencji z kasy Towarzystwa, do którego biblioteki przychodzą dzieła z czytelnicy. Wydział lekarski liczy członków 49. Sprawozdanie z wydziału nauk przyrodniczych donosi o rozprawach Dr. Kusztelana: „O fizykalnym wpływie lasów na atmosferę i powierzchnię ziemi,“ i Dr. Kudełki z Żabikowa: „O azotowem pożywieniu roślin wyżej uorganizowanych.“ Zbiory Towarzystwa znacznie się pomnożyły a wzrosłyby więcj jeszcze, gdyby znaleziono fundusz na sprawozdanie zaofiarowanych przedmio-

tów. Zbiór rycin liczy numerów 14,000, obrazów 540. Książki jeszcze nie są skatalogowane.

Pod koniec posiedzenia przyjęto wniosek zarządu następujący: „Prawomocność wyboru nowych członków uskuteczniejszonego przez wydział, wymaga potwierdzenia zarządu, a ewentualnie wolnego zebrania.“ Zakończono posiedzenie wybraniem na prezesa p. Stanisława Koźmiana, dotychczasowego vice-prezesa. Vice prezesem obrany został Dr. Matecki, dotychczasowy skarbnik, na skarbnika wybrano Dr. Władysława Lebińskiego. Prezydował ogólnemu zebraniu Dr. Niegolewski.

— Badanie rozwalin na ostrowiu lednickim pod Gnieznem, przypomina się ciągłemi rozprawami i nieustanną polemiką naukową. Studya te rozpoczęli: Edward Raczyński, Lelewel i Przeździecki; dziś zajmują się nimi w Poznańskim przeważnie Dr. Kazimierz Szulc i Zakrzewski. Teraz w czasopiśmie „Warta“ (N. 48) ukazała się znów praca hr. Albina Węsierskiego p. t. „Czem był ostrów lednicki.“

— Teatr polski w Poznaniu otwarty został dnia 21 czerwca r. b. Krótka jego historia jest taka: Brak stałego budynku teatralnego ciągle się dawał przykro czuć ludności polskiej w Poznaniu; szukano przytułku u Niemców, nareszcie „Gazeta Toruńska“ rzuciła myśl założenia stałego teatru polskiego. W grudniu r. 1869 założono komitet odpowiedni, zaczęto zbierać składki, dawać bale, koncerta, przedstawienia amatorskie i fundusze rosły tak dalece, że już 14 kwietnia r. 1870 na radzie specjalnej rzucono stałe podstawy projektu wybudowania teatru. Zawiązано Towarzystwo komandytowe akcyjne, dla zebrania potrzebnej kwoty i napisano dlań statut. W kilka miesięcy wybuchła wojna, bieg spraw teatru polskiego uległ zwolnieniu, ale już w końcu tegoż roku 1870, w moc nowo uchwalonego przez rząd prawa o spółkach akcyjnych Towarzystwo komandytowe teatralne przemieniło się na spółkę akcyjną. Uchwalono zebrać 60,000 tal., po tal. 50 na akcję, płatnych w dziesięciu ratach; a gdy p. Bolesław Potocki podarował na rzecz teatru ogród, przyszyły teatr nazwano „Teatrem polskim w ogrodzie Potockiego w Poznaniu.“ Nazwa ta pozostała teatrowi i teraz, mimo że ogród Potockiego uznany za mniej dogodny, sprzedany został, a zakupiono pod budowę obszerny plac z domem za 45,000 tal. Kapitał zakładowy postanowiono podnieść do 100,000 tal. Dnia 9 kwietnia 1873 roku położono kamień węgielny pod budowę gmachu, mającego stanąć według planów budowniczego Hebanowskiego. Mimo nieustających kłopotów finansowych, budowa teatru postępowała dość szybko. Oprócz wpłat na akcje składano datki pod nazwą *marek* (nowo ustanowiona w Prusach moneta); takich marek wpłynęło 13,000. Dyrektorami otwartego już teatru są pp.: Grabowski, Lebiński i Kuzstelan.

Widowiska inaugurowano komedią Józefa Korzeniowskiego *Wąsy* i *Peruka*; obraz z żywych osób „obrona Trębowli“ zakończył widowisko. Ceny miejsc następujące: krzesło w łóżach parterowych

i pierwszego piętra, po 4 $\frac{1}{2}$ marek (cała łoża 18 marek); miejsce na balkonie 1-go piętra po 4 $\frac{1}{2}$ marek; krzesło 2 $\frac{1}{2}$ marek, w łożach 2-go piętra marek 1 $\frac{1}{2}$; po tyleż miejsce na balkonie 2-go piętra. Parter kosztuje 75 fenigów, amfiteatr 50, jaskółka (paradyz) 25.

— Kółka włościańskie w W. Ks. Poznańskim, nabierają coraz większego znaczenia. Do 37 istniejących w r. z. przybyło w tym roku 22. Zebranie walne delegatów odbyte niedawno w Poznaniu, sprowadziło ich 200 przeszło, nawet z najodleglejszych stron Księstwa; którzy przybyć nie mogli, usprawiedliwili listami swoją nieobecność. W r. z. było ich tylko 70. Na zebraniu tém byli téż redaktorowie trzech pism wychodzących w Poznaniu, oraz „Gazety Toruńskiej” i „Gospodarza,” które to ostatnie pismo przyjęte zostało na tém zebraniu za organ kółek włościańskich. Uchwalono wypracowanie projektu petycji do sejmu prowincjonalnego o utworzenie Towarzystwa kredytowego dla włościan; postanowiono wybrać Towarzystwo ubezpieczenia dla gospodarstw włościańskich od gradu, oraz wydrukować i rozesać kółkom włościańskim rozprawę p. Rivolego „O wychowaniu młodzieży rolnój włościańskiej.” Między delegowanymi było dużo włościan, ale ci mają dotąd biorą udział w obradach, zdając się na inteligencyę.

— „Kollokacya,” jedna z najlepszych powieści Korzeniowskiego, wydaną została świeżo w Gnieźnie w tłumaczeniu niemieckim, pod tytułem *Der Dorfadel*.

— W r. 1873 rada Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu, przystępując do wyznaczenia zwykłego dwuletniego konkursu, zwróciła uwagę swoją, na liczne bardzo w ostatnich latach i mnożące się ciągle wydawnictwa dokumentów i materyałów historycznych w języku rosyjskim. Pamiętna na to, że dokładna znajomość przeszłości osiąga się jedynie przez poznanie, zestawienie i porównanie różnorodnych i nawet sprzecznych z sobą źródeł, opowiadań i świadectw, umyśliła ze swojej strony wskazać polskim badaczom historycznym, to nowe dla poszukiwań ich pole i dlatego za przedmiot do konkursu obrała i ogłosiła następujące zadanie:

„Zdać sprawę z wydawnictw historycznych bądź opracowanych, bądź źródeł, przynoszących nowe fakta lub spostrzeżenia do historii polskiej XVI, XVII i XVIII wieku, a ogłoszonych w ciągu ostatnich lat dwudziestu, w Kijowie, Moskwie i Petersburgu. Ocenic stronę naukową tych wydawnictw.”

Termin wyznaczony upłynął i nie otrzymało pomienione Towarzystwo, ani jednéj rozprawy odpowiadającéj na ogłoszone zadanie. Tymczasem w ciągu ubiegłych dwóch lat ostatnich, nie tylko rozpoczęte piérwéj wydawnictwa historyczne rosyjskie, utrzymały się na dawnej stopie, ale jeszcze rozszerzyły się znacznie, a niejedno nowe do nich przybyło. Szczególniej materyały od czasu panowania Katarzyny II-éj do Aleksandra I-go, takich dochodzą rozmiarów i takie na tę epokę rzucają światło, że już żaden poważny pisarz, mówić o niej nie będzie miał prawa, niepoznawszy tych świadectw. Przy całej ważno-

ści swojej, wydawnictwa te potrzebują krytycznego ocenienia i opracowania, ażeby z tego surowego materiału prawdę wydobyć, sądy sprostować ze spokojem bezstronnym.

Ządana praca w języku polskim ma wynosić od 12 do 15 arkuszy druku. Autor najlepszej rozprawy otrzyma 1,800 franków w złożeniu nagrody. Termin ostateczny do nadsyłania najpóźniej oznacza się do dnia 1 marca 1876 roku.

Nadsyłać należy pod adresem profesora historii Uniwersytetu Jagiellońskiego Józefa Szujskiego w Krakowie. Rękopis powinien być przysłany bezimiennie i opatrzony godłem wybranem przez autora, a tóż samo godło ma się znajdować w liście zapieczętowanym, który autor do rękopismu dołączy.

— Skwapliwie zwykliśmy zapisywać każdy czyn przynoszący zaszczyt imieniu polskiemu i dlatego uważamy za rzecz właściwą wspomnieć o odznaczeniu, jakie świeżo spotkało jednego z naszych młodych lekarzy w południowej Francji. Dnia 18 czerwca b. r., rada municypalna miasta Cléon-Andran, w departamencie de la Drôme, po odbytej sesji udała się in corpore, z proboszczem i merem na czele do dra Leona Deputowskiego i wręczyła mu adres, podpisany przez wszystkich miejscowych notablów, w którym dziękując czule za oddane przez lat pięć usługi, pełne rzadkiego poświęcenia się i miłości chrześcijańskiej, ofiaruje mu bezpłatnie, przez czas pobytu w tém mieście, apartament w starożytnym zamku, będący dzisiaj własnością municypalną.

— Dnia 11 kwietnia r. b. grano w Chicago w Ameryce, komedia z amerykańskich obyczajów, napisaną przez panią T. Samolińską p. t. *Emancypacja kobiet*. Autorka była zarazem aktorką. Na teatr zjeżdżano się o mil kilkanaście do Chicago. Zeszli się prócz Polaków, Czesi i Niemcy. Wszystkie siedzenia zajęto, a nawet ganki i przejścia. Pan J. Rychter z Louisville o 600 mil od Chicago przybył umyślnie na teatr. „Gazeta Chicago” zapewnia, że teatr polski ma tam już ustalone swoje utrzymanie.

W témże mieście wychodząca „Gazeta Polska” rozpoczęła w odinku druk romansu, którego autorem jest ksiądz Klawitter Polak, proboszcz z Bloss-Bourgha w Pensylwanii.

— Stan dziennikarstwa czeskiego w obecnej chwili, tak przedstawia nam korespondent do „Gazety Warszawskiej”: „Główne organa staroczeskie są: *Politik*, wychodzący w języku niemieckim pod naczelną redakcją p. Skrejszowskiego i *Pokrok*, którego redaktorem jest p. Ottokar Zeithammer, były professor, od r. 1861 wpływowy członek sejmu czeskiego. *Politik* istnieje od r. 1862, *Pokrok* od r. 1868. Głównym organem Młodych są *Narodni Listy*, własność braci Juliusza i Edwarda Gregrów; głównym współpracownikiem jest Sladkovsky, odpowiedzialnym redaktorem Barak, „Marat” czeski. Wychodzi dalej przeważnie katolicki dziennik *Czech*, który w politycznych kwestyach idzie za Starymi; *Czech* nie jest, jak to twierdzą często dzienniki wie-

deńskie, organem kardynała Schwarzenberga, lecz utrzymywany przez niższe duchowieństwo. W społecznych kwestyach po stronie Starych, w kwestyi wstępu do ciał parlamentarnych zgadzający się z Młodymi, *Posel z Prahy*, istniejący od lat 15; bardzo trudne ma stanowisko, jak wszystkie środkowe stronnictwa. Mały dzienniczek *Brousek*, wydawany przez Skrejszewskiego, wielkie oddaje sprawie narodowej usługi.

Co do niemieckich dzienników, oprócz urzędowej *Gazety Prazkiej*, istnieje *Bohemia* od lat 48 i *Tagesbote aus Böhmen* od lat 28. *Bohemia* wprawdzie stoi po stronie centralistów, ale umiarkowana na kształt *Posta*, głównie rozszerzenie swe zawdzięcza wiadomościom potocznym i felietonom. *Tagesbote* jest organem osławionego Cassina niemieckiego i odznacza się pruskimi tendencjami. Jako tygodnik wychodzi *Beobachter*, organ niemieckiej części duchowieństwa.

Pomiędzy licznymi pismami ilustrowanemi; *Svetozor*, wydawany przez dra hr. Skrejszowskiego, brata Jana; odznacza się tak pod względem literackiej treści, jako też pod względem mistrzowskich rycin.

Niemal wszystkie miasta czeskie mają już osobne organa publicystyczne. I tak staroczeskie stronnictwo posiada w Pilźnie *Plzenskie Listy*, w Budziejowie *Budivoj*, w Szlanie *Spornost*, w Kolinie *Korunę Czeską*, w Chrudimie *Posta z Vychodnich Czech*, w Taborze *Tabor* i t. d.

Młodzi mają dzienniki w Pilźnie, Raudnicach, Melniku, Szlanie, Przybramie i t. d. Tu w Pradze wydają przegląd literacki *Osveta* i tygodnik socjalistyczny *Budoucnost*."

— W piśmie norymberskiem „Anzeiger für Kunde der deutschen Vorzeit,“ znajdujemy artykuł o restauracji grobów królewskich na Wawelu, które piszący niejaki E. P. wspaniałemi zowie, pobudzając redakcyę pism ilustrowanych niemieckich, ażeby się zajęły wyobrażeniem i upowszechnieniem w drzeworytach trumien królewskich: *bedących istotnymi dziełami sztuki*."

— W chromolitograficznym zakładzie Lemerciera w Paryżu, wychodzi w przepysznój *edition de luxe*: „Herbarz starodawniej szlachty, podług heraldyków polskich, z dopełnieniem do czasów obecnych.“ *Zeszyt pierwszy* już ukazał się i zawiera genealogię kilkunastu rodzin. Tekst obszerny jest polski; herby chromolitografowane.

— Jerzy Rathlef wydał w Dorpacie zajmującą dla historyków Litwy rozprawę niemiecką p. t. *Stosunek Zakonu Kawalerów Mieczowych do biskupów krajowych i miasta Rygi w wieku XIII i w pierwszej połowie XIV*. (Das Verhältniss des livländischen Ordens etc.).

— W Saksonii w Małym Budziszynie (Klein-Bautzen) odkryto zeszej jesieni w pewnym kościele Biblię wydrukowaną w Moguncyi przez Guttenberga, pomiędzy 1450 a 1456 rokiem. Księga ta wydrukowana jest częścią na papierze, a częścią na pergaminie. Była ona podarowana temu kościołowi w 1677 roku i przeleżała lat 200 z innymi księgami kościelnymi, uważana za rękopism. Biblię tę kupił teraz pewny Anglik za 450 fst. (około 3,000 rubli).

— H. W. Stoll obrazy z życia staro-greckiego (*Bilder aus d. altgriechischen Leben*), Lipsk. 1875.

Autor nader żywymi barwami odmalował żywot helleński: 1) homeryczny, 2) w okresie od Homera do wojen perskich, w 3) i 4) księdze wysuniętemi zostały na pierwszy plan Ateny od czasu wojen perskich. Dzieło to zewszecmiar jest godne zalecenia młodzieży kształcącej się w kierunku humanitarnym.

— Edda dawniejsza w przekładzie i objaśnieniach (*d. aelttere Edda uebersetzt und erklart*). Odczyty Ad. Holtzmanna (36 arkuszy w wielkiej 8-ce). Jestto, jeżeli się nie mylimy, po raz pierwszy dokonany przekład dosłowny Eddy, która zawiera w sobie złożone w formę pieśni, podanie mitologiczne, jako osnowę dla skaldów. Pieśni te sięgają po za czasy wielkiej wędrówki narodów, i rozeszły się następnie na Północ do Skandynawii. Kapłani i wyższe rodziny germańskie (podług zdania autora), nie chcące uznać władzy Haralda, przeniosły je do Islandyi.

Odczyty Holtzmanna zawierają wielki poczet faktów, w których badacze podań znajdują nie jedną skazówkę do mitu słowiańskiego.

— Z ostatnich sprawozdań literackich (w Niemczech) dowiadujemy się o wyjściu w czwartém, znacznie rozszerzonym wydaniu książki p. n. *Der polnische Parnass* (1875 r. Lipsk.), z zarysem historii literatury polskiej i wiadomościami biograficznymi.

— Z powodu zbliżającej się rocznicy urodzin wiekopomnego filozofa *Herbarta*, który wytworzył w niej kierunek indywidualizmu realistycznego, (urodził się w Oldenburgu r. 1776); zamierzono wystawić mu pomnik w mieście rodzinném. Jako przyczynek do ofiar, na ten cel podejmowanych, wydana została „rzecz o zasługach *Herbarta* w sprawie filozofii. (*Joh. Fried. Herbart's Verdienste um die philos.* Oldenburg 1875). Jestto nie obszerny, ale pouczający traktat o dziejowym stanowisku wielkiego myśliciela.

Szególniejszy nacisk kładzie tu autor (*Thilo*) na podniesienie psychologii do godności nauki.

„Herbart odarł filozofię z poetyczności. Herbart zrzekł się pewnych kategori na rzecz *wiary*, zostawiając jej prawo mówienia, tylko o tém co ona wie; metafizyka *Herbarta* wiele zrobiła dla nauki przyrodzenia.”

— *Zarysy i Studya* (*Essays and Studies*), p. Al. Karola *Swinburne*. (Londyn 1875). Imię *Swinburne* na jest dziś najpopularniejsze w literaturze angielskiej. Znakomity poeta w swoich „Zarysach i Studiach” występuje jako krytyk i estetyk. Z dwóch więc względów zasługuje na uwagę wspomniane dzieło. Najprzód znajdujemy w niem wyborną ocenę nowoczesnych poetów nie tylko tych, którzy przyjęli z nim wspólne godło w sztuce, (*Morris, Rossetti*); lecz w ogóle wszystkich, którym świat przyznaje palmę, bez względu na indywidualny kierunek (*Arnold, Browning, Tennyson, W. B. Scott* i t. d.). Niemniej ważnymi są „Zarysy i Studya” ze względu, iż zawierają pogląd artystyczny

na istotę sztuki, wypowiedziany głęboko, wymownie i to przez poetę, jak dziś, najgłośniejszego na cały obszar piśmiennictwa angielskiego.

— Długo oczekiwany dramat nestora wieszczów angielskich *Tennysona*, wychodzi nareszcie na widok publiczny p. n. *Królowa Marya* (Queen Mary) i zawiera życie Maryi Tudor od jój wstąpienia aż do śmierci, z głównymi scenami panowania.

— Z dzieł historycznych angielskich zasługują na uwagę *Epoki Dziejów* (Epochs of History, The Houses of Lancaster and York) przez I. *Gairdner*. Londyn 1875.

Autor prowadzi opowiadanie dziejów od wstąpienia na tron Ryszarda II-go a kończy na śmierci Ryszarda III-go, zamykając właśnie je chwilą, kiedy o tron ubiegać się zaczęły dwie współzawodniczące rodziny: York i Lankaster. Chaotyczna ta doba, gdzie trudno pochwycić główną nić, została jednak przedstawioną przez autora w sposób nader zajmujący. Szczególniej podziwiamy umiejętne przedstawienie tych oscylacji, pomiędzy parlamentem a koroną, w których ważyły się losy idei politycznej państwa angielskiego. Opowiadanie wojen z Francją prowadzone jest ożywczo i jasno. Przytém autor dołączył dwie mapy, specjalnie wyjaśniające postępy oręża angielskiego. Dzieło to zalecamy czytelnikom, pragnącym poznać najwybitniejsze stacye tej wiekowej rywalizacyi.

— *Fusang or discovery of America by the Chinese Budahist priests*. „*Fusang*, czyli odkrycie Ameryki przez chińsko-buddyjskiego kapłana” w V wieku.

W znanėj powszechnie encyklopedyi chińskiej noszącej tytuł: *Wan-chien-tung-kaon*, znajdujemy rozdział, w którym z całą powagą postawiony jest fakt, że około r. 499, kapłan buddyjski Hwui-Shin doniósł, iż właśnie wraca do Chin z kraju zwanego Fusang, imię którego ma pochodzić od nazwy drzewa (tegoż imienia), rosnącego w nim. Podług domniemania Lelanda, drzewo *fusang* ma to być „wielki aloes” a krainą nawiedzoną przez budystę chińskiego, Meksyk. (Atheneum, 1875 str. 617).

— *Historja starożytna pomników* (Ancient History of monuments). Egipt p. Birch'a, Assyrya p. Smith'a.

Historja obu wymienionych państw, czyta się z wielkiém zajęciem, témbardziej, że zastosowanemi tu zostały odkrycia Layarda, Loftusa, Rawlinsona i innych znakomitych badaczy. Obok historyi politycznej prowadzoną jest i przyznać należy, prowadzoną świetnie milcząca historia pomników. Birch słusznie utrzymuje, iż na czwartej dynastyi egipskiej (około 2,200 lat przed Chrystusem) sztuka u Egipcyan dosięga szczytu doskonałości. Najważniejszą rękomią ważności pracy Smitha jest to, iż sam on osobiście miał znakomity udział w owych kopalnych poszukiwaniach, które rozpoczęte przed laty czterdziestu, dotąd jeszcze z zapałem są prowadzone na zwaliskach świata assyryjskiego.



Dnia 31 maja r. b. zmarł w Krakowie w 85 roku życia ks. biskup **Józef Grzegorz Wojtarowicz**. Był on synem włościanina z Szönwaldu. Ukończywszy nauki szkolne w Tarnowie, a studia teologiczne w Wiedniu, otrzymał doktorat ś. teologii. W r. 1840 mianowany biskupem tarnowskim, słynął z świątobliwego życia i dobroczynności jako wzór kapłana chrześcijańskiego. Wszystkie dochody swoje rozdzielał między ubogich. W roku 1856 złożył godność biskupią i wiódł do śmierci żywot cichy przy kościele św. Floryana na Kleparzu; pomimo podeszłego wieku zachował świeżość umysłu i wielką gorliwość w sprawach kościoła i wiary. Była to piękna postać pasterza, który dobrowolnie zamienił godność biskupią, na zakonny niemal żywot.

— Dnia 10 czerwca r. b. zakończył życie **Maryan hr. Czapski** w Więkowicach w Wielkiem Księstwie Poznańskim. Jest on autorem znakomitej wartości dzieła wydanego u J. K. Żupańskiego p. n. „*Historja powszechna konia*,” w trzech dużych tomach.

— Dnia 1 lipca r. b. w kościele tyńskim Najświętszej Maryi Panny w Pradze czeskiej, odbyło się z rana nabożeństwo żałobne za ś. p. **Libelta i Kremera**. Libelt który uczestniczył w odbytym zjeździe słowiańskim 1848 r. w stolicy Czechii, pozostawił w niej licznych wielbicieli i przyjaciół. To też dzienniki czeskie wszelkich odcieni poświęciły mu nader pochlebne i przyjacielskie wspomnienie pośmiertne.

— Dnia 6 lipca r. b. zakończył życie w willi swojej pod Dreznem **Karol Aleksander Hoffman**, członek Akademii Umiejętności w Krakowie, pisarz z niepospolitym talentem i historyk. Urodził się na Mazowszu 1798 r. Ukończywszy wyższe nauki w Uniwersytecie warszawskim na wydziale prawa, był redaktorem i wydawcą czasopisma *Polska Temis*, poświęconego rozwojowi nauki prawa. W dziennikarstwie polskiem zajmuje *Temis* poważne stanowisko, Niemate rzucił światło na dzieje krajowe z pierwszej połowy naszego stolecia. Pisał i w języku francuzkiem. Z historycznych prac największych rozmiarów jest dzieło: „*Historja upadku domu Sobieskich*,” w znacznej części drukowane w *Gazecie Polskiej* za redakcyi J. I. Kraszewskiego. W Paryżu 1839 r. ogłosił *Vademecum polskie*, w którym zużytkował swe wiadomości zebrane na urzędowaniu w *Banku Polskim* i dał nam nader cenne szczegóły do historyi finansów polskich. Osiadłszy w Dreźnie, opisał to miasto i jego okolice; dziełko to wyszło w Warszawie 1858 r. Był współpracownikiem „*Słownika polsko-francuzkiego i francuzko-polskiego*.” Był on mężem słynnej Klementyny Tauskiej. Był nadto znakomitym akwarelistą, nietylko przez rodaków, lecz i przez niemców wysoko cenionym. Pogrzeb zmarłego odbył się w Dreźnie dnia 10 lipca r. b. Na cmentarzu przemówił J. I. Kraszewski i złożył wieniec laurowy na jego grobie.

OD REDAKCYI.

Bezimiennemu czytelnikowi Biblioteki Warszawskiej w Słomickim:

Ilość nadesłanych rękopismów, przypuszczać dozwala, że dłuższy termin naznaczonym zostanie.

Sprostowanie. W zeszycie lipcowym na r. b., na stron. 180 w wierszu 33, zamiast *Paulina z Lamzów Wilkońska*, czytać należy: *Paulina z Lauczów Wilkońska*.

W zeszycie sierpniowym r. b. str. 298 wiersz od dołu 12 zamiast wojnę *prusko-francuzką*, czytaj: wojna *prusko-francuzka*; str. 300 wiersz 20 zam. *zmienienia*, czytaj: *zniżenia*.

Zestawienie przedmiotów zawartych w 136 tomach Biblioteki Warszawskiej z lat 1841—1874. Przez Karola Estrejchera. W Krakowie, w drukarni Leona Paszkowskiego. (W 8-ce str. VII, 319). Na czele redakcyja w treściwym zarysie podaje w tym spisie bibliograficznym, wiadomość o pierwotnym związku swego pisma i pierwszych założycielach, a zarazem o powiększonem gronie współredaktorów aż do roku bieżącego. Wydanie całe odbito w 500 egzemplarzach. Autor tak mozolnego dzieła w przedmowie pisze o swój pracy: „Oddawała mi ona od lat dziesiątka nieustanną przysługę, a widząc jęj praktyczną dogodność, oddałem ją chętnie na użytek redakcyi Biblioteki, wyrażając tém życzliwość moją pismu, które uznaję za stojące na czele wszystkich publikacyj literackich polskich, dzierzące zawsze z godnością pióro dla pożytku oświaty krajowej, najstarsze w dzisiejszój rzeszy pism, a zarazem najchętniejsze w przygarnianiu mężów istotnej pracy i talentu.”

Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Cena egzemplarza rs. 1, kop. 50 (złotych 10).

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny **K. Wł. Wójcicki.**

Wydawca **Józef Berger.**